Rys. Janusz Szymański-Glanc

- Strajk w więzieniu str. 6
- Sprawa odszkodowań za przymusową pracę w Niemczech — str. 4
- Zanim powstał islam str. 10
- Prawda o wojnie radziecko_fińskiej str. 4

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 40 (1644) ROK XXXII 1 PAŹDZIERNIKA 1989 ROKU CENA 200 ZŁ

Konserwatywni liberałowie o sobie

W imię wolności — precz z demokracją!

Rys. Dariusz Romanowicz

W kwietniu 1989 roku do rejestru stowarzyszeń wpisana została Unia Polityki Realnej — ugrupowanie polityczne, skupiające ludzi mieniących się konserwatywnymi liberałami. O poglądach i programie działania UPR można najkrócej powiedzieć tyle, iż opowiadają się oni za wolnością, ale przeciwko demokracji. O tym, że są to opcje możliwe do pogodzenia, starali się nas przekonać: JANUSZ KORWIN-MIKKE — prezes Rady Głównej UPR, JACEK DĘBSKI — członek Sądu Naczelnego UPR oraz MACIEJ JANKOWSKI — rzecznik UPR. Redakcję „Odgłosów" reprezentowali: dr hab. WITOLD KASPERKIEWICZ — ekonomista z UŁ oraz redaktorzy ANDRZEJ GEBAROWSKI i EDMUND LEWANDOWSKI.

GDYBYM BYŁ PIERWSZYM TYRANEM

EDMUND LEWANDOWSKI: — Stan gospodarki jest rozpaczliwy i wszyscy politycy są zgodni, że trzeba zacząć od próby jej uzdrowienia. Jaką widzicie panowie drogę poprawy, biorąc pod uwagę groźbę protestów społecznych, które mogą wystąpić przy „uderzeniowej" dawce reform? Jaki macie do zaproponowania model gospodarczy?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: — Zakwestionuję od razu dwa założenia. Po pierwsze takie, że musimy jakoby rozpoznać dokładnie stan gospodarki, aby wiedzieć, co zrobić, jakie podjąć działania. Tak wcale nie jest. Wprowadzenie gospodarczej normalności działa ożywczo, niezależnie od tego, jak głęboką mamy zapaść. Nie musimy deliberować nad tą zapaścią — jedyny związek jest taki, że im dalej posunięty stan rozkładu, tym szybciej trzeba powrócić do normalności. Po drugie — kwestionuję założenie, że stan gospodarki jest rozpaczliwy. Uważam, że interesy polskie kwitną. Są bogato reprezentowane na całym świecie, polscy szmuglerzy opanowali podobno szlak przemytniczy Ekwador — Singapur. Proszę popatrzeć na rynek: luksusowe towary błyskawicznie znikają ze sklepów. A biedacy? Wystarczy dać ogłoszenie: potrzebuję sprzątaczki. Przekonacie się panowie, iż chętnych nie będzie. To znaczy, że większość obywateli ma się zupełnie nieźle. Jedyne, co znajduje się w stanie krytycznym, to gospodarka państwowa.

WITOLD KASPERKIEWICZ: — Ale przecież gospodarka państwowa wytwarza ponad 80 procent dochodu narodowego! Jeśli ten trzon gospodarki jest chory, to chyba rzutuje to na całość?

J. K.-M.: — Znów błąd. Skąd pan wie, że przemysł uspołeczniony wytwarza dochód narodowy?

W.K.: — Jak to skąd? Choćby z rocznika statystycznego.

J. K.-M.: — Nieprawda. Zaglądając do rocznika statystycznego można się łatwo przekonać, że dochody z przemysłu i wydatki na jego potrzeby równoważą się wzajemnie. Ten przemysł nie daje wcale dochodu narodowego. Owszem, przynosi ogromny wolumen produkcji, ale dochodu — prawie żadnego. Z badań wynika, że w Wielkiej Brytanii — państwie dość przecież legalistycznym, o uporządkowanej gospodarce — aż 40 procent dochodu narodowego wytwarzane jest „na czarno". Sądzę, że w Polsce dwa razy tyle.

W.K.: — Stefan Kisielewski, podając swe kandydatury na stanowiska w nowym rządzie, zaproponował J. Korwina-Mikke na funkcję wicepremiera. Gdyby pan został w przyszłości wicepremierem do spraw gospodarczych — jakie by pan podjął decyzje z ramach tzw. programu ratunkowego?

J. K.-M.: — Nie mógłbym podjąć żadnych istotnych decyzji, bo wicepremier w Polsce nie ma takich dużych uprawnień.

E.L.: — A gdyby otrzymał pan specjalne uprawnienia?

J. K.-M.: — Zależy — jakie. Takie, jakie miał rząd premiera Rakowskiego (który — notabene — nie potrafił ich wykorzystać, co go mocno obciąża) zupełnie by mi nie wystarczyły. No, gdybym był pierwszym tyranem w Polsce, wtedy mógłbym porozmawiać inaczej. Wprowadziłbym wolne ceny na wszystkie towary i usługi. Doprowadziłbym szybko do pełnej wymienialności złotówki. Puściłbym na wolny rynek wszystko, co się da, poza — być może — Belwederem.

E.I.: — Innymi słowy: reprywatyzacja. A co z kapitałami na wykup zakładów?

J. K.-M.: — Nie rozumiem... Przecież kapitały są! Widać nawet, że ludzie nie mają co z nimi robić!

W.K.: — Ale są to kapitały drobne i rozproszone...

J. K.-M.: — Ludzie nie rozumieją, że pieniądz jest tylko miernikiem przepływu energii ludzkiej. Im szybszy jest ten przepływ, tym więcej rodzi się nowych kapitałów. Chodzi o to, żeby zaczęło się kręcić...

JACEK DĘBSKI: — Wielu sądzi, że nasze idee są utopijne. Wydaje im się, że liberalizm jest w naszych warunkach czystą fantazją. My tymczasem nawiązujemy do złotego wieku gospodarki, do wolnej XIX-wiecznej ekonomiki, bez ingerencji państwa, bez systemów opiekuńczych. To wówczas narodził się dobrobyt Zachodu, wtedy stworzono podstawy zamożności. Liberalizm zduszono w latach dwudziestych naszego wieku. Narastały trendy totalizujące, państwo zaczęło się wtrącać już nie tylko w sferę wytwórczości i konsumpcji, ale nawet w prywatne życie człowieka. Jeszcze kilkanaście lat temu wyśmiewano się z koncepcji takich ekonomistów, jak Friedman czy Hayek. Dopiero przykład rządów Reagana i pani Thatcher pokazał, czego może dokonać liberalizm w gospodarce. Okazało się bardzo wyraźnie, że tylko liberalizm potrafi wytworzyć bogactwo; socjaldemokratyzm jest to raczej metoda redystrybucji, podziału bogactw pomiędzy tych, którzy w dużej części nie są producentami.

W.K.: — Proponuje pan odświeżenie XIX-wiecznych klisz, powrót do leseferyzmu. Zdaje się pan zapominać, iż to właśnie w wyniku XIX-wiecznej konkurencji i żywiołowego rozwoju spółek akcyjnych zapoczątkowane zo-

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.

Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

Jarosław Iwaszkiewicz znał osobiście Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. 3 czerwca 1943 roku był na ślubie poety z Barbarą Drapczyńską. Uroczystość odbyła się w kościele na Powiślu. W dzienniku prowadzonym podczas okupacji — opublikowanym obecnie w dwumiesięczniku „REGIONY" (nr 2) — Jarosław Iwaszkiewicz zanotował:

„Przywiozłem im olbrzymi bukiet bzów, które w tym roku wyjątkowo obficie kwitną na Stawisku. Białych i niebieskich (jak mówi Wanda Telakowska, twierdząc, że określenie „liliowy" jest nazwą konfekcyjną i prawdziwie kulturalny człowiek nie powinien jej używać). Jak w zeszłym roku chrzciny, tak w tym roku śluby — szalona na to moda, i wszystkie albo prawie wszystkie przy mszy rzymskiej, co długo trwa, ale wygląda bardzo uroczyście. Baczyńscy przystępowali do komunii, oboje tacy drobni, malutcy, dziecinni, powiedziałem potem, że wyglądało to nie na ślub, ale na pierwszą komunię. Krzysztof bardzo wzruszony. Z początku nie bardzo go lubiłem, taki był szalenie pewny swoich wierszy. Pamiętam, jak czytał je u nas po raz pierwszy na Nowy Rok 1942, i kiedy spróbowałem mu zrobić parę uwag, jak się od razu postawił okoniem, jak bronił swoich poezji, jakbym ja je atakował z całą powagą. Bardzo to mnie rozśmieszyło, ale kiedy na wiosnę zamieszkał u nas parę tygodni leczac się na tę swoją astmę (Podkowa Leśna doskonale mu robiła na te ataki), kiedy tu posiedział trochę razem ze Stasiem Piętakiem, kiedy zaprzyjaźnił się z dziewczynkami, polubiłem go bardzo. Trzeba tylko do niego trafić poprzez tę skorupę, którą on na siebie nakłada, przez młodzieńczą nieśmiałość, przez pewną szorstkość młodości. Wiersze jego nie wszystkie lubię, ale zadziwia mnie łatwość, z jaką je pisze, i jakie mnóstwo. Może trochę za dużo. Basi, jego żonu prawie nie znam, choć chodziła ona na moje wykłady o poezji. Zdaje się, inteligentna dziewczyna. Krzysztof pierwszego skończył 21 lat, a trzeciego się ożenił. I teraz tak ciągle takie dzieci się żenią. Krzysztof był bardzo serdeczny dla mnie i dziękował za kwiaty, rzeczywiście wyglądały wspaniale. Mają być u nas za parę dni z pierwsza wizytą. Śmieszne dzieciaki".

W tym samym dwumiesięczniku społeczno-kulturalnym opublikowano wspomnienia żony Jarosława Iwaszkiewicza. W trzecią rocznice śmierci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, który zginął w powstaniu warszawskim, Anna Iwaszkiewiczowa napisała:

„Nie byłam nigdy wielką wielbicielką jego talentu, według mnie Gajcy-Topornicki bił go o głowę, ale teraz dziwnie jasno staje mi w pamięci sylwetka Krzysztofa, jego dość drobna postać, interesująca pociągła twarz o pięknych niebieskich oczach w bardzo ciemnej oprawie. Wydaje mi się, że był trochę podobny do Słowackiego. Pamiętam doskonale, kiedy go widziałam pierwszy raz, było to zimą 41 roku, może styczeń 42 r. (...) Potem pamiętam, jak pewnego popołudnia czytał nam swoje wiersze na Stawisku, oczywiście, jak wszyscy, na półokrągłej kanapce w gabinecie. Potem, parotygodniowy pobyt na Stawisku, którego powietrze — jak wierdził — tak dobrze działało na jego astmę. Mieszkali wtedy we dwójkę ze Stasiem Piętakiem w dużym pokoju na dole, obecnie Stachów. Staś P. przyjechał wtedy do nas na jakiś czas, bo w jego okolicy zaczęło się robić bardzo gorąco. Był to, zdaje się, marzec 43-go roku. Pamiętam, jak Staś opowiadał nam o swoich przeżyciach, kiedy biedny Krzysztof w nocy dostał strasznego ataku i Stasiowi zdawało się, że on się po prostu na śmierć zadusi, rzucił się do okna jak ptak — mówił — myślałem, że szyby przebije". A potem ostatnie wspomnienie to przepiękny bukiet białego i bladoliliowego bzu, całego (...) i rozkosznie pachnącego, który Jarosław wiózł rano 3-go czy 4-go czerwca na ich ślub do Warszawy".

Warto tu przypomnieć, że poeta Stanisław Piętak (1909—1964), który przebywał na Stawisku razem z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, był bohaterem niedawno emitowanego serialu telewizyjnego o Jasiu Kunefale. Pisał o nim w „Odgłosach" (nr 32) Tadeusz Chróścielewski. W rzeczywistości poeta urodził się w Wielowsi pod Tarnobrzegiem.

NOWY PLEBISCYT NA ŚLĄSKU?

W piątym dziesięcioleciu od zakończenia II wojny światowej dość nieoczekiwanie pojawił się problem mniejszości niemieckiej w Polsce. Jan Król z Gogolina, zabiegający o rejestrację Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej, zebrał na Śląsku Opolskim około 200 tysięcy podpisów ludzi deklarujących narodowość niemiecką. Czy rzeczywiście jest tam jeszcze aż tylu Niemców? W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „WYBRZEŻE" (nr 39) zastępca dyrektora Instytutu Śląskiego w Opolu, dr hab. Wiesław Lesiuk mówi:

„Wyprzedzając wszystkie pytania szczegółowe, chcę powiedzieć, że — moim zdaniem — mniejszości etnicznej niemieckiej na Śląsku Opolskim i na całym Górnym Śląsku nie ma, bo być nie może. Jakkolwiek byśmy oceniali samą istotę weryfikacji narodowościowej, czy w stosunku do miejscowej ludności była ona sprawiedliwa, czy krzywdząca, to jedno nie budzi wątpliwości — weryfikacja ta musiała doprowadzić do w miarę prawidłowego ustalenia, kto na tych terenach jest Niemcem, a kto Polakiem".

Powojenna weryfikacja przebiegała dwuetapowo. Nie wystarczało wtedy, że ktoś zadeklarował polską świadomość narodową. Sprawdzono również wiarygodność owych deklaracji. Brano także pod uwagę opinie osób trzecich. Jeśli wystąpiły jakieś nieprawidłowości, to raczej w tym kierunku, że wysiedlono rodziny mające polski rodowód, lecz niezbyt sprawnie posługujące się polszczyzną. Na liście 200 tys. osób uważających się dziś za Niemców jest ludność górnośląska, którą podczas weryfikacji uznano za etnicznie polską. Na tym polega jeden z paradoksów.

„Jeżeli dziś ową listę 200 tysięcy zwolenników „niemieckości" skonfrontujemy z inną listą z okresu reżimu hitlerowskiego, z listami gończymi gestapo, to odkryjemy kolejny paradoks — te same rodziny, które teraz chcą uchodzić za „mniejszość niemiecką", dla władz hitlerowskich były nośnikami polskości na Śląsku, gdyż albo ich dzieci uczęszczały do polskich szkół mniejszościowych, albo członkowie tych rodzin wyjeżdżali na pielgrzymki do Częstochowy, do Piekar po drugiej stronie granicy. I te rodziny jako żywioł polski podlegały inwigilacji tajnej policji".

Wiesław Lesiuk nie twierdzi, że w Polsce nie ma etnicznych Niemców. Taki sąd byłby nieporważny. Uważa jednak, że jest ich mało i nie zamieszkują zwartego terytorium. Dlatego nie da się obronić tezy o istnieniu mniejszości niemieckiej.

„Uważam, że nie ma żadnych podstaw do tego, aby instytucjonalnie legalizować niemiecką mniejszość narodową. Przecież w tej grupie, o której mowa, znajdują się potomkowie powstańców śląskich, działaczy Związku Polaków w Niemczech oraz organizacji afiliowanych przy Związku. Nie sposób uznać za mniejszość niemiecką ludzi wywodzących się z warstwy, którą cechował najwyższy poziom polskiej świadomości narodowej, poziom niejednokrotnie wyższy niż ten, jakim wykazywała się ludność innych polskich ziem. Może po 1945 roku nastąpiła germanizacja?".

Obecnie na Śląsku Opolskim rozgrywa się jakby na nowo plebiscyt. Poprzez wywołanie kwestii niemieckiej przypiera się Polskę do muru. Ewentualna zgoda na wyodrębnienie mniejszości niemieckiej może stworzyć w przyszłości różne zagrożenia. Trzeba bowiem uwzględniać dążenia do zjednoczenia Niemiec.

SPRAWY FUNDAMENTALNE DLA POLSKI

W tym samym czasie, kiedy Lech Wałęsa składał wizytę w Republice Federalnej Niemiec, przebywał tam Julian Bartosz. Swoje wrażenia przedstawił w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 37). Pisze między innymi:

„Nad Renem Lech Wałęsa w sprawie polskich granic wypowiedział się jednoznacznie, zajął też jasne stanowisko wobec tych w RFN, którzy trwałość ich kwestionują. Na tym problematyka stosunków PRL—RFN jednak się nie wyczerpuje. Co na temat pozostałych spraw myśli i mówi Lech Wałęsa, którego prezydent federalny, wedle „Hannoversche Allgemeine Zeitung" z 8 września określił jako „robiące wrażenie zjawisko przyrodnicze" („eindrucksvolle Naturerscheinung") — każdy mógł usłyszeć ze wspomnianych wypowiedzi telewizyjnych. Mam nadzieję, że nie były one „manipulowane". Również sądzę, że zachodnioniemiecka prasa i telewizyjne programy oddały rzetelnie tenor wypowiedzi przewodniczącego NSZZ „Solidarność". Najistotniejsze, moim zdaniem, w oświadczeniach Lecha Wałęsy wydaje się to, że widzi on szczególną rolę Niemiec (ściślej RFN) w naszej polskiej drodze do Europy. Jednakowoż — cytuję za piątkową „Neue Presse" z Hanoweru — przewodniczący Wałęsa miał apelować do swoich rozmówców, aby wyzbyli się wobec Polski kompleksów. „Nie powinniście dalej sądzić, że macie coś Polsce wynagrodzić" („Sie sollen nicht laenger meinen, das Sie etwas gutmachen muessen"). W innej gazecie czytałem: „Polacy nie chcą podarków pieniężnych, oni raczej chcą wiele pieniędzy zwrócić otrzymawszy już wiele. Do tego trzeba jednak nowego systemu. Zapraszamy was do zbudowania go".

Zdaniem Juliana Bartosza, nikt nie ma prawa głosić, że Niemcy nie powinni sądzić, iż mają coś nam wynagrodzić. Takie deklaracje są sprzeczne ze stanowiskiem, które zajął prymas Józef Glemp. W istocie uzasadnione są polskie żądania z tytułu roszczeń członków Stowarzyszenia Ofiar III Rzeszy, któremu przewodniczy prof. Jerzy Ozdowski wspierany przez hierarchię kościelną.

„Należy mieć nadzieję, że redaktor Mieczysław Pszon, który zastąpił Ernesta Kuczę jako pełnomocnik polskiego premiera do rozmów z pełnomocnikiem kanclerza federalnego (...), choć sam także amator w polityce, nie będzie postępował tak po amatorsku jak przewodniczący Wałęsa. Z całą pewnością jeszcze większą nadzieję osobiście żywię w związku z osobą Krzysztofa Skubiszewskiego, poznańskiego prawnika i doskonałego znawcy przedmiotu, który jako nowy szef resortu zapewni kontynuację pełnej kompetencji w tym istotnym zakresie naszej polityki w ogóle. Nikomu nie wolno nieodpowiedzialnie bawić się efekciarsko sprawami, które dla Polski mają znaczenie fundamentalne. Wierzę, że premier Mazowiecki jest w tych fundamentalnych kwestiach co najmniej tak po polsku pryncypialny jak Jan Nowak-Jeziorański (..), już nie mówiąc o stanowisku Władysława Gomułki czy Adama Rapackiego".

Udzielając wywiadu Jackowi Żakowskiemu z „GAZETY WYBORCZEJ" (nr 87) Jan Nowak-Jeziorański powiedział, że żył 25 lat w Republice Federalnej Niemiec i jest przekonany, że gdy Niemcy poczują własną potęgę, to wrócą na drogę swoich dawnych błędów. Jeśli polityka niemiecka będzie nastawiona na dominację i czerpanie jednostronnych korzyści, wówczas nie będzie miejsca dla Polski w zjednoczonej Europie. A największym dla nas zagrożeniem byłoby porozumienie między Niemcami a Rosją. Należy liczyć się z niebezpieczeństwem zredukowania Polski do rozmiarów kongresówki, a następnie do utraty niepodległości.

E. L.

Nie możemy żyć uprzedzeniami

Rozmowa z I sekretarzem KŁ PZPR — ADAMEM WALCZAKIEM

— W referacie na ostatnim plenum KŁ PZPR, poświęconym ocenie sytuacji społeczno-politycznej w Łodzi, podano trzy główne powody katastrofalnego stanu miasta: wprowadzenie urynkowienia, nieskuteczne działania pełnomocnika ds. urynkowienia, nierealizowanie postanowień KERM w sprawie Łodzi. Nie wymieniono powodu, który — zdaniem m.in. organizacji partyjnej w „Polmerino" — był najważniejszy: indolencji władz politycznych i administracyjnych Łodzi. Czy ma to oznaczać, że w opinii obecnego kierownictwa łódzkiej instancji partyjnej, władze stanęły na wysokości zadania? Czy i w jakim stopniu można mówić o ich winie?

— Cofnę się do X Plenum KC PZPR. Dokonało ono politycznego zwrotu: otwarcia się na pluralizm itp. To było konieczne, ale nie przygotowano do tego zwrotu bazy partyjnej. Rezygnacja z formuły monopartii stała się dla wielu członków PZPR zaskoczeniem. Nie byli do tego zupełnie przygotowani. Dotychczas, jeśli coś nie „grało", zawsze można było wskazać na kierownictwo, bo to ono — faktycznie i w świadomości ogółu — sterowało wielu dziedzinami. Od X plenum ma być inaczej — partia, jeżeli pragnie wpływać np. na gospodarkę w mieście, musi to czynić poprzez swych przedstawicieli w radzie narodowej, poprzez członków PZPR w organizacjach gospodarczych itp. — słowem: nie bezpośrednio, nie „ręcznie". Te czasy naprawdę już się skończyły. Ale — powtarzam — w świadomości wielu członków partii pozostał nawyk wskazywania palcem, szukania winnych u siebie. A tymczasem, do zaskoczenia spowodowanego X plenum, doszedł szok klęski wyborczej, a potem — źle przygotowane urynkowienie. W końcu stało się też jasne, że nie ma szans na to, iż „centrum" podejmie rychło korzystne dla Łodzi decyzje. Błędem łódzkich władz było to, iż za bardzo liczono na te decyzje, a za mało na własne siły i operatywność. Decyzje „centrum" miały być plastrem na wszystkie łódzkie rany. Tym większy był niepokój, gdy przekonano się, że na pomoc z Warszawy nie ma co liczyć. W takiej sytuacji ukazał się list z „Polmerino". List spowodował wstrząs. Zaczęto — starym nawykiem — szukać winnych za stan miasta w kierownictwie instancji. Nie mówię tu o opozycji, mówię o członkach partii. Ja ich rozumiem, bo jesteśmy partią w ewolucji. Do niedawna odpowiadaliśmy za wszystko, obecnie — czujemy się odpowiedzialni, ale w inny sposób. Istnieją bowiem oczywiste zaszłości, cały ten „garb" minionych decyzji, który sprawia, że odpowiedzialności za to miasto nie pozbędziemy się nigdy. Mamy jednak świadomość, że obecnie rządzi już ktoś inny. My zostaliśmy do rządu tylko zaproszeni — to jest różnica.

— Czy można to zrozumieć w ten sposób, że istnieje dramatyczny rozdźwięk pomiędzy oczekiwaniami większości członków partii, którzy traktują swe kierownictwo tak, jakby ono nadal bezpośrednio zarządzało miastem — a stanem faktycznym, który charakteryzuje się tym, że nie ma mowy o zarządzaniu, a co najwyżej o pośrednim (poprzez np. radnych z PZPR) wpływie na decyzje?

— Moim zdaniem, jest to dramat partii, a zarazem najtrudniejsze zadanie: jak doprowadzić do tego, żeby z partii zrośniętej z państwem (i — w konsekencji — z władzami miasta) stała się PZPR normalną siłą polityczną, zdolną do działalności w pluralistycznym otoczeniu. Stanie się to możliwe w pełni dopiero wtedy, gdy zmieni się mentalność wielu członków partii, którzy są dotychczas na etapie partii państwowej. Muszą się oni rozstać ze starymi przyzwyczajeniami.

— Co więc nas czeka w Łodzi w najbliższej przyszłości: walka polityczna czy porozumienie? Pytam o to, gdyż niedawno w telewizji powiedział pan, iż „czeka nas walka o partyjnego prezydenta".

— Przed samym nagraniem dowiedziałem się, iż łódzkie kierownictwa ZSL i SD spotkały się z „Solidarnością", aby ustalić wspólnych kandydatów na prezydenta. Uczyniły tak, choć wcześniej umówiliśmy się z nimi, kogo będziemy wspólnie popierać. Bez słowa uprzedzenia zmienili nagle front. Pod wrażeniem tej wiadomości, wypowiedziałem się w telewizji nazbyt może emocjonalnie. Nie należy tego odczytywać w ten sposób, że nastawiamy się na ostrą walkę polityczną. Przeciwnie — mam nadzieję, że zbudujemy coś w rodzaju platformy porozumienia. Mamy przecież wspólny interes: jest nim pomyślność Łodzi, która bez naszej zgody będzie się nadal pogrążać. Tak już jest, że jeśli „centrum" — obojętnie, jakie by ono nie było — dostrzeże, że jesteśmy skłóceni, że blokujemy nawzajem swe wysiłki — nie będzie się paliło do rozwiązania naszych problemów. Nade wszystko powinniśmy reprezentować wobec rządu jednolite stanowisko w kwestii podziału dochodów. Chodzi o to, żeby na miejscu, w Łodzi, pozostawało więcej z wypracowanych w łódzkich fabrykach pieniędzy. Bez przeforsowania tej decyzji trudno będzie ruszyć z miejsca.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Hamduna była córką Mamuna i żoną wielkiego wezyra. Odznaczała się najdoskonalszą urodą; zadziwiała swoją figurą i harmonią kształtów. Nikt na świecie w tych czasach nie przewyższał jej wdziękiem, świetnością i doskonałością. Bohaterowie, którzy ją ujrzeli, stawali się skromni i potulni, opuszczali wzrok na ziemię, by nie ulec pokusie, do tego stopnia Allach najwyższy nie szczędził jej uroków i doskonałości. Bahlul zawsze unikał z nią spotkania z obawy, że nie oprze się pokusie. Sprowadziła go do siebie, chociaż lękając się o swój spokój, nie był u niej jeszcze nigdy i znalazł się tam dopiero teraz — kolejny fragment arabskiej „Kamasutry" z XVI wieku.

— Odbezpieczyłem rewolwer. Czekałem. Herman pojawił się jak duch, nagle i bezszelestnie. Czekałem przecież na niego, a mimo to na jego widok oblał mnie zimny pot, dygotałem cały ze strachu, miotany wstrętem, nienawiścią i ciekawością. Mierzyłem w głowę, ale chciałem podpuścić go bliżej, wystawić na pewny strzał, zwlekałem więc, czując narastającą wściekłość. Herman ostrożnie postąpił naprzód. Wydaje mi się, że musiałem uśmiechać się do siebie cierpko, z satysfakcją. Ja byłem ukryty w mroku, a jego wysoka sylwetka rysowała się wyraźnie — fragment powieści MACIEJA SWIERKOCKIEGO pt. „Lizabójca czyli zabawy barbarzyńców".

— Michaił Tuchaczewski był zwolennikiem wojny prewencyjnej. Uważał, że decydujący cios trzeba zadać, nim Niemcy zdążą się dozbroić. Stały za nim wpływowe koła radzieckiej generalicji. Józef Stalin był o tym informowany na bieżąco. Nie ukrywał irytacji. Co za głupota i jaki brak wyobraźni. Gdyby Związek Radziecki zaatakował Niemcy, natychmiast powstałby potężny blok państw kapitalistycznych, spieszących Niemcom z pomocą. Zachód śni przecież o tym, by komunistycznej zarazie zadać śmiertelne pchnięcie. Czyżby Tuchaczewskiemu marzyły się wawrzyny Bonapartego? — o wspólnej aferze gestapo i NKWD pisze JAN BĄBIŃSKI.

ze str. 1

stały procesy łączenia się kapitałów, powstały struktury o charakterze monopolistycznym. Był to więc efekt nieskrępowanego rozwoju, za którym liberałowie optują!

J. K.-M.: — Przeciwnie! To interwencjonizm państwa, narzucanie przez nie barier celnych doprowadziło do powstania monopoli. Każda państwowa ingerencja działa z natury rzeczy na rzecz gigantów, przeciwko małym i średnim firmom. Cały ten socjalizm, czyli system podatków progresywnych — także uderza wyłącznie w małe, drapieżne firmy, które pchają gospodarkę do przodu.

J. D.: — Błędny jest również pogląd, że kapitalista jest brzydkim wyzyskiwaczem. Komu, jak nie kapitaliście zależeć powinno na dobrobycie społecznym, skoro tylko zamożność kupujących umożliwia korzystny zbyt towarów? Przytacza się często przykłady okrucieństw wczesnego kapitalizmu. Zapomina się jednak, jaka bieda panowała wówczas na wsi. Wczesny kapitalizm nie pogłębiał tej biedy, przeciwnie — był sposobem na jej uniknięcie bądź złagodzenie.

J. K.-M.: — W jednej z prowincji francuskich pod koniec XVIII wieku przez 10 lat ani jedno dziecko nie dożyło pełnoletniości. Taka była śmiertelność na wsi, zanim narodził się kapitalizm. Wmawia się nam ciągle, że postęp zdrowotności dokonał się wbrew rozwojowi przemysłu i kapitału. Jest oczywiste, iż było odwrotnie!

W.K.: — Ale mamy teraz koniec XX wieku. Istnieją kwitnące gospodarki, gdzie rola państwa jest duża i widoczna.

J. K.-M.: — W jakich krajach?

W.K.: — Na przykład w Szwecji.

J. K.-M.: — Proszę nie żartować.

J.D.: — Szwecja jest bogata, to nie ulega kwestii, ale dzięki czemu? Dzięki liberalnej gospodarce w przeszłości, gdy coroczny przyrost dochodu narodowego sięgał kilkunastu procent. Socjaldemokraci, którzy wprowadzili w Szwecji etatyzm, nie mogą się pochwalić takimi osiągnięciami.

MACIEJ JANKOWSKI: — Powiedzmy sobie wprost: gospodarka Szwecji jest obecnie w stanie zastoju. Dla nikogo nie może zatem stanowić przykładu. Również i dla nas.

W.K.: — Zaraz, panowie, przecież oczywiste jest, że jeśli się osiągnie wysoki pułap rozwoju, to każdy następny procent bardzo jest trudno uzyskać! Pan Mikke powołuje się tymczasem na przykład Wietnamu, który — wprowadzając wolnorynkowe reformy — osiągnął pewien sukces. Tylko — zapytuję — z jakiego pułapu tam wystartowano? Z bardzo niskiego.

J. K.-M.: — To, iż kraje bogate rozwijają się wolniej, jest wyłącznie problemem psychologicznym. Po prostu: ludziom bogatym już się tak nie chce pracować. Gdyby im się chciało, tak jak chce się narodom Azji południowo-wschodniej, byłoby im jeszcze łatwiej, bo są bogaci. Bogatemu, który posiada miliony, łatwiej jest zarobić pierwszy miliard...

E.L.: — Czy są na świecie kraje liberalne?

J. K.-M.: — Obecnie nie ma. Są kraje o gospodarce zbliżonej do liberalnej.

W.K.: — Nie ma, bo minął już wiek XIX...

J. K.-M.: — Przeciwnie, bo nie zaczął się jeszcze XXI!

Władza pochodzi od Boga

ANDRZEJ GĘBAROWSKI: — Dążenie do reprywatyzacji, czyli do radykalnej zmiany obecnych stosunków własnościowych w przemyśle uspołecznionym, doprowadzić musi do kolizji z interesami związków zawodowych, których podstawowe masy członkowskie rekrutują się z wielkich, często deficytowych przedsiębiorstw. Jaki jest zatem wasz pogląd na rolę związków?

J.D.: — Jeżeli odpowiedzialne urzędy nie przełamią siły ustawodawczej związków zawodowych, to my, liberałowie, widzimy czarno. Będzie się wtedy umacniać populizm, który prowadzi nas w ślepą ulicę. Widzimy obecnie dwa wyjścia: albo populizm, albo wariant wietnamski, czyli zdyscyplinowanie polityczne społeczeństwa w połączeniu z liberalizacją w gospodarce. W warunkach polskich ten drugi wariant byłby jednoznaczny z silnym poszerzeniem sfery wolności obywatelskich. To ostatnie może się wydawać dziwne: jest to stary błąd, polegający na utożsamianiu przeciwników demokracji z gnębicielami wolności. Owszem, jesteśmy przeciwko demokracji, bo wcale nie uważamy, że większość ma rację. Zawsze jednak najważniejszą wartością pozostanie dla nas idea wolności. Dlatego silna władza — jak najbardziej, ale władza ograniczona do niektórych dziedzin życia państwowego, takich jak prawodawstwo i obronność. **Pozostałe dziedziny, a zwłaszcza sfera gospodarki, muszą pozostać domeną całkowitej wolności. Opowiadamy się przy tym za silnym samorządem lokalnym.**

J. K.-M.: — To związki zawodowe są przeciwko wolności, nie liberałowie. Działacze związkowi terroryzują załogi! Oni nie bronią ludzi, oni ich niewolą. Wiedzą dobrze, że każde wyjście ponad przeciętność, chęć szybszego niż inni wzbogacenia się — uszczuplają ich wpływy.

E.L.: — Na razie są silni. A mogą stać się potęgą, jeśli — tak jak usiłuje to robić OPZZ — będą konsekwentnie bronić osiągniętego poziomu życia.

J. K.-M.: — Jest pan taki pewien? To już nie te czasy, gdy krzykacze związkowi wyprowadzali ludzi na ulice. Proszę zobaczyć, jak mozolnie rozwija się ruch „Solidarności" w przedsiębiorstwach. To właściwie nie rozwój, a stagnacja. O związkach OPZZ nie mówię, bo one — oprócz krzykliwej centrali — właściwie nie istnieją, są całkowicie bierne.

A.G.: — Najwyraźniej więc czekacie na pojawienie się w Polsce silnego ośrodka władzy, który będzie miał ochotę na zrobienie w kraju porządku — po waszej, oczywiście, myśli. Co to będzie za ośrodek?

J. K.-M.: — To zależy, jak konkretnie ułoży się sytuacja. Jeśli np. powstanie w Polsce duże zamieszanie, zupełny bałagan polityczny i gospodarczy, to trzeba będzie, aby jakiś generał zaprowadził porządek.

A.G.: — I pan go wtedy poprze?

J. K.-M.: — Oczywiście. La belle epoque nastąpiła we Francji po tym, jak zgnieciono Komunę Paryską.

A.G.: — Czy takich myśli i zamiarów nie miał pan także w momencie, gdy generał Jaruzelski wprowadzał stan wojenny?

J. K.-M.: — Miałem! Nigdy nie ogłosiłem żadnego oświadczenia potępiającego stan wojenny. Przeciwnie — w 1981 roku wyraźnie go zalecałem, jako jedyny ratunek dla kraju. Na 4-miesięczną „internę" poszedłem dopiero w marcu... Z perspektywy następnych lat oceniam, że stan wojenny nie został wykorzystany na rzecz prawdziwych, liberalnych reform. Zmarnowano dużą szansę.

A.G.: — Czy jesteście za silną władzą, niezależnie od tego, skąd ona pochodzi?

J. K.-M.: — Władza pochodzi od Boga. My jesteśmy za taką władzą, która zechce przeprowadzić nasze reformy. Nigdy nie poprzemy dogmatyków, ani socjaldemokratów, ani w ogóle wszelkiej maści socjalistów.

J.D.: — Czy nie sądzicie panowie, że zdarzają się sytuacje, gdy odpowiednio wczesne zastosowanie przemocy jest równoznaczne z uniknięciem później o wiele większych ofiar? Jeśli dziś nie podejmie się radykalnych działań na rzecz gospodarki, to prędzej czy później ktoś inny będzie musiał wydawać rozkazy użycia pałek albo nawet strzelania do ludzi. Chodzi o to, aby już obecnie podejmować twarde decyzje (choćby i przemocą), aby w przyszłości uniknąć strzelania do tłumów.

E.L.: — Jakie twarde decyzje? Może na przykład wprowadzenie planu Sachsa?

J. K.-M.: — W ogólności się z nim zgadzam, chociaż nie twierdzę, że wszystkie szczegóły są doskonałe. My to samo w zasadzie mówimy od lat.

W.K.: — Plan Sachsa — jeśli pominąć niektóre, dość niepoważne szczegóły — zawiera racjonalne jądro. Konieczność zniesienia dotacji, wolność dla cen, wprowadzenie wymienialności złotówki — z tym można się zgodzić. Jest tylko kwestia metod i szybkości działania. Metody, dobre w Boliwii, odpadają w Polsce, ze względu na inne zupełnie uwarunkowania społeczne. Spór idzie więc nie o to, co robić, tylko: jak to zrobić. A Sachs proponuje rzucenie się głową w dół, na oślep, bez zbadania, czy jest jakaś szansa na wypłynięcie.

J. K.-M.: — Co do metod także się zgadzam z Sachsem. W Boliwii było znacznie trudniej niż w Polsce. Z tego choćby powodu, że związek boliwijskich górników był wyjątkowo silny, a przy tym uzbrojony!

J.D.: — Nie ma aż tak wielkich różnic pomiędzy Polską a Boliwią. W obu krajach występowała duża ingerencja państwa w gospodarkę. I tu, i tam brak jest klasy średniej, silne są (w Boliwii — były) związki zawodowe, słabiutka jest infrastruktura techniczna. Powiedziałbym jednak, że Polska ma lepsze pozycje wyjściowe do reform niż Boliwia.

J. K.-M.: — Co do jednego nie ma z Sachsem zgody: długi trzeba spłacać. Jest to dla nas, konserwatystów, kwestia zasad.

J.D.: — Dziś prawie każdy mieni się zwolennikiem wolnego rynku. Wszyscy, i liberałowie, i na przykład socjaldemokraci z „Solidarności" wiedzą, że potrzebne są głębokie reformy w tym kierunku. Różnica jest taka, że oni by chcieli — ale się boją. My natomiast gotowi jesteśmy wprowadzić je od razu. Nie musimy oglądać się do tyłu — wystarczy, że patrzymy przed siebie, na wizję zamożnej Polski. Oni spoglądają w tył, na swoją bazę społeczną. Są uwikłani w interesy związkowe.

E.L.: — Czy rząd Tadeusza Mazowieckiego ma szansę?

J. K.-M.: — Przede wszystkim — to nie jest rząd. Rząd jest to organ wykonawczy wyłoniony przez partię rządzącą, kierujący się tą samą logiką celów i środków. W składzie rządu Mazowieckiego są reprezentanci poszczególnych partii, i każdy z nich będzie musiał prowadzić własną politykę. Przypuszczam więc, że rząd jako całość nie będzie miał żadnej (spójnej) polityki.

W imię wolności — precz z demokracją!

Pod prąd — czy z prądem dziejów?

A.G.: — Mienicie się konserwatywnymi liberałami. Interesuje mnie pierwszy człon tej nazwy. Czytając wasz program zwraca się uwagę na postulat utworzenia silnej armii zawodowej oraz na dążenie do ograniczenia politycznych praw kobiet. Oba te postulaty idą jakby pod prąd dziejów cywilizacji — tak przynajmniej do niedawna uważało się dość powszechnie. Wszyscy przecież mówią o rozbrojeniu, ciągle się też prawi o potrzebie faktycznego równouprawnienia płci. A tu — taki program...

J.D.: — Przyjechał do kraju Jan Nowak-Jeziorański, kurier czasów wojny, wieloletni dyrektor „Wolnej Europy". Ten człowiek, który spędził w Niemczech szmat swojego życia, ostrzega nas: podchodźcie z dużą ostrożnością do wizji Europy bez granic, bo w tej Europie zjednoczą się Niemcy i to one będą hegemonem. Wtedy — powiada Jeziorański — kto wie, czy nie powrócą szybko na drogę starych błędów. Co to oznacza — wiemy z historii. Tak mówi nie żaden endek, tylko człowiek, który po prostu poznał dobrze Niemcy i Niemców. Tyle a propos silnej armii...

J. K.-M.: — Co zaś się tyczy kobiet, to zdziwi się pan: mamy u nich znacznie większe poparcie niż u mężczyzn. Feministki stanowią pół procenta żeńskich głosów. Reszta kobiet głosuje z reguły na mężczyzn. Gdyby ich głosy przeważały, nigdy by nie doszło do wyboru np. Margaret Thatcher, którą bardzo szanujemy. Nie zamierzamy odbierać kobietom biernego prawa wyborczego, tylko czynne.

J.D.: — Wiele wykształconych kobiet oburza się, że chcemy je zdegradować do roli pomocy kuchennej. Nic podobnego — mamy dla kobiet najwyższy szacunek. Są one przecież ostoją rodziny, którą stawiamy — pośród wartości takich jak własność, honor i wolność — na piedestale naczelnych wartości cywilizacji chrześcijańskiej. Zapytuję: czy praca zawodowa wyzwoliła kobiety? Naszym zdaniem — zdegradowała je! Miejsce kobiety jest bowiem w domu, w kręgu rodziny. Tam tworzy ona właściwy domowi moralny ład, tam wychowuje dzieci, które bez jej codziennej opieki stają się szybko problemem dla policji. Bez kobiety w domu nie ma ładu w społeczeństwie...

M.J.: — Takie społeczeństwo nie ma także przyszłości, bo rodzi się zbyt mało dzieci, jak to widać na przykładach Węgier, Czechosłowacji, NRD czy Francji, której — zwłaszcza na południu — grozi zalew ludności muzułmańskiej.

J.D.: — Oczywiście, w obecnych warunkach w Polsce powrót kobiet do domu jest niemożliwy. Będzie natomiast możliwy w społeczeństwie liberalnym, które pozwoli mężczyznom godziwie zarabiać, tak, aby utrzymali oni całą rodzinę.

A.G.: — Im bogatsze państwo, tym silniej chroni ono słabszych obywateli — uważa się tę zasadę za zdobycz cywilizacji. Wy mówicie co innego: każdy jest kowalem swego losu, biedni mogą winić tylko siebie. Powołujecie się przy tym na wartości chrześcijańskie. A gdzie chrześcijańskie miłosierdzie?

J. K.-M.: — Czytałem niedawno pamiętnik wybitnego biznesmana z Polski, który przed wojną znalazł się w Nowym Jorku, był bez pracy. Na nowojorskiej ulicy poprosił, zziębnięty, o papierosa. Przechodzień minął go z szyderczym uśmiechem. Do tej pory — wspomina ów biznesman — jestem nieznajomemu wdzięczny, iż nie okazał mi wówczas życzliwości: stanąłem dzięki temu wkrótce na nogi. Podobne historie opowiadają inni, którzy zrobili wspaniałe kariery. Z reguły zaczynały się one od wyrzucenia z poprzedniej pracy...

A.G.: — Według pana, każdy może stać się wybitnym człowiekiem?

J. K.-M.: — Na tyle, żeby wyżyć — to każdy.

E.L.: — A samotne kobiety, jak one sobie poradzą?

J. K.-M.: — A dlaczego one są samotne? Ponieważ istnieje coś takiego, jak system opieki socjalnej. Część z nich to zresztą fałszywe samotne kobiety, które wybrały samotność, bo umożliwia im to system. To samo zjawisko występuje w Ameryce: im więcej opieki socjalnej, tym więcej rozwodów. A po drugie — żyjemy przecież w kraju demokratycznym. To znaczy, że mamy u siebie 51 procent ludzi, którzy pragną oddawać własne pieniądze biednym współobywatelom. No to niech dają! Bez pośrednictwa urzędników, na odbiurokratyzowane fundacje. Będzie to prostsze i bardziej skuteczne.

M.J.: — Różnego rodzaju socjaliści zarzucają nam brak wrażliwości społecznej. Twierdzimy, że jest przeciwnie. To my oskarżamy socjalizm o znieczulicę. Syn w Polsce oddaje własnych rodziców do domu starców, i czuje się usprawiedliwiony — bo płaci przecież podatki! W gospodarce liberalnej nie będzie miał takiego usprawiedliwienia. Stanie się wystarczająco bogaty, aby zapewnić rodzicom dostatni schyłek życia. Marginesy biedy w społeczeństwie wolnych wytwórców jest rzeczywiście marginesem. Wprawdzie zwiększa się rozpiętość dochodów, ale zyskują wszyscy: również biedacy, którzy stają się mniej biedni. A spójrzmy na socjalizm: jakież ogromne dysproporcje! Niekoniecznie wyrażają się one w wysokości dochodów, częściej — są ukryte, zaś uprzywilejowanie polega na nieograniczonym dostępie do deficytowych towarów.

J. K.-M.: — Gwoli jasności: z socjalistami różnimy się nie co do technik społecznych, ale co do wartości. Jeśli powstanie ograniczona warstwa biednych, to dobrze. Musi istnieć taka warstwa, aby warto było piąć się pod górę! Jest to nieodzowny czynnik zdrowia społecznego — taki „kop" ku społecznym wyżynom. Mają go ambitni młodzieńcy z względnie ubogich środowisk. To oni wytwarzają najwięcej wartości.

E.L.: — Jakie są — waszym zdaniem — szanse na poparcie społeczne programu UPR?

J. K.-M.: — Byłem zaszokowany reakcjami po audycji telewizyjnej, w której wystąpiłem, domagając się zniesienia socjalizmu. Poprosiliśmy w niej telewidzów o opinie. Czekając na listy, przypuszczałem, iż odpowiedzi popierających moje stanowisko będzie około 40 procent. Doczekałem się jednak aż 85 procent listów z wyrazami poparcia!

E.L.: — Ale wybory przegraliście!

J.D.: — Dla ludzi ważna była tylko etykietka „Solidarności". O tym, że liczyła się etykietka, a nie poglądy, świadczy wybór profesora Zawiślaka, członka UPR, w skład Sejmu PRL. Przeszedł, ponieważ występował w „drużynie Lecha". Inni nie przeszli, bo nie mieli znaczka w klapie...

A.G.: — Pomimo tej porażki, kierunek rozwoju wydarzeń idzie chyba po waszej myśli?

J. K.-M.: — O tak, jest dokładnie tak, jak przewidywaliśmy. Każdy następny rząd ma w swym składzie więcej liberałów.

J.D.: — Ja nie jestem takim optymistą. Uważam, że widmo populizmu wciąż jest groźne.

— Dziękujemy za rozmowę.

Opracował:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Z tej ziemi

Dwa razy dwa jest cztery, ale...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

19.09.1989.

1.

Wszyscy z uwagą przysłuchują się temu, co mają do powiedzenia nowi ministrowie zupełnie nowego rządu. Rząd ten istnieje króciutko i ministrowie mogą się ograniczyć jedynie do deklaracji, zapowiedzi, obietnic. Słucham więc i ja, kiedy mówią do mnie przez radio lub czytam, kiedy gazeta dotrze do lasu, gdzie wypoczywam. Oto właśnie usłyszałem przez radio cytowany fragment wypowiedzi minister kultury Izabelli Cywińskiej udzielonej tygodnikowi „Odrodzenie". W zapowiedzi przyszłej działalności Izabella Cywińska powiedziała, że zamierza zlikwidować niektóre festiwale oraz cenzurę. Żyję już dość długo na tym świecie i zdarzało mi się słyszeć nawet bardziej obiecujące zapowiedzi, które w sferze pięknych deklaracji pozostały. Ale zobaczymy, poczekamy. W każdym razie minister Izebelli Cywińskiej życzę jak najlepiej.

Co nie znaczy, że nie mam wątpliwości. Moje wątpliwości biorą się z minionej praktyki i dotyczą „ludzi z branży" na urzędniczych stanowiskach. Przeżyłem już — w czasach, gdy wydziały prasy, radia i telewizji lub inaczej nazywane KC PZPR niepodzielnie dyrygowały prasą, radiem i telewizją — wielu dziennikarzy, którzy zajmowali się z centralnego szczebla „robieniem propagandy" i wiem, że dla propagandy a w szczególności dla prasy, radia i telewizji na dobre to nie wychodziło. Z bardzo prostej przyczyny. Taki redaktor sam wiedział, jak się to robi i — zamiast robić politykę — wyręczał innych redaktorów. Byli więc tacy, którzy wysyłali dyspozycje, jaka wiadomość, w jakim miejscu i na jakiej stronie ma się ukazać, a byli i tacy, którzy zajmowali się redagowaniem DTV. Natomiast zupełnie inaczej pracowało się, gdy na tym miejscu zasiadali politycy, którzy do redagowania gazet i DTV nie mieli ani ochoty, ani czasu, ani kwalifikacji, bo rozumieli, że to nie ich rola i zadanie.

Fotel ministra kultury i sztuki też zajmowali już różni ludzie, artyści, pisarze, naukowcy, To bardzo niewygodny fotel. Mało kto czuł się w nim dobrze. I z mało kim dobrze czuli się artyści, pisarze, popularyzatorzy kultury, księgarze, wydawcy. W sytuacji, gdy „człowiek z branży" zasiada w tym fotelu rodzi się pytanie: kim on się okaże, urzędnikiem, samolubnym twórcą nie dostrzegającym innych, czy zręcznym politykiem od kultury?

W ciekawej książce Wincentyny Wodzinowskiej-Stopkowej pt. „Portret artysty z żoną w tle" jest scena, która rozgrywa się w teatralnym bufecie podczas przygotowań do wystawienia sztuki Leona Kruczkowskiego „Śmierć gubernatora". Młodszym przypomnę tylko, że Leon Kruczkowski wiele lat temu był ministrem kultury, a następnie członkiem Rady Państwa. Autorka, podpiwszy sobie nieco, powiada do Leona Kruczkowskiego:

— Ty sobie piszesz pod lampą, a pomaga ci we wszystkim członek Rady Państwa, którym też jesteś. Nawet recenzenci boją się o tobie wyrazić krytycznie... Jak wy możecie coś wiedzieć o narodzie! Jeździcie tylko autami! Gdybyś chodził piechotą, musiałbyś zobaczyć, że na każdej wystawie stoi taka torba, a gatunek jej jest taki, że sama z siebie zaczyna się pruć już na wystawie... Ale ty nie chodzisz piechotą, masz szofera i wspaniały samochód...

Leon Kruczkowski nie obraził się za te kilka słów prawdy, ale i nic też z tego nie wynikło.

Gdy tak się zastanawiałem nad filozofią obsadzania tak skomplikowanych stanowisk ministerialnych, przyjechał do lasu odetchnąć świeżym powietrzem z Poznania pewien współpracownik Izabelli Cywińskiej. Na moje wątpliwości odpowiedział:

— Ty się nie martw, ona reżyserować życia kulturalnego raczej nie będzie, będzie robić politykę w kulturze.

No i dobrze! Raczej odetchnąłem z ulgą. Ale jak będzie naprawdę, to dopiero życie pokaże. Oby było jak najlepiej!

2.

Siedzę w tym lesie i słucham radia. No, nie tylko. Czytam, trochę piszę. Odpoczywam. Ale wracając do radia. Słucham i ogarnia mnie przerażenie. Ceny rosną tak szybko, że trudno opanować wiedzę o tym. Wrócę do Łodzi — już niedługo — i znajdę się w zupełnie innym świecie.

Odnoszę nieprzeparte wrażenie, że w każdym przedsiębiostwie siedzi uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej i wykonuje proste działania arytmetyczne: dodawanie i mnożenie. Przychodzi dyrektor lub prezes, przynosi mu plik kartek i mówi:

— Te niebieskie pomnożyć przez trzy, a te czerwone przez pięć!

I nasz uczeń robi te proste zadania, a następnego dnia — albo jeszcze tego samego — ukazują się one na półkach sklepowych jako nowe ceny. I zabawa trwa. Tylko ludziom na emeryturze i rencie włosy bieleją ze strachu. Ceny rosną przerażająco, renta stoi w miejscu, a zatem maleje. Nawet umrzeć nie przyjdzie łatwo, jeśli pomyśli się o cenie trumny, pogrzebu i tak dalej...

Indeksacja płac ma teraz być nie kwartalna, ale miesięczna, więc niektórzy już nie niepokoją się o rosnące koszty utrzymania. Ale mnie niepokoi zupełnie coś innego. Wszyscy gonią za opłacalnością, za zyskiem, za korzyściami. Zrozumiałe to i nie powinno być w tym nic złego. A przecież jest, gdyż — jak już wspomniałem — odbywa się to drogą działań arytmetycznych i to ograniczonych do mnożenia i dodawania. Ceny nie rosną dlatego, że rośnie wydajność pracy, poprawia się jakość towarów, wzbogaca się ich wybór. Wręcz przeciwnie — to samo kosztuje coraz drożej. I to najczęściej to, czego nie ma. Półki w sklepach nadal są puste. Z mnożenia i dodawania liczb produkcji nie przybywa.

Nikita Chruszczow odsłania kulisy polityki Józefa Stalina.

Prawda o wojnie radziecko–fińskiej

RYSZARD BADOWSKI

O wojnie radziecko-fińskiej 1939—1940 pisał w „Odgłosach" Marian Kubacki (nr 48/88). Być może niektórzy czytelnicy pamiętają fragment jego artykułu, naświetlający moment, w którym przemówiły działa.

„26 listopada 1939 r. nastąpiło gwałtowne pogorszenie napiętej sytuacji w stosunkach między obu państwami. Moskwa ostro zaprotestowała przeciwko ostrzelaniu przez artylerię fińską miejscowości Mainika, co pociągnęło za sobą śmierć czterech oraz zranienie dziewięciu osób (niektórzy twierdzą, że była to prowokacja)... Dalsze incydenty graniczne spowodowały wojnę."

Czyja to była prowokacja?

„Wspomnienia" Nikity Chruszczowa, które drukuje „Ogoniok", nie pozostawiają cienia wątpliwości, że prowokację zainicjowała strona radziecka. Za napaść na Finlandię odpowiedzialny jest Józef Stalin. Współautorem prowakacji był Wiaczesław Mołotow. Uczestniczył w niej pośrednio Otto Kuusinen i Nikita Chruszczow.

Nikita Chruszczow był od 1939 roku członkiem Biura Politycznego WKP(b). Przebywał w Kijowie, gdzie pełnił funkcję I sekretarza KC KP Ukrainy. Oto co mówi na ten temat:

— Pewnego razu, kiedy przyjechałem do Moskwy, było to późną jesienią 1939 roku, Stalin zaprosił mnie do domu: — Przyjeżdżajcie, zjemy coś wspólnie, będą Mołotow i Kuusinen.

Otto Kuusinen był wówczas sekretarzem Międzynarodówki Komunistycznej. Działacz fińskiego i radzieckiego ruchu robotniczego, dowódca oddziału Czerwonej Gwardii w Helsinkach w czasie rewolucji 1905—1907 roku.

W latach 1908—17 poseł do fińskiego autonomicznego Sejmu. W 1918 roku członek rewolucyjnego rządu Finlandii. Należał do założycieli Komunistycznej Partii Finlandii. Po upadku rewolucji fińskiej przebywał w ZSRR.

Częścią Związku Radzieckiego była Karelska Autonomiczna Republika Radziecka. Karelowie, blisko spokrewnieni z Finami, utworzyli w 1920 roku Karelską Komunę Pracy, której w 1923 roku nadano autonomię państwową. Karelię od XI wieku kolonizował Nowogród, który w 1227 roku narzucił jej chrześcijaństwo obrządku wschodniego. W 1478 roku Karelia została przyłączona wraz z Nowogrodem do państwa moskiewskiego. Przez jakiś czas panowali w niej Szwedzi. Nigdy nie miała związków państwowych z Finlandią. Mieszkali w niej Karelowie (w mniejszości), Rosjanie (stanowili większość) i Finowie, wśród których było wielu uchodźców z Finlandii, takich jak Otto Kuusinen, z Karelią zresztą nie związany. Urodził się w Finlandii, ukończył uniwersytet w Helsinkach, gdzie po studiach redagował organ fińskiej socjaldemokracji „Sosialistinen Aikakauslehti" oraz gazetę „Tyomies".

Dla Otto Kuusinena Józef Stalin zamierzał utworzyć Karelo-Fińską Socjalistyczną Republikę Radziecką. Decyzję podjął po zawarciu przez ZSRR układu z hitlerowskimi Niemcami 23 sierpnia 1939 roku. Miał zamiar przyłączyć do Karelii część Finlandii i tak „wzbogaconą" republikę autonomiczną przekształcić w republikę związkową o zmienionej nazwie.

Nikita Chruszczow mówi bez osłonek:

— Przybyłem na Kreml, do mieszkania Stalina. Zaczęła się rozmowa, w toku której zorientowałem się, że jest kontynuacją wcześniejszych rozmów. Dotyczyła realizacji podjętych decyzji w sprawie podyktowania Finlandii ultimatum. Z Kuusinenem uzgodniono, że stanie na czele rządu mającej powstać Karelo-Fińskiej SRR.

Oto zaś relacja Nikity Chruszczowa z obiadu u Józefa Stalina:

— Wypowiedziana została opinia, że Finlandii należy przedstawić ultimatum terytorialne, powtórzyć żądania, które odrzuciła w czasie rozmów fińsko-radzieckich, a jeśli nie wyrazi zgody, rozpocząć działania wojenne. Była to opinia Stalina. Nie przeciwstawiałem się jej. Uważałem, że jest to opinia słuszna. Wystarczy podnieść głos, wystrzelić z armaty, wtedy Finowie podniosą ręce, przystaną na nasze żądania.

Józef Stalin, który był pod urokiem Adolfa Hitlera od 23 sierpnia 1939 roku, zaczął stosować taką samą jak on politykę dyktatu, brutalnej siły wobec sąsiadów. W tajnym protokole do paktu Ribbentrop–Mołotow zagwarantował sobie prawo do zmian terytorialnych i politycznych nie tylko w Polsce, na Łotwie i Litwie, ale również w Finlandii. Nie podobało mu się zwłaszcza, że Leningrad leżał tylko 32 km od granicy fińskiej, która przebiegała ponadto zbyt blisko strategicznej murmańskiej linii kolejowej.

Dyskusję przy stole podsumował: — *Wobec tego dziś zaczynamy.*

Tak brzmi dosłowny cytat ze „Wspomnień" Nikity Chruszczowa. Była to czysta retoryka, gdyż dyspozycje zostały już wydane.

Kto pierwszy wystrzelił?

„Wielka Encyklopedia Radziecka", wydana za Leonida Breżniewa", przypomina, że w kwietniu 1938 roku rząd radziecki zaproponował Finlandii zawarcie układu o pomocy wzajemnej, ale rząd fiński odrzucił propozycję Moskwy. Pod koniec września i w październiku 1939 roku układy o pomocy wzajemnej i nieagresji narzucono Estonii, Łotwie i Litwie. Ponowiono też propozycje wobec Finlandii. Ta jednak ogłosiła mobilizację.

W ramach układów z państwami bałtyckimi Estonia udostępniła Armii Czerwonej bazy na wyspach Dago, Ozylia i w jednym ze swych portów, Łotwa zaś oddała do dyspozycji ZSRR bazy morskie w Windawie i Lipawie. Finlandia oznajmiła kategorycznie, że nie ustąpi ani piędzi swego terytorium. Józef Stalin żądał m.in. arendy półwyspu Hanko i zmian terytorialnych na Półwyspie Rybackim (na północy w zamian za część obszaru Karelii. Pozornie były to nawet korzystne zmiany: Finlandia miała oddać 2761 km kw. za radzieckie terytorium dwa razy większe.

Wspomniana wyżej encyklopedia twierdzi, że propozycja zmian *„nie naruszała suwerenności Finlandii"*. Finowie byli innego zdania.

Oto kronika późniejszych wydarzeń według „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej.

26 listopada 1939 r. Zbrojne prowokacje fińskie na granicy. ZSRR żąda odsunięcia fińskich wojsk na Przesmyku Karelskim o 20—25 km.

28 listopada. Związek Radziecki *„zmuszony jest wypowiedzieć"* radziecko-fiński układ o nieagresji z 1932 roku.

29 listopada. Fińskie wojska powtarzają prowokacje zbrojne.

30 listopada. „W odpowiedzi na to wojska Leningradzkiego Okręgu Wojskowego rano 30 listopada przy wsparciu Floty Północnej i Bałtyckiej przeszły do natarcia na froncie od Morza Barentsa do Zatoki Fińskiej. Ze strony radzieckiej był to krok wymuszony. Nawet po rozpoczęciu działań wojennych rząd radziecki proponował Finlandii zawarcie układu o przyjaźni i pomocy wzajemnej. Rząd fiński nie zgodził się na to i 30 listopada wypowiedział wojnę Związkowi Radzieckiemu".

A co mówi Nikita Chruszczow?

— Siedzieliśmy dość długo, czekając nadejścia wyznaczonej godziny. Stalin był pewien, że do wojny nie dojdzie, że Finowie przyjmą nasze propozycje, a tym samym osiągniemy cel bez działań wojennych (...)

Nagle otrzymaliśmy telefoniczną wiadomość, że oddany został wystrzał. Finowie odpowiedzieli ogniem swojej artylerii. Mówię to, ponieważ istnieje wersja, że Finowie wystrzelili pierwsi, a my musieliśmy im odpowiedzieć.

„Fińska drzazga".

Nikitę Chruszczowa, jak całe zresztą społeczeństwo radzieckie, dręczyła *„fińska drzazga"*. Wyrzucił z siebie nie tylko prawdę o faktach.

— Czy istniały podstawy prawne i moralne — zadaje sam sobie pytanie — *do rozpoczęcia tych działań? Podstaw prawnych nie było. Z punktu widzenia moralnego troszczyliśmy się o swoje bezpieczeństwo, chcieliśmy się dogadać z sąsiadami i to nas usprawiedliwiało we własnych oczach.*

Przez całe dziesięciolecia starano się nie przypominać wojny radziecko-fińskiej 1939—40, która uwidoczniła brak przygotowania bojowego Armii Czerwonej — źle uzbrojonej i źle dowodzonej. Nikita Chruszczow mówi otwarcie: — *W wojnie z Finami pokazaliśmy swoją słabość, a Niemcy w wojnie z Anglikami i Francuzami — swoją siłę.*

Józef Stalin zaczął odczuwać wobec Adolfa Hitlera strach. Zachowywał się w jego obliczu, według Nikity Chruszczowa, *„jak królik wobec węża, był sparaliżowany"*.

Marian Kubacki pisał w „Odgłosach", że straty radzieckie w wojnie fińskiej nie są znane. Potwierdza to ówczesny członek Biura Politycznego KC WKP(b) Nikita Chruszczow:

— Nie wiem ilu poległo naszych żołnierzy, ale z pewnością znacznie więcej niż przewidywano.

Wojskowi usprawiedliwiali się przed Józefem Stalinem, że nie znali głębokości umocnień na Przesmyku Karelskim, tzw. Linii Mannerheima. Zrzucali winę na wywiad. Józef Stalin zbeształ jak sztubaka ludowego komisarza obrony Klimienta Woroszyłowa.

Doszło do nieprawdopodobnej sceny, którą Nikita Chruszczow widział *„tylko raz w życiu"*. Klimient Woroszyłow podniósł głos na Józefa Stalina:

— To ty jesteś winien. „Przetrzebiłeś kadry wojskowe".

A gdy Józef Stalin odpowiedział mu równie ostro, rzucił o stół prosięciem leżącym na półmisku.

Nikita Chruszczow nie rozwija wątku Otto Kuusinena. W pierwszej zajętej przez Armię Radziecką wiosce Terijoki powołał on rząd „Fińskiej Republiki Ludowej", o którym śladu nie ma w radzieckich publikacjach, ani też w jego oficjalnym życiorysie, ogłoszonym w „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej" i w naszej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN".

Otto Kuusinen spełnił rolę marionetki. Rząd jego rozwiązano, gdy zarysowała się perspektywa układu pokojowego, który podpisano w Moskwie 12 marca 1940 roku. Nie bardzo wiedziano, co z tym „fińskim premierem" zrobić. Układ wymusił na Finlandii poprzednio żądane terytoria, nie dając jej nic w zamian. Obszar Karelskiej Republiki Autonomicznej powiększył się, a nie zmniejszył. Utworzono wymyśloną przez Stalina Karelo-Fińską SRR (zamiast Karelskiej ASRR). Otto Kuusinen został jej prezydentem (Przewodniczącym Rady Najwyższej). Przetrwała od 31 marca 1940 roku do 16 czerwca 1956 roku. Zlikwidował ją Nikita Chruszczow jako sztuczny twór. Ogłoszone dotąd fragmenty jego „Wspomnień" nie sięgają tego okresu. Otto Kuusinen zmarł w 1964 roku. Pochowany został na Placu Czerwonym w Moskwie.

Enuncjacje Nikity Chruszczowa o wojnie fińsko-radzieckiej 1939—40 wymazują jedną z „białych plam" w dziejach ZSRR, a w każdym razie wzbogacają wiedzę o tym okresie historii i zakulisowych działaniach, jakie go kształtowały.

■

Czy RFN zapłaci nam za przymusowe roboty?

Rachuby i nadzieje

JERZY KWIECIŃSKI

Przez długi czas jedno ze środowisk polskich, które było ofiarą bezwzględnego wyzysku i przemocy hitlerowskich Niemiec, popadało z wolna, lecz nieustannie w zapomnienie. Opinia wiedziała o nich, że, owszem, byli tacy, że część z nich jeszcze żyje i obnosi się nieraz ze swoimi żalami, na które nie ma rady i pomocy. Chodzi o wielesettysięczne szeregi tzw. przymusowych robotników, wywożonych w czasie wojny pod eskortą głównie w głąb III Rzeszy, choć niekiedy i na tereny zagarnięte przez Niemcy w czasie ostatniej wojny.

Brano ludzi z ulicznych łapanek i z domów, z miast i wsi, kierując ich przez specjalny wydział Urzędu Pracy (Arbeitsamt) do fabryk, kopalń, kamieniołomów, ale i do chłopskich gospodarstw i rzemieślniczych warsztatów. Dużą część wywieziono z terenów dzisiejszej centralnej Polski, a więc i z Łodzi oraz ościennych województw, oczywiście bez żadnych umów o pracę (które jednak zawierano z obywatelami podbitych krajów zachodnich) i na czas nieokreślony, oznaczający w praktyce pobyt do końca wojny.

Wielu jej zresztą nie przeżyło, m.in. wskutek masowych nalotów alianckich, które pod koniec wojny objęły, jak wiadomo, znaczne obszary Niemiec, a zwłaszcza większe centra gospodarcze i przemysłowe. Warunki pracy i bytu, zwłaszcza w sytuacjach skoszarowania, były z reguły podłe. W tym samym wspólnym obozowisku dla różnych nacji (Gemeinschaftslager) Polaków lokowano niemal zawsze w gorszych barakach, musieli oni przestrzegać godziny policyjnej, nie wolno im było odwiedzać lokali gastronomicznych, kin i innych miejsc rozrywkowych, nie wolno było podróżować bez przepustki koleją, opuszczać granic miasta czy gminy, a żeby było Niemcom łatwiej te drakońskie zakazy egzekwować, Polacy musieli nosić w miejscach publicznych znaczki z literą „P", naszyte na klapie marynarki lub palta. To wszystko dotyczyło Polaków i tylko Polaków, ponadto pod jednym względem zaliczani byli do jeszcze bardziej upośledzonej kategorii; według przepisów Urzędu Pracy Polakom przysługiwały najniższe stawki wynagrodzenia, na równi z Żydami i Cyganami, z których zresztą bardzo niewiele pracowało na wolności. Z tym płacowym przebiskiem miałem zresztą możność zapoznać się osobiście, słysząc go „na własne uszy" od funkcjonariusza związkowego („Arbeitsfrontu").

Przytłaczająca większość byłych przymusowych robotników polskich utrzymuje się dziś ze skromnej często emerytury lub renty, co zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że najmłodsi z nich muszą już mieć co najmniej sześćdziesiątkę, a pracowali przecież w warunkach na ogół trudnych, na kiepskim na ogół wyżywieniu, o utrudnionym w praktyce dostępie do lekarza, nie mówiąc o szpitalu, często traktowani przez nadzorców brutalnie i eksploatowani bezwzględnie, a pomimo wyteżonej dziesięciogodzinnej pracy, niełatwo było, nawet przy akordzie, zarobić na kupno w kantynie dodatkowego pieczywa, margaryny czy marmolady. Do nielicznych szczęśliwców można zaliczyć tych, co trafili do ludzkiego „Bauera" lub rzemieślnika.

Otóż środowisko to, wiodące na ogół żywot cichy i skromny, w poczuciu krzywdy i frustracji, zbulwersowały przed dwoma laty nagle wieści, iż za wyzysk i bezprawie, które spotkały ich ze strony okupanta, mają oni uzyskać w niedługim czasie materialne zadośćuczynienie w postaci odszkodowań, które na ich rzecz, za pośrednictwem polskich władz ma przekazać strona niemiecka, a ściślej rząd Republiki Federalnej Niemiec.

Zawiązało się i rozpoczęło swoją działalność w wielu miejscowościach Stowarzyszenie Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką, które w Łodzi uzyskało tymczasowe pomieszczenie w lokalu Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, mieszczącej się przy ul. Piotrkowskiej. Oddział ten, jeden z pierwszych w Polsce i obejmujący początkowo rozległy region kilku centralnych województw, zaczął swą społeczną pracę od wydania informacyjnej odezwy i przyjmowania deklaracji członkowskich od każdego, kto się zgłosił do biura Stowarzyszenia.

Oddźwięk ze strony zainteresowanych przeszedł wkrótce wszelkie oczekiwania, zaczęły zgłaszać się coraz to nowe setki i tysiące z Łodzi i nawet dość odległych stron kraju, a wśród nich osoby, których wprawdzie nie wywieziono na roboty w Niemczech, lecz były współmałżonkami lub dziećmi, zmarłych już byłych przymusowych robotników. Co prawda Stowarzyszenie, a przynajmniej jego łódzki oddział, nie składało publicznych zapewnień o materialnym odszkodowaniu, kładąc nacisk na potrzebę zrzeszenia się w imię wyższych racji natury moralnej czy historycznej — choćby dla udokumentowania tego fragmentu naszej, nowszej przeszłości — jednak samo podniesienie kwestii dziedziczenia uprawnień świadczyło, iż nie zamierza się poprzestać na satysfakcjach moralnych.

Nie byłoby też dziwne, gdyby nadzieje na uzyskanie odszkodowań pobudzały społeczną aktywność grona osób skupionych wokół jednego z byłych robotników, mgr. Antoniego Lipińskiego, które zostały przez niego zaproponowane do pierwszego, stałego już, kilkunastoosobowego zarządu. Napływ nowych chętnych nie ustawał, całą klatkę schodową budynku przy ul. Piotrkowskiej — od drugiego piętra, przez wjazdową bramę aż daleko na ulicę wypełniała przez wiele dni i tygodni nie kończąca się kolejka kandydatów do Stowarzyszenia, co zakłócało pracę gospodarza lokalu, czyli Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, której pracownicy z trudem przedostawali się do swojego lokalu, po wylegitymowaniu się kolejkowym służbom porządkowym. Nie brakło tarć i napięć między działaczami obu dzielących lokal organizacji.

Po dłuższym okresie ciszy i zastoju odżyły znów nadzieje, jak i zwątpienia rzesz członkowskich Stowarzyszenia, a przyczyniła się do tego zapewne homilia prymasa Józefa Glempa, wygłoszona na uroczystościach w Częstochowie w dniu 15 sierpnia. Ksiądz prymas, wymieniając „przyczyny", które leżą u podłoża naszych kłopotów", wymienił m.in. *„zniszczenia wojenne i faktyczne pozbawienie nas reparacji oraz odszkodowań cywilno-prawnych za straty w okresie wojny"...*

„Trzeba zwrócić uwagę — mówił — *na niewolniczą pracę na rzecz okupanta nie tylko na terenie Polski, ale przez wywózkę setek tysięcy młodych Polaków na pracę do Reichu i do Austrii"*. I jak dalej przypomniał prymas Glemp: *„Mieliśmy być rozliczani z puli Związku Radzieckiego, ale Związek Radziecki zrezygnował z roszczeń w 1953 r. i Polska zrezygnowała także"*.

Wypowiedź prymasa Polski nie zawiera wprawdzie akcentów optymistycznych, ale sam fakt podniesienia kwestii polskich roszczeń wobec setek tysięcy wiernych i wskutek tego znalezienie się jej w środkach masowego przekazu, z pewnością nie tylko w Polsce mógł obudzić nadzieję, iż oto sprawie nadano znów bieg.

O odszkodowania dla Polaków poszkodowanych przez III Rzeszę upomniał się w wywiadzie prasowym prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia, prof. Jerzy Ozdowski, stwierdzając co następuje: *„Podczas gdy prawo międzynarodowe jasno formułuje obowiązek zadośćuczynienia za krzywdy zadane przez państwo napastujące i okupujące inny naród, wewnętrzne prawo zachodnioniemieckie wyraźnie dyskryminuje obywateli polskich"*. Wypowiedź prof. Ozdowskiego, choć przedstawia obecne szanse odszkodowań w niepomyślnym świetle, pozwala jednak łudzić się, iż w sytuacji międzynarodowego odprężenia i poprawy stosunków Wschód — —Zachód oraz deklaracji zachodnioniemieckich niesienia pomocy Polsce wykładnia prawa międzynarodowego zostanie uznana przez prawo zachodnioniemieckie, czego domaga się też partia „Zielonych" i niektóre koła Socjaldemokracji.

Dla pełniejszego obrazu sytuacji prawnej warto jednak poznać bezpośrednio dotychczasowe stanowisko strony zachodnioniemieckiej. Otóż w wyjaśnieniu, które przekazało jednemu z polskich petentów specjalne biuro zachodnioniemieckiego radia (Deutschlandfunk), w piśmie z czerwca tego roku stwierdza się:

„Roszczenia odszkodowawcze obywateli polskich i obywateli innych państw, którzy w czasie drugiej wojny światowej świadczyć musieli pracę przymusową na rzecz Trzeciej Rzeszy, mają charakter roszczeń reparacyjnych. Roszczenia tego rodzaju zostały uregulowane w układzie o niemieckich długach zagranicznych z dnia 27 lutego 1953 r., zwanym Londyńskim Układem o Długach. Zgodnie z literą tego układu, kwestia zbadania wywodzących się z II wojny światowej roszczeń państw, które znajdowały się w stanie wojny z Niemcami lub których terytorium było okupowane przez Niemcy oraz roszczenia obywateli tych państw skierowane przeciwko Rzeszy albo przeciwko działającym w jej imieniu placówkom lub osobom, została odroczona do czasu ostatecznego uregulowania problemu reparacji wojennych w ramach traktatu pokojowego, zawartego z całymi Niemcami. (...) Londyński Układ o Długach wyklucza możliwość odszkodowań także w odniesieniu do obywateli tych państw, które — jak Polska Rzeczpospolita Ludowa — nie przystąpiły do układu. (...) Poza tym Polska Rzeczpospolita Ludowa w drodze oświadczenia rządowego z dnia 23 sierpnia 1953 r. wyraźnie zrezygnowała z reparacji wojennych wobec całych Niemiec".

W tym wyjaśnieniu, na podstawie którego nie można sobie niczego obiecywać (pisze się dalej iż *„pogłoski o wypłacie odszkodowań pozbawione są wszelkich podstaw prawnych"*), zawiera się, jak to odczuwam, subtelna próba nacisku na różne zagraniczne koła, żeby przyśpieszyły zawarcie układu pokojowego z całymi (tj. zjednoczonymi) Niemcami, co nie jest jeszcze równoznaczne z zaciągnięciem konkretnych zobowiązań na przyszłość.

W cytowanym piśmie informuje się, że *„rząd federalny wypłacał już różne odszkodowania w stosunku do ofiar prześladowań rasowych i innych, wynikających z ideologii hitlerowskiej"*, przyznając z tego tytułu niektórym obywatelom państw obcych nawet renty specjalne, odnosi się to jednak, być może tylko do byłych więźniów obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, czy ofiar eksperymentów naukowych lub dzieci wywożonych do Reichu na zniemczenie, ale w każdym razie nie do robotników przymusowych.

Uzyskanie odszkodowania za przymusową pracę w Niemczech wydaje się więc wątpliwe, zwłaszcza w bliskim terminie, przyjmijmy jednak, czego nie można chyba wykluczyć, że zmiany zachodzące w wielkiej polityce, których wyrazem będzie też, zapowiedziana jeszcze na ten rok, wizyta w Polsce kanclerza RFN, Helmutha Kohla, mogą wprowadzić do istniejących prawnych ustaleń pomyślne dla nas zmiany.

Załóżmy więc, że dojdzie wkrótce do przyznania Polsce odszkodowań przez rząd Republiki Federalnej Niemiec. Otóż obawiam się (a przykład łódzki do tego mnie upoważnia), że nie jesteśmy do podjęcia jakichkolwiek kwot przygotowani. Nie wyobrażam sobie bowiem, żeby tak funkcjonujące i tak rządzące się państwo jak RFN, mogło podjąć finansowe decyzje bez rozeznania, ile osób w Polsce jest uprawnionych do odszkodowań z tytułu swej przymusowej pracy w Niemczech.

Nikt zresztą nie uczyniłby tego na nasze piękne oczy, ani na uroczyste słowo honoru czy nawet pisemne poświadczenia dwóch wiarygodnych osób. Nasze roszczenia muszą być skrupulatnie udokumentowane, potwierdzone przez niemieckie władze lokalne lub przedsiębiorstwa, w których zachowała się ewidencja zatrudnionych w tamtym okresie, albo za pośrednictwem Miedzynarodowej Służby Poszukiwawczej (Internationaler Suchdienst), działającej społecznie w zachodnioniemieckim mieście Arolsen, która, zapewniam, działa wzorowo.

Sąd przyznał rację ekologom.

Prosimy nie dymić!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

14 września przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi zakończył się niecodzienny proces, wytoczony Miejskiemu Przedsiębiorstwu Komunikacyjnemu przez łódzki oddział Towarzystwa Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy". Powodem sporu, który zaprowadził strony przed oblicze Temidy, było nadmierne dymienie autobusów komunikacji miejskiej, dające się — zdaniem działaczy Sekcji Ekologicznej TP „PiP" — częściowo ograniczyć dzięki zainstalowaniu w kursujących po Łodzi ikarusach pomp wtryskowych nowej konstrukcji. I tego właśnie domagali się oni w złożonym w kwietniu pozwie.

Przypomnijmy najważniejsze fakty:

Pod koniec 1988 roku członkowie Sekcji Ekologicznej TP „PiP" zainicjowali akcję mającą skłonić MPK do ograniczenia emisji spalin przez jeżdżące w jego barwach autobusy. Podali przy tym termin, w jakim we wszystkich ikarusach powinny zostać zainstalowane pompy wtryskowe nowego typu — 31 grudzień 1989 roku. Termin — w ich opinii — możliwy do dotrzymania.

Dyrekcja MPK postulaty ekologów przyjęła ze spokojem i zrozumieniem, wyjaśniając, iż przedsiębiorstwo dokonuje już z własnej inicjatywy i we własnym zakresie modernizacji wspomnianych pomp wtryskowych, gdyż i ono ma na uwadze ochronę środowiska oraz zdrowia mieszkańców, jednak dotrzymania określonego przez towarzystwo terminu gwarantować nie może, bowiem zależy to w głównej mierze od dostaw części do pomp, produkowanych przez WSK w Mielcu, a na to już MPK nie ma wpływu. Ponadto modernizacja pomp wymaga znacznego nakładu pracy, a więc i – czasu. Jak długiego — na razie nie wiadomo.

Dla działaczy TP „PiP" zabrzmiało to jak zwykły wykręt. MPK nie śpieszy się — uznali — ponieważ nie musi. Działa bez społecznej kontroli i robi co chce. Pora z tym wreszcie skończyć. Dlatego postanowili skierować sprawę do sądu. Także po to, by pokazać innym, jak należy walczyć o czystość środowiska.

Na pierwszej rozprawie — 11 maja — MPK nie tylko nie chciało zgodzić się na proponowany termin, ale wręcz zakwestionowało zasadność żądań pod swym adresem, argumentując, iż nie przedstawiono żadnych dowodów na to, że autobusy nadmiernie dymią. Zjawisko to zgodne jest z obowiązującą normą branżową — stwierdzano — a poza tym występuje głównie przy ruszaniu pojazdów z przystanku, co wynika z takiej, a nie innej konstrukcji ikarusów. MPK nie jest zatem niczemu winne. Przeciwnie, samo stara się dbać o czystość powietrza i mimo trudności w realizacji zamówień na pompy wtryskowe nowej konstrukcji, wymieniło je już w ponad połowie posiadanego taboru. Czy słuszne i uczciwe zatem jest stawianie go przed sądem?

Argumentacja ta nie przekonała jednak ani przedstawicieli towarzystwa, ani sądu, który nie uwzględnił wniosku MPK o oddalenie pozwu. Nie doszło też do zawarcia kompromisowej ugody, gdyż żadna ze stron nie chciała wycofać się z zajętego wcześniej stanowiska. Zagrały przy tym również ambicje, co dało się wyczuć tak w treści, jak i w tonie składanych oświadczeń.

Dla **Bogusława Porwisiaka** — prezesa łódzkiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy" sprawa od początku była jasna: MPK doskonale wie, że ikarusy zatruwają łódzkie ulice ponad miarę, próbuje temu jakoś przeciwdziałać, ale bez przekonania i nieudolnie. Powoływanie się zaś na tak zwane trudności obiektywne, to nic innego, jak efekt złej organizacji pracy w przedsiębiorstwie oraz bezkarności różnych jego poczynań. Ponadto nie traktuje towarzystwa jak godnego siebie partnera, czemu nie raz już dało wyraz. Nie chciało na przykład wypożyczyć mu jednego z posiadanych dymomierzy, by przeprowadzić niezależną i obiektywną kontrolę. Nie chciało też poinformować w których konkretnie autobusach zainstalowano już pompy nowego typu. Dlaczego? To proste: bo jest gorzej, niż utrzymuje oficjalnie dyrekcja MPK. A potwierdza to choćby badanie przeprowadzone 27 czerwca przez Urząd Miasta, które wykazało, że na kilkadziesiąt sprawdzonych autobusów aż osiem dymi powyżej normy. Nie jest zatem prawdą, że norma branżowa jest ściśle przestrzegana, jak mówiono przed sądem. (Notabene pochodzi ona sprzed kilkunastu lat i dawno już powinna zostać zmieniona, gdyż zupełnie nie odpowiada przyjmowanym dziś kryteriom czystości powietrza!).

Nie jest też prawdą — poinformował na jednej z konferencji prasowych Bogusław Porwisiak — że MPK ma trudności z zakupem pomp nowego typu. Oto bowiem Zakład Produkcji Aparatury Wtryskowej „WSK PZL Mielec" w odpowiedzi na zapytanie Sądu Wojewódzkiego w Łodzi powiadomił, że jest w stanie wyprodukować i dostarczyć w ciągu 30 dni potrzebną łódzkiemu MPK ilość pomp, a konkretnie — 258 sztuk. Niestety **„MPK Łódź nie występowało dotychczas do WSK Mielec o zakup kompletnych pomp do autobusów Ikarus, ani w starej, ani w zmodernizowanej wersji z dostawą na bieżący rok"**. Możliwości zatem są, tylko MPK nie chce ich wykorzystać.

Odmienny punkt widzenia prezentuje **Andrzej Łukaszewski** — dyrektor ds. autobusów z ulicy Tramwajowej. Przede wszystkim — wyjaśnia — w pierwszych dniach września już tylko pięćdziesiąt kilka ikarusów jeździło z pompami starego typu. Od 1987 roku zmodernizowano ponad pięćset wozów, więc jak można zarzucać przedsiębiorstwu, że się nie stara?

Jeżeli chodzi o pismo z Mielca, to mówi ono prawdę, ale nie całą. MPK bowiem istotnie nie zamawiało w tym roku kompletnych pomp wtryskowych, złożyło jednakże zamówienie na 200 zestawów części do modernizacji starych. Dlaczego tak? Ano dlatego, że kompletna nowa pompa kosztuje ponad 300 tysięcy złotych, a modernizacja starej — zaledwie 35 tysięcy. Słowem, MPK wybrało tańszy sposób ograniczania zatrucia środowiska przez autobusy. Niestety, WSK Mielec nie chce już sprzedawać samych części, proponując w zamian dziesięciokrotnie droższe kompletne urządzenia. I trudno się dziwić, bo skoro jest w tej dziedzinie monopolistą na polskim rynku, to może dyktować warunki. Części nie posiada też obecnie na składzie główny dystrybutor podzespołów do ikarusów — składnica Polmozbytu w Solcu Kujawskim. W tej sytuacji MPK pozostaje więc jedynie czekać.

Poza tym dyrektor Andrzej Łukaszewski zupełnie nie rozumie postawy prezesa Porwisiaka. Bo żeby MPK istotnie nie robiło nic, nie dostrzegało w ogóle problemu, to zgoda — zasługiwałoby na krytykę. Ale przecież ono zajęło się sprawą dużo wcześniej niż Towarzystwo Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy" a prezes Porwisiak nie gdzie indziej, jak właśnie w MPK po raz pierwszy usłyszał, że instalacja pomp nowego typu ograniczyć może dymienie.

I tu znów — kolejne wyjaśnienie. Otóż wymiana pomp wtryskowych, to tylko drobny fragment całego zagadnienia, jakim jest ograniczenie emisji spalin w autobusach. Nie należy sobie zatem zbyt wiele obiecywać. Oczywiście dymienie powinno ulec zmniejszeniu, ale jedynie wtedy, gdy silnik pracuje na niskich obrotach, czyli praktycznie — przy ruszaniu. By zaś można poważnie myśleć o ochronie środowiska, trzeba by: zastąpić używane dziś w Łodzi ikarusy (konstrukcja jeszcze z końca lat 60.!) jakimiś innymi wozami, wyposażonymi w naprawdę nowoczesny i „czysty" silnik, stosować paliwo lepszej jakości, a także zwiększyć tabor MPK co najmniej o 50 nowych pojazdów, gdyż te, które są w eksploatacji, jeżdżą na wielu trasach przeciążone i jako takie muszą dymić. Tymczasem nie tylko nie ma szans na wymianę taboru, ale nawet na jego uzupełnienie. Od trzech lat łódzkie MPK nie otrzymuje i połowy zamawianych autobusów, prognozy na przyszłość też nie wróżą nic dobrego. Po prostu Węgrzy wolą handlować z Zachodem. No i tam sprzedają wozy montowane z zachodnich najnowocześniejszych podzespołów, na które nas absolutnie nie stać.

— Czy wiedząc o tym wszystkim — konkluduje dyrektor Łukaszewski — rzeczywiście warto było aż tak bardzo rozdmuchiwać sprawę wymiany pomp i zabierać nią czas sądowi?

Prezes Porwisiak ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że tak. Na trzeciej rozprawie — 14 września — nie zgodził się więc na ugodę, na mocy której MPK zobowiązałoby się do wymiany pomp wtryskowych we wszystkich posiadanych autobusach w ciągu dwóch miesięcy od dnia otrzymania zestawów zamówionych części. Musi być określony konkretny termin — dowodził — gdyż w przeciwnym razie może to trwać jeszcze rok albo dwa. Nikt przecież nie wie, kiedy części nadejdą i czy w ogóle nadejdą. Pełnomocnik TP „PiP" — dr **Rafał Kasprzyk** z Uniwersytetu Łódzkiego dodał zaś, że możliwości finansowe MPK nie mogą być w świetle prawa warunkiem, od którego zależy realizacja przez MPK przyjętego w proponowanej ugodzie zobowiązania. Padło też stwierdzenie, że MPK mogłoby raczej oszczędzać na czym innym — na przykład na całkiem niepotrzebnej wymianie tablic na przystankach, jako że stosowane do tej pory, z literami „A" oraz „T" są jeszcze w dobrym na ogół stanie, a poza tym łodzianie już się do nich przyzwyczaili.

Nie widząc możliwości zawarcia ugody, po naradzie Sąd Wojewódzki wydał **wyrok nakazujący Miejskiemu Przedsiębiorstwu Komunikacyjnemu w Łodzi zainstalowanie pomp wtryskowych nowej konstrukcji** (P76-58) **we wszystkich autobusach marki ikarus do końca bieżącego roku**, podkreślając w jego uzasadnieniu, że jak wynika z informacji WSK Mielec, będzie to w pełni możliwe do wykonania.

Po ogłoszeniu wyroku Bogusław Porwisiak powiadomił przedstawicieli prasy, że Towarzystwo Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy" przygotowuje się już do rozmów z następnymi przedsiębiorstwami, które mają liczny tabor kołowy. Można więc przyjąć że prawdziwa batalia o czyste powietrze w Łodzi dopiero się zaczyna.

Fotor Grzegorz Galasiński

Z ziemi jak z książki

Archeolodzy też podzielili się

Przygotowania do Światowego Kongresu Archeologicznego w Southampton przed trzema laty wkroczyły w nieoczekiwaną dla zainteresowanych fazę: Brytyjscy organizatorzy protestując przeciw polityce apartheidu wycofali zaproszenia dla przedstawicieli Republiki Południowej Afryki. Decyzja ta wywołała dezaprobatę Międzynarodowej Unii Nauk Pra- i Protohistorycznych i jej rezygnację z udziału w kongresie. Kryzys wywołał ożywioną korespondencję, która docierając m.in. do mnie od zimy do lata 1986 r., unaoczniła wszystkim, iż archeologia przestała być azylem spokoju w uwikłanym w sprzeczności i kontrowersje współczesnym świecie nauki. Apele do bojkotu kongresu wychodziły — jak się okazało — od drobnej części uczonych. Unia zapowiedziała zorganizowanie konkurencyjnego kongresu w RFN, lecz niepewna swych racji przesunęła jego termin na rok 1987. Decyzję archeologów brytyjskich poparły bowiem inne organizacje i towarzystwa naukowe w Zjednoczonym Królestwie, a także środowiska i instytucje naukowe z innych krajów — Indii, Danii, ZSRR. Wstrząs został znacznie złagodzony, a co więcej w kongresie zapowiedzieli liczny udział badacze ze wszystkich kontynentów.

W końcu sierpnia 1986 r. jechałem więc, korzystając z zaproszenia Anglików, na kongres, który w powszechnej opinii stał się pierwszym światowym kongresem archeologicznym. Do Southampton przybyli bowiem archeologowie z wszystkich zakątków globu prezentując badania prowadzone od Czukotki po Ziemię Ognistą, od Wyspy Wielkanocnej po Madagaskar, rewidujące tradycyjne europocentryczne spojrzenie na rozwój cywilizacji ludzkiej na świecie.

Organizatorom udało się zawczasu wydać wszystkie zgłoszone referaty w kilkunastu tomach tematycznych rozesłanych do uczestników kongresu kilka miesięcy przed spotkaniem. Referenci dysponowali tylko kilkoma minutami wprowadzenia, a cały zaoszczędzony czas wykorzystano na dyskusje, nagrywane na kasety, dostępne na bieżąco. Dyskusje toczyły się wartko i równolegle w kilkunastu budynkach Uniwersytetu w Southampton. Archeologia w kontekście nauk przyrodniczych z jednej strony, z drugiej zaś społeczne, moralne i polityczne przesłanki dzisiejszej archeologii dominowały w dyskusji. Kontekst przyrodniczy podkreślały sesje „Stosunek kulturowy do zwierząt", „Perspektywa plejstoceńska" rozwoju kultur ludzkich, „Łowienie ssaków na terenie wspólnoty", „Udomowienie roślin i wczesne rolnictwo w świetle najnowszych badań". Aspekty społeczne i technologiczne podnoszono w sesjach „Studia porównawcze nad rozwojem społeczeństw złożonych", „Społeczny i gospodarczy kontekst przemiany technologicznej", „Neolit Europy i Afryki", „Epoki miedzi, brązu i żelaza w Starym Swiecie, Azji Południowej, Afryce Subsaharyjskiej", „Archeologia średniowiecza".

Miejsce archeologii w życiu współczesnym i wykorzystanie jej badań stanowiło temat obrad sesji „Kultura materialna i tworzenie nowczytnych Stanów Zjednoczonych pod kątem ludności tubylczej", „Archeologia publiczna i zarządzanie dobrami kultury" oraz najobszerniejszego zespołu zagadnień „Obiektywność archeologiczna w interpretacji", dyskutowanego przez cały tydzień w obszernym teatrze miejskim. Spędziłem w nim cały niemal czas, jako że ten rozległy kompleks zagadnień wciąż stanowi podstawowy problem warsztatu i etyki zawodowej. Dyskusję skoncentrowano początkowo na wielokulturowości i etniczności w interpretacji oraz na ekspresji symbolicznej kultury materialnej. Doszło wtedy m.in do ostrej polemiki radziecko-indyjskiej, w której nasi wschodni sąsiedzi, wciąż nawykli do powoływania się raczej na autorytety niż na argumenty, oddali pole przed rozbawionym audytorium.

W następnych dniach poruszono jeden z istotniejszych problemów archeologii w dzisiejszym świecie, a mianowicie „Politykę przeszłością", obejmujący muzea, media i inne prezentacje archeologii w aspekcie uwarunkowań, ale i konsekwencji politycznych, kulturowych, edukacyjnych. Nowa Zelandia, Australia, Hawaje, Wyspa Wielkanocna, Massachusetts, Tennessee, Nigeria, Botswana, Zimbabwe, Liban, Anglia, Niemcy i Polska dostarczyły przykładów rozwoju i deformacji w społecznym odbiorze i obrazie archeologii wywołanych przeróżnymi wpływami i naciskami rządowymi, partyjnymi, społecznymi, rasowymi i etnicznymi w ostatnich dekadach.

Jeden z 22 kongresowych tomów wychodzących obecnie w Londynie pod wspólną nazwą „Archeologia Jednego Świata" (One World Archeology) poświęcony jest tej tematyce (Politics of the Past). **Rozdział „Archeologia i ludzie" rozpoczyna się od pracy o Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi.** Wiadomo, iż bardziej bolesny jest splot polityki z interpretacją historii najnowszej powodujący i usuwający plamy różnych kolorów także w naszym kraju. Nie szukając daleko świeżych przykładów ingerencji politycznych w działalność muzealną wskazać można **Muzeum Ruchu Młodzieżowego stworzone w Łodzi w 1986 r.**, uwzględniające szczególnie — jeśli wierzyć informacjom prasy łódzkiej — organizacje z lat 1948—1956. Decyzja o określonej proweniencji politycznej, jedyna ostatnio tego typu w skali krajowej, nie wspominając już o skali miejscowej, w której muzea cierpią chronicznie na dokuczliwe niedostatki.

Przygotowania do opublikowania 22-tomowego wydawnictwa rozpoczęto już w czasie trwania kongresu archeologicznego. Po mym wystąpieniu w sesji „Polityka przeszłością" redakcja innego tomu, poświęconego archeologii w edukacji młodzieży zachęciła mnie do opracowania tego zagadnienia z perspektywy **wieloletnich doświadczeń Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.** W lipcu 1989 r. dowiedziałem się, że prace edytorskie nad tomem „Wyłączona przeszłość" (Excluded Past) są już na ukończeniu.

Pamiętny kongres w Southampton zakończył się sesją plenarną, podczas której przedstawiciele środowisk archeologicznych z Afryki, Indii, Chin, ZSRR, USA, Skandynawii i Wielkiej Brytanii poparli decyzję wykluczenia uczestników z RPA. Skrytykowano bardzo ostro postawę Międzynarodowej Unii Nauk Pra- i Protohistorycznych. Konsekwencją tego stanu rzeczy było powołanie tymczasowej reprezentacji światowego środowiska archeologicznego z zadaniem negocjacji z Unią dla zapobieżenia rysującego się rozłamu w międzynarodowej współpracy archeologów.

Pertraktacje z Unią nie przyniosły, niestety, oczekiwanych rezultatów, gdyż druga strona nie przyjęła do wiadomości konsekwencji Światowego Kongresu Archeologicznego zarówno w sensie naukowym, jak i organizacyjnym, obstając przy własnym konkurencyjnym kongresie, który odbył się jesienią 1987 r. w Moguncji. Kongres moguncki spożytkowała propaganda RPA wysyłając swego przedstawiciela dyplomatycznego. Rozłam de facto stał się rozłamem de lege z chwilą powstania nowej światowej organizacji archeologicznej pod nazwą Światowy Kongres Archeologiczny. Znacznemu ożywieniu uległy pozaeuropejskie ośrodki archeologiczne: w zeszłym roku zorganizowano w Papui Nowej Gwinei zjazd archeologów strefy Oceanii i Australii, w sierpniu br. Uniwersytet Południowej Dakoty podejmuje archeologów zajmujących się etycznym aspektem traktowania pochówków ludzkich, kolejny II Światowy Kongres Archeologiczny odbędzie się za rok w Wenezueli (Uniwersytet Andów w Meridzie). Równolegle Unia szykuje swój nowy kongres w Czechosłowacji.

Można dodać, iż oddzielnie zrzeszeni są archeolodzy klasyczni organizujący co parę lat własne kongresy światowe. Tendencje podziałowe występują też w polskim środowisku archeologicznym. Znaczna część archeologów **niezadowolonych z Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego** utworzyła **Stowarzyszenie Naukowe Archeologów Polskich,** inni, prawdopodobnie niezadowoleni z kolei z nowej organizacji, skupili się w **Sekcji Archeologicznej Polskiego Towarzystwa Historycznego,** jeszcze inni nie angażują się nigdzie.

ANDRZEJ MIKOŁAJCZYK

Obie strony są niezadowolone, ale reagują spokojnie.

Strajk w więzieniu

EUGENIUSZ IWANICKI

W areszcie śledczym przy ulicy Stokowskiej trwa strajk więźniów. Ostatnio protesty więźniów pojawiają się coraz częściej, prasa informuje, że to tu to tam więźniowie ogłaszają akcje protestacyjne. Społeczeństwo zmęczone rosnącą z dnia na dzień drożyzną już nie reaguje na strajki tak, jak zdarzało się to do niedawna. Przywykliśmy. Jednakże strajki w zakładzie karnym wywołane przez ludzi skazanych prawomocnymi wyrokami w imieniu PRL mają w sobie odrobinę posmaczku sensacyjnego.

Da aresztu śledczego na ulicy Stokowskiej prowadzi droga — symbol, droga, na wjeździe do której powinno się umieścić znany fragment z „Boskiej komedii" Dantego: *„Porzućcie wszelką nadzieję wy którzy tu wchodzicie"*. Oto bowiem z ulicy Strykowskiej wjeżdża się w ulicę Smutną, po obu stronach której ciągną się cmentarze. Zaraz potem, dojeżdżając do zabudowań aresztu śledczego ktoś, jak na ironię, ustawił znak *„Ulica bez wylotu"*. Wszystko to wywołuje niewesołe skojarzenia, tym bardziej, że jest jesień, a więc pochmurno, mglisto i bardzo nostalgicznie.

10 września br., w jednym z bloków aresztu śledczego, gdzie odbywała się msza — a więc w miejscu, gdzie może zgromadzić się większa liczba więźniów — ogłoszono strajk okupacyjny. Po nabożeństwie nikt nie wrócił do cel, natomiast kilkudziesięciu mężczyzn zeszło na parter, pootwierali znajdujące się tam cele i zażądali spotkania z dyrektorem Okręgu Zarządu Zakładów Karnych, naczelnikiem Aresztu Śledczego, Prokuratorem Wojewódzkim oraz prezesem Sądu Wojewódzkiego. Na czele strajkujących stanął komitet protestacyjny. Bardzo też szybko zaczęły się pojawiać oświadczenia, komunikaty i apele. Oto jeden z pierwszych:

„Proces zjawisk zachodzących w niemal wszystkich ZK i AŚ z całą pewnością nie budzi nadzwyczajnego zdziwienia, że i my więźniowie aresztu śledczego w Łodzi podjęliśmy acz pokojową i przepełnioną wolą porozumienia, próbę uzyskania zapewnienia o rozwiązaniu niżej opisanych palących nas problemów. Aby nie dopuścić do planowanych tu i ówdzie buntów agresywnych, wybijania szyb czy powtórzenia dramatu potulickiego, aby nie sięgać po broń ostateczną, jaka jest głodówka całego więzienia, zdecydowaliśmy się pokojowo, z poszanowaniem zasad współżycia społecznego w stosunku do całej Służby Więziennej, jak też nie naruszając dóbr materialnych cel i pawilonów, jako grupa przedstawicielska, z której wyłoniony został komitet protestacyjny, oświadczyć, iż do chwili podjęcia z nami rozmów i zapewnienia wstępnych warunków do przedstawienia całokształtu naszych postulatów, a następnie przybycia kompetentnej komisji, o której mowa w dalszej części niniejszego oświadczenia, grupa nasza przebywać będzie na korytarzu oddziału I-szego pawilonu II. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że pozostałe pawilony przez okna poznały fakt i istotę naszego protestu. W interesie zatem zarówno władz AŚ jak i naszym leży umożliwienie nam wygłoszenia przez radiowęzeł apelu, aby uniknąć drastyczniejszych form protestu, czy głodówek, czy buntu. Protest nasz nie jest wymierzony w nikogo osobowo, a zatem nie złej woli, a pomocy władz AŚ oczekujemy.

1. Jako punkt wyjścia do rozmów, domagamy się odczytania przez nas oświadczenia do więźniów.

2. Powiadomienia w trybie natychmiastowym Kościoła Świętej Teresy w Łodzi z prośbą o przybycie ks. Tadeusza Żurawskiego lub proboszcza.

3 Zagwarantowanie, iż w czasie protestu AŚ funkcjonował będzie normalnie w przedmiocie zwolnień skazanych na przepustki, odbierania listów, paczek i wydawania ich, doprowadzania na widzenia, zakupu art. żywnościowych.

4. Powiadomienie o żądaniu przybycia na teren więzienia RKO NSZZ „Solidarność" w Łodzi oraz Klubu Poselskiego „Solidarność".

5. Powiadomienie o żądaniu przybycia na teren Prokuratora Wojewódzkiego w Łodzi, oraz Lekarza Wojewódzkiego w Łodzi.

Jednocześnie oświadczamy, że odizolowanie od nas chociaż jednego z uczestników protestu lub jakakolwiek próba zastraszenia, użycia siły czy czynienia takich przygotowań poprzez sprowadzenie dodatkowej liczby funkcjonariuszy, doprowadzi jedynie do naszej agresji, samoagresji i bezwarunkowego protestu głodowego całego AŚ, a odpowiedzialność spadnie wyłącznie na administrację. Z uwagi na to, że postulaty merytoryczne przekraczają kompetencje władz AŚ, przedstawimy je dopiero po przybyciu komisji, na którą w takiej formie protestacyjnej czekać będziemy do godz. 20-tej. Po tej godzinie znacząca ilościowo grupa więźniów rozpocznie protest głodowy z całonocnym pobytem poza celami, a od rana dnia jutrzejszego cały areszt przyłączy się do protestu głodowego. Ufamy więc, że dobra wola władz więzienia sprawi, iż pięć wstępnych postulatów warunkujących podjęcie rozmów załatwione zostanie w trybie natychmiastowym".

W późniejszych postulatach pojawiły się już konkretne żądania: wniesienie poprawek do ustawy amnestyjnej o artykuły 210 § 1, 168 § 2, 145 § 3, 60 § 2, powołanie komisji interwencyjnej, wstrzymanie projektowanego regulaminu dotyczącego pozbawiania wolności i tymczasowego aresztowania, gruntownej reformy prawodawstwa i systemu więziennictwa (zatrudnienie, praca, opieka lekarska, przeprofilowanie Zakładów Karnych z represyjnych na wychowawcze, zmiana systemu wymierzania kar oraz nagradzania, funkcjonowanie kultury w zakładach karnych, zlikwidowanie cenzury więziennej, umożliwienie praktyk religijnych indywidualnych z księdzem, reorganizacji funkcjonowania radiowezłów itp. itd). Tych żądań jest sporo, ich wymienienie zajęłoby nam kilka kolumn druku.

Nie jestem stroną w sporze, gdyż nie posiadam ani należytej wiedzy w danej sprawie, ani kompetencji prawniczych. Relacjonuje jedynie stan tego, co zaszło oraz to, co sam widziałem. Korzystając z przyzwolenia naczelnika aresztu śledczego, byłem na oddziale I pawilonu II wśród protestujących. Wrażenie wyniosłem nie najlepsze. Osoby protestujące przebywają na korytarzu parteru i piwnicy. Na betonowej posadzce rozłożyli materace. Oddział I jest tym oddziałem, gdzie przebywają ludzie chorzy i upośledzeni fizycznie, dlatego w większości cel więźniowie leżą na metalowych łóżkach, śpią lub oglądają telewizję. Telewizor jest także w korytarzu. Cele nie robią najlepszego wrażenia: ubikacje — muszle klozetowe są tak czarne, że budzą przykre skojarzenia — znajdują się nieraz tuż obok stołów, przy których się je. Sądzę, że same cele także nie były dawno odnawiane. W łaźni woda leje się strumieniami zaledwie z kilku otworów — nie ma sitek. Więźniowie skarżą się, że nie ma wieszaków, gdzie można byłoby powiesić ubranie przed wejściem do łaźni. Ale rzecz, która ich dotknęła do żywego, to nowo wybudowany „spacernik". Wszyscy zgodnie twierdzili, że nikt z niego nie będzie korzystać i to będzie ich protest przeciwko tego typu budowli. Obejrzałem „spacernik": jest to 10 betonowych — nie wiem jak to nazwać: klatek, wybiegów, aren — placyków, gdzie więźniowie będą mogli odbywać regulaminowe, godzinne spacery. Na mnie, człowieku z zewnątrz, zrobiło to dość przygnębiające wrażenie. Więźniowie do „spacernika" mają zastrzeżenia dwojakiego rodzaju: po pierwsze — według nich taki „spacernik" jest sprzeczny z normami sanitarnymi, po drugie — kosztował miliony, gdy tymczasem wyżywienie w areszcie śledczym jest więcej niż skromne. Zamiast więc „spacernika", uważają, pieniądze należałoby przeznaczyć na poprawę wyżywienia.

Obie strony — więźniowie i administracja — wobec siebie zachowują się spokojnie. Nie zauważyłem oznak niesubordynacji, ani też stosowania przemocy. Napawa to optymizmem, że w trakcie trwających, ciągłych rozmów, zostanie osiągnięty kompromis.

Zwróciłem się zatem do naczelnika Aresztu Śledczego ppłk. *Wacława Zalecha* i zadałem mu kilka pytań.

— *Panie naczelniku, areszt śledczy przypomina bombę z opóźnionym zapłonem. Co pan zrobił, aby tę bombę rozbroić?*

— Od początku zachowywałem się tak, jak naczelnicy w innych jednostkach penitencjarnych, w których miały miejsce podobne wystąpienia. Zachowałem spokój i stworzyłem warunki do negocjacji, przyjmując i akceptując wstępne żądania grupy skazanych, która obwołała się komitetem strajkowym. Wraz ze mną udział w negocjacjach biorą przedstawiciele Sądu Wojewódzkiego, Prokuratury Wojewódzkiej, dyrektora Okręgowego Zarządu Zakładów Karnych, kapelan więzienny i przedstawiciel Komisji Interwencyjnej NSZZ „Solidarność". Sporadycznie uczestniczyli w rozmowach w charakterze mediatorów przewodniczący NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej Ryszard Kostrzewa, posłowie: Jerzy Dłużniewski i Andrzej Kern. Negocjacje trwają już od ośmiu dni, jednakże z uwagi na eskalację żądań i postulatów nie mogły zakończyć się podpisaniem porozumienia. Nadto część postulatów dotyczy spraw, które wykraczają poza kompetencje Komisji, np. zmiana projektu ustawy o amnestii w zakresie objęcia ustawą wielokrotnych recydywistów. Wydaje mi się, że wszystko co do tej chwili zrobiono jest wyrazem humanitarnego podejścia do spraw skazanych. Pozostaje jednak problem granicy między humanitaryzmem, a bezpieczeństwem społecznym, naszego aresztu, osób w nim zatrudnionych oraz samej komisji. Negocjacje bowiem odbywają się na terenie okupowanego pawilonu wśród 180 podekscytowanych osadzonych, pośród których kilkunastu odbywa długoterminowe kary pozbawienia wolności za popełnione zbrodnie. Sposób prowadzenia negocjacji przez skazanych polega na stawianiu administracji w sytuacjach przymusowych, nierzadko skrajnych, a przecież to nie administracja Aresztu Śledczego ustaliła kodeks karny, kodeks karny wykonawczy i nie ona władna jest go zmienić.

— *Czy postulaty i żądania protestujących więźniów mogą być spełnione?*

— Tak jak wspomniałem, część postulatów dotyczących pośrednio działalności administracji aresztu oraz sądów i prokuratur została, bądź będzie w najbliższym czasie, rozwiązana pozytywnie. Np. wyremontowanie pomieszczenia oczekujących na rozprawy w Sądzie Wojewódzkim, wyrażenie zgody przez organy dysponujące na 60 minutowe widzenia przy stolikach osobom odwiedzającym z małymi dziećmi. Oprócz prowadzenia negocjacji z komitetem protestacyjnym komisja prowadzi jednocześnie indywidualne rozmowy z osadzonymi, których listę sporządził ten komitet. Proszę zwrócić uwagę na czasochłonność przeprowadzanych rozmów i ich drobiazgowy często, niepoważny charakter. Są to sprawy, które przy normalnym funkcjonowaniu aresztu, prokuratury i sądu są załatwiane na bieżąco. Jest rzeczą oczywistą, że w takich warunkach Areszt Śledczy nie może funkcjonować normalnie, a określenie terminu i sposobu zakończenia protestu jest obecnie niemożliwe.

— *A cele, które oglądałem? Te czarne muszle klozetowe, tuż obok stołów? Te niezbyt czyste ściany, umywalki w nie najlepszym stanie i spacernik, do którego mają tyle zastrzeżeń?*

— Nie dziwi mnie takie pytanie. Problem ten jest znany. Wszystkie cele mieszkalne oraz inne pomieszczenia użytkowane przez osadzonych są co najmniej jeden raz w roku odnawiane ogromnym nakładem sił i środków własnych. Niestety, nie jest to doceniane przez osadzonych i przy aktualnym rozluźnieniu dyscypliny, spowodowanym między innymi liberalizacją wykonania kary, nie jest możliwe wyegzekwowanie od osadzonych minimum dbałości o powierzone mienie. Poza tym nie muszę chyba panu tłumaczyć, jaka jest sytuacja finansowa naszego państwa, a zatem budżetu naszego aresztu. A co do tzw. nowego spacernika, to wyjaśniam, że decyzja o jego zbudowaniu i kształcie nie zapadła na szczeblu kierownictwa tutejszego aresztu. Nadmieniam, że spacernik jest do tej pory nie użytkowany.

— *Panie naczelniku, w tej chwili rozmowy znalazły się w impasie; więźniowie obstają przy swoim, a administracja przy swoim. Przecież ten stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność....*

— Zgadzam się całkowicie z pana tezą, że ten stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność. Wszelkie działania z naszej strony zmierzały i zmierzają do jak najszybszego zakończenia konfliktu. Załoga tutejszego aresztu wykazuje coraz większe zmęczenie panującą sytuacją. Coraz trudniejsze warunki pracy w jednostkach penitencjarnych, niekorzystna sytuacja płacowa, dyspozycyjność funkcjonariuszy, a co za tym idzie, nieograniczony czas pracy, powodują zniechęcenie oraz odchodzenie ze służby przeszkolonych, doświadczonych w pracy penitencjarnej funkcjonariuszy. Może nie powinienem o tym mówić, ale wpływa to bezpośrednio na jakość pracy aresztu i możliwość bieżącego i właściwego załatwiania spraw osadzonych.

Niestety, nie danym było dokończyć nam rozmowy: na godzinę dwunastą we wszystkich pawilonach ogłoszono czynny protest. I właśnie, kiedy naczelnik kończył swoją kwestię, w powietrzu rozległ się dziwny, narastający hałas. Było to podobne do kawałków blachy rzuconych na stok kamiennej góry. To więźniowie zaczęli tłuc aluminiowymi miskami o kraty i krzyczeć słowa, których początkowo nie można było rozumieć. Dopiero po chwili zacząłem rozróżniać skandowane okrzyki: „Popieramy" i „Komisja". Strajk z okupacyjnego przeszedł w fazę czynną. Tumult się wzmagał, wypełniał każdy zakamarek budynku administracyjnego.

Przeszedłem na drugą stronę budynku, tę od ulicy. Naprzeciwko więzienia wznosi się czteropiętrowy budynek mieszkalny. Byłem ciekaw jak zareagowali jego mieszkańcy na zgiełk wydobywający się spoza murów aresztu śledczego. Ani w oknach, ani na balkonach nie było nikogo, choć w ostrym słońcu było widać poruszające się od czasu do czasu postaci wewnątrz mieszkań.

Wróciłem na poprzedni mój punkt obserwacyjny: walenie miskami o kraty trwało. I nagle — cisza! Dopiero po kilkunastu minutach dowiedziałem się, że ksiądz kapelan z parafii św. Teresy zaapelował przez radiowęzeł o spokój, rozwagę i kontynuowanie rozmów.

Więźniowie uspokoili się. Na jak długo?

Ludzie listy piszą, bo szukają sprawiedliwości.

Rzecznik Praw Obywatelskich jest jak Królewna Śnieżka

ZOFIA KĘDZIORA

Aż około 85 proc. spraw, jakie trafiają do biura Rzecznika Praw Obywatelskich nie powinno tam się znaleźć. Nie są, jak mówią pracownicy biura, „rzecznikowskie". Fakt posiadania koperty i znaczka nie jest wystarczającym powodem, aby podejmować korespondencję. Wiele osób myśli następująco: — „Pisałem już do Komitetu Centralnego, Rady Państwa, Naczelnej Izby Kontroli, Telewizji, to i tu nie zaszkodzi".

Zanim zatem zacznie się lizać znaczek, dobrze wiedzieć, że nie warto pisać do rzecznika, gdy chce się, by zastąpił administrację lub wymiar sprawiedliwości w sprawach należących do zakresu ich kompetencji. Rzecznik nie podejmuje się spraw, w których nie wypowiedziały się wszystkie do tego zobowiązane instytucje, nie zastępuje sądu, nie uchyla wyroków sądowych, nie ingeruje w niezawisłość sędziowską, nie stosuje prawa łaski nie rozpatruje sporów sąsiedzkich ani domowych, nie może podejmować spraw, w których brak jest dowodów rzeczowych (ze względu na upływ czasu, nie ma świadków, zeznań, zniszczone zostały dokumenty), nie interweniuje, gdy sprawa toczy się bez opóźnień i nieprawidłowości w sądzie i administracji, oraz nie podejmuje spraw, w których interwencji podjęła się inna instytucja.

Rzecznik interweniuje, jeżeli naruszone zostały prawa obywatelskie. Podejmuje więc działania wyjaśniające, interwencyjne, w sprawach, które są traktowane potem jako modelowe, czasem precedensowe. Nie chodzi tylko o to, aby były załatwione pomyślnie i do końca, ale aby dzięki nim stwierdzić, że jakaś praktyka jest zła. Wtedy jest to już lansowanie pewnych ogólnych wartości, które lansowane być powinny. Rzecznikowi zależy bowiem, aby nie traktować go, jako biuro skarg, ściane płaczu czy „medchen fur alles".

— *Czasem, czytając listy mam wrażenie, że najlepszy byłby model dobrej cioci ocierającej łzy i dającej cukierka do buzi* — mówi Rzecznik Praw Obywatelskich profesor EWA ŁĘTOWSKA.

Tymczasem wiele działań zmierza, do wyszukania błędów systemowych — w działaniu prawa, praktyce prawa oraz podejmowaniu naprawy poprzez przygotowanie wieksze zbiorcze wystąpień. Do chwili obecnej zostało opracowanych 181 takich wystąpień kierowanych do organów administracji, w tym 29 rewizji nadzwyczajnych oraz 7 wniosków do Trybunału Konstytucyjnego — czyli prób wywołania rozstrzygnięcia precedensowego. Nie można pominąć zasług Rzecznika dla podniesienia kultury prawnej, choć jest to niewymierne i nie da się stwierdzić z całą pewnością, czy udało mu się unieść ją chciażby o trzy centymetry.

— *Zgodność z prawem jest jak tarcza strzelecka* — mówi Rzecznik Praw Obywatelskich. — *Tarcza ma 8, 9, 10 zamalowane na czarno. Dobry strzelec to ten, który lokuje wszystkie strzały w czarnym polu. Często, gdy krytykuję czyjeś działanie* — kontynuuje Rzecznik — *słyszę pytanie:* — „Ale o co Pani chodzi? — przecież nasze działanie było zgodne z prawem". *Owszem, ono było zgodne z prawem, ale strzał był tylko w jedynkę. A mnie chodzi o to, aby było bliżej tego czarnego pola.*

Oto przykład.

Człowiekiem siedzącym na ławce w parku zainteresowało się dwóch milicjantów. Zażądali dowodu, a ponieważ nie miał go przy sobie, człowiek ten został zabrany na komendę. Tam, okazało się jednak, że miał książeczkę wojskową.

Człowiek ten został postawiony przed kolegium, które orzekło karę 15 tys. złotych. Nasz bohater karę tę w zastępstwie odsiedział.

Sprawa trafiła do kolegium, gdy była już oprotestowana przez prokuraturę. Jest bowiem w kodeksie wykroczeń przepis mówiący o konieczności ujawniania tożsamości, ale nie ma o konieczności noszenia dowodu. Kolegium powtórnie rozpatrzyło sprawę (chcąc widocznie podtrzymać swoje poprzednie stanowisko) i poddało człowieka badaniom psychiatrycznym. Badania wykazały, że nie może on odpowiadać za swoje czyny. Stwierdzono więc zaistnienie czynu, ale uwolniony został od kary. Tylko że kara była już odcierpiana.

Rzecznik Praw Obywatelskich czterokrotnie interweniował w tej sprawie. Za pierwszym razem otrzymał odpowiedź, że wszystko w porządku, bo działanie zmieściło się w tej tarczy. Rzecznik zgodził się z tym stwierdzeniem, ale zauważył, że „rozrzut" jest zbyt duży. Następna wymiana korespondencji przyniosła informację, że ukarano milicjantów za pospieszność interwencji. Następna wymiana listów — przyszła informacja, iż wydano odpowiednie wytyczne dotyczące kontroli. Za czwartym razem, Rzecznik napisał, iż wszystko dobrze, ale nie o to chodziło, być może źle się eksplikował, bo chodziło mu o odniesienie do członków kolegium. I dopiero wtedy otrzymał odpowiedź, że właśnie to się robi.

— *Pracuję jak reflektor* — mówi prof. Ewa Łętowska — *wybieram punktowo sprawy, rzeczy wymagające oświetlenia. Rzecznik nie jest substytutem administracji, sądu — on sam nie załatwia, działa wybiórczo jako nadzwyczajny system kontroli. Należy więc kontrolować tam* — wyjaśnia dalej Rzecznik — *gdzie kontrola może dać efekt jednostkowy lub prewencyjny.*

Rzecznikowi przysługuje prawo wyboru spraw, którymi się zajmuje.

— *Ano trudno* — śmieje się prof. Ewa Łętowska — *skoro napisało się w ustawie, że ma to być osoba o jakim takim autorytecie, to albo się w to wierzy, albo nie.*

Ludzie wierzą. Wierzą i piszą. Do biura przychodzi około 140 listów dziennie. Dotychczas zostało zarejestrowanych 53 tysiące spraw (listów było znacznie więcej, ale nie wszystkie zawierały „rzecznikowskie sprawy").

W Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich pracuje ponad 60 osób, tworzą osiem zespołów merytorycznych. Za swój sukces uważają, że już niedługo zbliżą się do rejestracji spraw na bieżąco. Nastąpi to zapewne na jesieni.

Już zostało „przerobionych" około 23 tysiące spraw, ale większość na „nie". Na ogół nie stwierdzono w nich naruszenia prawa lub sprawa nie powinna trafić do rzecznika.

Przez ręce samego Rzecznika przechodzą dwa rodzaje spraw, te najtrudniejsze, nieraz i cuchnące oraz rozpoznane jako „nierzecznikowskie", aby skorygować ewentualny błąd zlego sklasyfikowania.

Dawniej Rzecznik w określony dzień tygodnia przyjmował interesantów osobiście, teraz zaniechał tego. (Jeżeli sprawa tego wymaga, przyjmuje kierownik zespołu).

List do Rzecznika to dla niektórych ogromna szansa, ale pisząc trzeba dać i jemu szansę — marzą mu się bowiem czytelne listy z wyczerpującym opisem sprawy i kompletem dokumentów, takie listy znacznie przyspieszają załatwienie sprawy.

Ile czeka się na załatwienie sprawy? — Długo.

— *Rzecznik jest taki, jak wszystko w naszym kraju* — mówi prof. Ewa Łętowska. — *W Szwecji na wyjaśnienie ze strony jakiegoś urzędu czeka się 3 dni, u nas bez poganiania, czasem trzy, cztery razy nie idzie.*

A jeżeli uświadomimy sobie, że urząd ma miesiąc na ustosunkowanie się do danej sprawy,....

— *W istniejącej sytuacji kryzysu, ogarniającego wymiar sprawiedliwości i inne przejawy działalności państwa czuję się trochę, jak Królewna Śnieżka* — wyznaje Rzecznik Praw Obywatelskich. — *Taka to już instytucja.*

P.S. Znany prawnik, cywilistka, prof. Ewa Łętowska sprawuje stanowisko pierwszego w historii kraju Rzecznika Praw Obywatelskich od 1 stycznia 1988 roku. Prosi, aby w publikacjach prasowych nie używać jej nazwiska. Ważny jest urząd, a nie nazwiska. Ale czasem trudno prośbę tę spełnić, bo autorytet ma człowiek, a nie urząd.

Z. K.

... pragnie rozbić pewne mity o bogactwie tzw. twórców.

Splin

RYSZARD BINKOWSKI

Rys. Dariusz Romanowicz

Skończyły się sny o potędze. Ten facet, który siedzi po drugiej stronie biurka w roli przesłuchiwanego, dobija pięćdziesiątki i może już tylko myśleć ze spokojem o pogrążeniu się w głębokim śnie, jak poniektórzy nazywają eufemistycznie finał przemijania, czyli tzw. zejście. Zastrzega się jednak, że tego co powie, nie należy traktować jako swego rodzaju testamentu. To po prostu garść refleksji współczesnego chudego literata, którego na tle sytuacji ekonomiczno-politycznej nękają różne wizje i skojarzenia natury czysto osobistej.

Chodzi o sytuację z ostatniej dekady sierpnia. I ten facet, który jest pisarzem i dziennikarzem, bo z uprawy jednej tylko działki nie wyżywiłby czteroosobowej rodziny, stwierdza melancholijnie, iż ostatnie dni przypominają mu sierpień 1981. Co prawda z nadziejami na nowy rząd i lepsze jutro nie było całkiem analogicznie, ale na rynku działo się podobnie. Tyle że ceny były przynajmniej dziesięciokrotnie niższe.

Ale wtedy warto było pisać, bo w księgarniach zaczynało brakować książek, co się zaś ukazało, sprzedawano na pniu. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny... Bo oto nasz pisarz i dziennikarz zarazem wchodzi dziś do księgarni i widzi półki uginające się od książek, których nikt nie chce czytać. Natomiast obok, gdzie mieści się sklep tekstylny, którego żywą dekorację stanowią dwie sprzedawczynie na tle nagich półek, stoi na chodniku stumetrowa kolejka, bo akurat rzucili pościelowe. Z drugiej zaś strony sterczy podobna kolejka do sklepu spożywczego, ponieważ pojawił się olej i cukier.

Do czego on zmierza? Może by się chociaż przedstawił, co? Nie! Proszę podać co najwyżej inicjały. Tak, niech będzie G. R., można szukać w książce adresowej ZLP, bo Stowarzyszenie Pisarzy Polskich jeszcze takiej nie ma. A chodzi mu o to, że w księgarni nie ma jego książek, z czego powinien się cieszyć, lecz jest mu gorzko i smutno. Rzecz bowiem w tym, że na początku 1988 roku w wyniku tzw. pośligu wydano mu dwie wysokonakładowe książki po stawkach obowiązujących w roku 1987. Pech chciał, że książki zaczęto rozpowszechniać na trzy dni przed datą, od której obowiązywały nowe, wyższe stawki, w związku z czym stracił pół miliona złotych. W nagrodę dobrzy koledzy z ZLP wydali kilka bojowych okrzyków, aby go ukamienować na ulicy, bo za dużo wydaje. Prawdopodobnie jeździł z kilkoma skrzynkami wódki po Polsce i stawiał po flaszce kierownikom co większych księgarni, żeby zrobili odpowiednio wysokie zamówienia.

Zgniata drżącą ręką niedopałek w bakelitowej popielnicy, a twarz marszczy mu się w złośliwym uśmiechu. Ale w jego głosie nie ma złośliwości, jest tylko znużenie i nutka nostalgii. Mówi, że kiedy zaczynał śnić te swoje sny o potędze, to aby wyjść z biedy, kompleksów i wielkiej swej nieśmiałości, żeby się przebić przez tę ścianę z opancerzonego szkła, dwukrotnie popadał w alkoholizm. Dzisiaj gdyby nawet chciał zanurzyć się z lubością w pijackiej nirwanie, bo w końcu jakieś odprężenie mu się należy po barówie na dwóch, a nawet i trzech etatach, to złudne jego nadzieje. No chyba, że sprzedałby żonę do haremu w jakimś szejkanacie, zaś studiujące dzieci wyekspediował na saksy. Niestety, żona pracując w młodości na państwowym etacie, dość wilgotnym i trującym, nabawiła się reumatyzmu i schorzenia wątroby, więc szejk jej nie zechce, dzieci natomiast są niewydarzone i tak się nadają na gastarbeiterów, jak widły na antenę satelitarną. A tutaj, cholera, najpodlejsze piwo łódzkie pędzone na uzdatnionej wodzie z Pilicy stoi z marżą po pół tysiąca z hakiem za flaszkę. Wódki w ogóle nie ma, a gdyby dowieźli, i to nawet w nadmiarze, to chudego literata na gorzałę dziś nie stać. Czarna rzeczywistość skrzeczy za oknem, ręce opadają, żyć się nie chce, lecz spróbuj się człowieku, zapić na śmierć z rozpaczy. Nie masz takiej możliwości, najmniejszej szansy...

Patrzy w okno ze zmarszczonym czołem, którego nie jest w stanie rozjaśnić nawet słońce gorejące na błękitnym niebie. Potem odwraca się i mówi półgłosem, że na początku to on był szalenie liryczny i górnolotny, zachwycony sobą i życiem niczym ten młokos Ikar. Opanował się w porę i nie runął gwałtownie w dół, bo jeszcze przed stanem wojennym jakiś proroczy głos podszepnął mu, że powinien wreszcie robić to, co lubi, pisać książki błyskotliwiej, z bardziej rajcownym wątkiem, żeby ludzie chcieli to czytać.

No i proszę, sprawdziło się. O tomikach poezji nie ma co mówić, bo do nakładu w wysokości 300 egzemplarzy trzeba dołożyć pół miliona. Żaden wydawca nie kupi dziś kota w worku, nie zawrze umowy na podstawie konspektu. Pisze więc ambitny autor przez dwa lata swoją arcyważną powieść obrachunkową, wydawca wysyła anons do księgarzy, a ci zamawiają raptem 2 tys. egzemplarzy jego dzieła. No i wydawca woli stracić trzysta tysięcy zaliczki i zerwać z autorem umowę niźli wydać te 2 tys. i stracić trzy miliony.

Autor, z którym rozmawiam, swoje powieści obyczajowe szpikuje wątkami sensacyjno-erotycznymi, toteż ma przyzwoite zamówienia, w granicach opłacalności, a nawet lepiej. Mimo to przez dwa lata nie zobaczy swojej kolejnej książki. Owszem, jest komercjalizacja, samodzielność wydawcy, samofinansowanie, ale są też pseudopolityczne naciski odgórne, utrwalone na szczeblu lokalnym przez dziesięciolecia, toteż wydawca nie zawsze idzie na pełne ryzyko. Mój rozmówca powiada ze smutkiem, że ostatnio przez półtora roku czekał na zawarcie umowy, złożywszy gotową powieść, na którą przyszły wysokie zamówienia i która, jak twierdzą sami wydawcy, mogłaby się ukazać w nakładzie stu tysięcy.

Żeby przez te półtora roku zarobić parę groszy, zwierza się G. R., sprzedał tę powieść do pewnego dziennika. No i zarobił parę groszy. Po odciągnięciu podatku otrzymał na rękę 145 tys. zł. Najśmieszniejsze jednak to, że nasz autor wydał kilkanaście powieści i od ćwierćwiecza para się dziennikarstwem, toteż zna się niby trochę na literaturze i na reportażu, potrafi krytycznie ocenić siebie i innych. Ale co ma robić, gdy oceniają go mniej błyskotliwi fachowcy? Może się tylko uśmiechnąć z pobłażliwością. On dba o język i styl, o głębię i wyraziste przedstawienie swych bohaterów i środowiska, w jakim się obracają. I dlatego denerwuje go to, co się czasem publikuje w gazetach, a co się nazywa szumnie literaturą piękną i tzw. poważną. Ale milczy dyskretnie. W gazecie, w której pracuje, nie uchodzi za świętą krowę i w miarę możliwości rzetelnie wypełnia obowiązki dziennikarskie. Tutaj nie drukuje się jego wypocin literackich. I słusznie. Bo on akcje swoich powieści lokuje w kolorycie znanym, najbliższym, na konkretnych ulicach, w konkretnych domach i urzędach, a że przy tym drąży niemiłe sprawy lokalne, więc bulwersacja w zaścianku mogłaby zaszkodzić redakcji.

Ostatnio pan G. R. otrzymał podwyżkę i zarabia w redakcji 125 tys. miesięcznie. W ramach tzw. obowiązku musi złożyć teksty o wartości 20 proc. pensji. Jeżeli więc napisze dwa reportaże za 25 tys. to się jakoś wyrobi.

Renciści zarabiają mniej, nie ma więc powodu do tragedii. Po cóż więc pan G. R. dzwoni i umawia się ze mną na spotkanie, czego, u diabła, pragnie dowieść?

Pociera w zakłopotaniu kilkudniowy zarost, który wygląda jak okrywa przypalonego jeża, i mruży znacząco oko. Następnie wyjaśnia z zażenowaniem, że szuka we mnie bratniej duszy, bo ja też jestem dwuzawodowcem. A że dowiedział się, iż otrzymałem od mojego naczelnego nagrodę w postaci żyletki marki polsilver, liczy przeto na wspomożenie.

Jak to go nie ma? A z kim ja rozmawiam, do diabła? Z cieniem... Z cieniem człowieka schorowanego, który z trudem powłóczy nogami, którego boli serce i głowa i jeszcze inne wątpia. Brakuje zapałek i papierosów, a on bez palenia nie może pisać, toteż praktycznie przestał istnieć.

Częstuję go więc klubowym, nabytym przezornie jeszcze po starej cenie, a on powiada, iż nie da się ukryć jego nieśmiałych prób w uprawianiu trzeciego zawodu. Chodzi o to, że jego przedwojenna babcia parająca się handlem tekstyliami i przyborami krawieckimi zapragnęła mieć pod miastem kawałek własnego gruntu. Kiedy więc przybyły z Ameryki bednarz nabył 6 mórg i było to dla niego za dużo, odkupiła odeń 2 morgi w postaci pasa startowego na Lublinku, o długości ponad kilometra i szerokości dziesięciu metrów. W Polsce Ludowej gospodarstwo liczyło się od 50 arów wzwyż, a ostatnio od hektara wzwyż, lecz teraz jest wciąż o 11 arów za dużo, żeby nie traktować tego jako gospodarstwa. Gdybyś stał się właścicielem, odebraliby ci kartki na mięso, a dziś wszelkie dodatki drożyźniane. Mimo że te nadliczbowe 11 arów rozkopała cegielnia i przez 20 lat nie ma kto tego zrekultywować...

Zaraz, zaraz! Co wspólnego ma scheda z działalnością pisarską i dziennikarską? Ma, i to wiele, odpowiada pan G. R. Otóż stała tam stara chałupa, strop się załamał i trzeba go było podeprzeć drągiem, żeby nie zasypało matki pisarza, bo w gminie nie chcieli dać stali ani cementu na remont. W stanie wojennym, gdy przez pewien czas podejrzewano, że G. R. usiłował przejąć władzę, G. R. się wnerwił, wlazł na dach i zaczął demonstracyjnie rozbierać chałupę. Tak, zepsuć coś to on potrafi, ale gdyby nie pomoc braci, którzy nie pracując w wyuczonych zawodach, jak normalni ludzie uprawiają ziemię, hodują bydło, kwiaty, itp., zbudowali sobie domy i jeżdżą własnymi autami, to chudy literat G. R. nigdy nie postawiłby matce małego domku, składającego się z kuchenki, pokoju i werandy. Matkę bolą ręce od ciężkiej pracy, ma już 72 lata, trzeba jej było ulżyć i założyć wodę, żeby nie wyciągała wiader ze studni. O kosztach instalacji strach wspominać, zlew kosztuje na bazarach 60 tysięcy, bateria 50 tys., a dodatkowa robocizna ho, ho! I prawie w całości pokryła to stara matka. Bądź tu, bracie mądry i pisz książki...

No dobrze, ale do czego G. R. dąży, czego chce dowieść? Ano pragnie tylko rozbić pewne mity o bogactwie tzw. twórców. Chodzi mu o to, że pisarza z dorobkiem kilkunastu powieści, z których dwie sfilmowano, pracującego dodatkowo na etacie dziennikarza, musi wspomagać stara matka, chociaż powinno być odwrotnie. Matka pisarza otrzymuje najniższą rentę po mężu i dorabia za 15 tys. jako sprzątaczka...

G. R. korzysta z kolejnego mojego papierosa, zaciąga się i rzuca przez dym, że za Breżniewa pisarz w Rosji mógł za wydaną książkę postawić sobie daczę. G. R. zdołał się dorobić spółdzielczego M-4 starego typu, bez żadnych ozdóbek, w którym rozsypują się dwudziestoletnie graty. Nie ma nawet w co ubrać żony, dzięki której mógł się poświęcić pisaniu, a teraz to jest już kompletnie zdruzgotany, bo jedno ze studiujących dzieci zamierza zawrzeć związek małżeński. Idzie o skromne przyjęcie w kawiarni na 40 osób. Biorąc pod uwagę galop inflacji, wyjdzie 40 tys. na osobę. I skąd on, do cholery, weźmie te 1 600 tys. zł, co?

Chwileczkę, może by jednak zajął się tym minigospodarstwem? He, he! Dzięki Bogu, że ten skrawek ziemi uprawia brat, który ma wszystkie maszyny. G. R. wybiera na kolanach perz w przydomowym ogródku. Mógłby tam uchować 10 kurczaków albo 10 królików, ale te dojazdy, psiakrew! Miejski autobus kosztuje 240 zł w obie strony, a we wrześniu będzie chyba jeszcze raz tyle. Zamiast płacić przez tydzień na dojazdy, mógłby sobie kupić na rynku kurę. Taka jest sytuacja ekonomiczno-psychiczna skromnego pisarza, autora poczytnych bądź co bądź książek.

Nie, nie cieszy go nawet opozycyjny premier katolik, choć sam także jest katolikiem. Przeżył kilka zakrętów historycznych, zawsze przyjmował ożywcze powiewy z radością i zawsze puszczano go w maliny razem z jego radosnym optymizmem. A teraz obserwuje kilometrową kolejkę do stacji CPN przed swoim blokiem. Mówi się, że specjalne służby mają rezerwy paliwowe, a on wczoraj widział podjazd do stacji CPN karetki pogotowia. Ajent oświadczył, że paliwa nie ma. Kierowca karetki wzruszył ramionami i stwierdził, że trudno, nie będzie się jeździć, a ludzie niech umierają z nadzieją na dostatek i spokój w niebie. On także się do tego przymierzał, ale gdy przeczytał, że najtańszy pogrzeb kosztuje 200 tys. zł, a w dodatku czeka się tygodniami na trumnę i miejsce na cmentarzu, strach go obleciał. Nie po to zatruwał przez tyle lat życie swej żonie, aby zadręczać ją jeszcze po śmierci.

Myśli, że nie ujrzy już żadnej swojej nowej książki. Zresztą co to za pociecha, kiedy średnia płaca oscyluje w granicach 150 tys., autorowi zaś płaci się 73 tys. za arkusz. Ten arkusz to 23 strony maszynopisu, które pisze się przez dwa miesiące. Taka jest cena marzeń, złej sławy i snów o potędze. Pozostało mu więc napisać jeszcze jeden tekst. Podanie o urlop. Nie ma jednak pewności, czy po urlopie pojawi się na łamach swojej gazety, której nakład zredukowano do minimum. Koszty papieru i poligrafii, kiepski kolportaż, ceny gazet i żywności, inflacja i ludzkie zniechęcenie mogą sprawić, że bez udziału G. R. dziesiątki tytułów mogą ulec samounicestwieniu.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Taniec

JOANNA SZCZEPANIAK

Drzewo „Miłość"

skłamały nam oczy
oszukały usta
dłonie
piersi
skłamana ciemność
w niej zwinięty wąż
jak czarny płomień zasyczał
zielone było
to jabłko dotyku
tak cierpkie
a Bóg milczał
On tęczę wyplatał na niebie
sól srebro i złoto
lecz sypał się proch
tak się na drzewie zła
wiązała w pestkę zła
na pierwszy owoc

„Jeśli zimową nocą..."

Oto otrzymaliśmy następną z książek nurtu postmodernistycznego — **Italo Calvina „Jeśli zimową nocą podróżny"**. Otwieramy opowieść i czy możemy spodziewać się tych pierwiastków, które wcześniej wyróżniały książki J. Bartha czy S. Sontag? Kpiny z czytelnika? Parodii? Przewrotności? Uczucia zagubienia? Niepewności co do tego kto, właściwie jest kim? Tak, tak, tak. Wszystko to mamy przed oczyma.

Książka Calvina to labirynt, w którym staramy się odszukać, wraz z czytelnikiem (bohaterami) ją samą — „Jeśli zimową nocą podróżny". Przy czym sam Calvino naprowadza nas — uwagami autotematycznymi, uwagami tyczącymi konstrukcji książki — na to, iż owa opowieść ma być jedynie nie rozkwitłym pączkiem, zarodkiem literackiej historii, która nie ma szans już nie tylko na skończenie, ale nawet na rozwinięcie. Tak więc, poszukując dalszej części rozpoczętej lektury czytelnik natrafia wciąż na nowe pozycje: **„Poza osadą Malbork", „Wychylając się nad brzegiem urwiska", „Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy", „Patrząc w dół, gdzie zagęszczają się cienie", „W sieci zbiegających się linii", „W sieci przecinających się linii", „Na dywan z liści w poświacie księżyca", „Wokół pustego grobu", „Jaka historia tam w tle czeka na zakończenie"** podszywające się pod **„Jeśli zimową nocą podróżny"**.

Książka, która nosi w sobie tyle zarodków opowieści, sama, wbrew pozorom, jest pospolitą historią (przewrotnie sparodiowaną) czytelniczego romansu pary literackich miłośników.

Konstrukcja, jak to sugeruje tłumaczka **Anna Wasilewska**, przypomina „Baśnie tysiąca i jednej nocy" (pozycji wielokrotnie wykorzystywanej przez postmodernistów), w której jednak nie natrafiamy na zakończenia rozpoczętych bajań. Spotykamy się z całą mnogością zabaw językowych (wyliczanki, zestawienia dziwnie brzmiących nazw, acz historycznie umotywowanych), a powieść nie jest napisana ani w pierwszej, ani w trzeciej osobie, do czego przyzwyczaiła nas cała dotychczasowa literatura, lecz w osobie drugiej. „Przeczytałeś już około trzydziestu stron i dałeś się porwać akcji. W pewnej chwili mówisz sobie: To zdanie wydaje mi się znajome. A nawet wydaje mi się, że już czytałem cały ten fragment."; a bohaterowie są jednocześnie konkretni i anonimowi — owi Czytelnik i Czytelniczka.

Powieść ta skierowana jest z pewnością do podobnych bohaterom maniaków literackich, proponując eksperyment daje możliwość literackiej przygody w tradycyjnym znaczeniu, gdyż ostatnie zdania książki brzmią jak w prawdziwym romansie z happy endem lub bajce zza siedmiu gór i rzek: „Jesteście oto mężem i żoną. Czytelniku i Czytelniczko. Wielkie małżeńskie łoże przygarnia wasze równoległe lektury."

„Więc zabierz się do czytania powieści Italo Calvina. „Jeśli zimową nocą podróżny" Czytelniku i Czytelniczko!"

ANNA POLAKOW-NEJMAN

Italo Calvino — „Jeśli zimową nocą podróżny" PIW Warszawa 1989. Nakład 20.000 egz. Cena 1000 zł. Przełożyła Anna Wasilewska.

Pestki dyni

Ludzie ekscytują się faktem, że premier Mazowiecki spóźnił się na jakieś posiedzenie, ponieważ po drodze zabrakło mu w samochodzie benzyny i musiał długo wyczekiwać w kolejce, na stacji, by ją kupić. Wolałbym, żeby premier, zamiast tracić czas w kolejce, zajmował się innymi sprawami, tymi dla których został wybrany właśnie premierem. Krom wszystkich doświadczeń z dotychczasową władzą, ten fakt powinien raczej zawstydzać i budzić niepokój. Demokracja, pluralizm i prawdziwa przebudowa — to coś bardzo, bardzo innego niż klincowanie premiera w kolejkach. Warto o tym pamiętać pośród achów i ochów!!!

Trwa dyskusja, jaka powinna być nowa telewizja. Jaki model winna przyjąć — włoski, francuski, angielski, chiński, japoński, południowoafrykański?... A może rdzennie polski i pluralistyczny — jeno bez dostępu komuny? Mam pomysł, który, sądzę, zadowoli wszystkich. Ponieważ baza techniczna jest w kompletnej ruinie, a jedynymi jako tako funkcjonującymi urządzeniami są aparaty do emisji filmów, nadawać by na przemian westerny, brazylijskie melodramaty, polskie „Noce i dnie", „Nad Niemnem" i serial „Labirynt" oraz transmisje z meczów piłki nożnej, z posiedzeń Sejmu i Senatu i msze święte. Przy takim „rozkładzie jazdy" każdy znajdzie dla siebie coś miłego: komuna też nie będzie się żalić, że się wieczorami nudzi.

Rysuje się też szansa dla naszego sportu. Nie, nie, nie zaczynamy produkować dobrych nart w dostatecznej ilości, ani wyścigowych rowerów odpowiedniej klasy, ani butów do biegania, ani rakiet tenisowych, ani innych takich rzeczy, nawet zwykłych sanek dla dzieci i nie mamy również zamiaru ich na razie kupować w dobrych firmach, bo nie ma za co. Szansa rysuje się gdzie indziej, w sferze, że tak powiem, raczej metafizycznej. Otóż piłkarze klubu wojskowego Legia załatwili sobie księdza (w wojskowej nomenklaturze to kapelan), który podczas meczu siedzi na ławce, obok trenera i dodaje im otuchy, a jak przegrywają — modli się gorąco, by wygrali. Rokuję temu pomysłowi dużą przyszłość. Każdy klub, każda dyscyplina sportowa, każdy większy sportowiec osobiście powinni mieć swoich kapelanów, tak jak mają swoich działaczy i czasami trenerów. W najgorszym wypadku, po przegranej — a przegrana jest w naszym sporcie stanem permanentnym niemal — będzie miał im kto udzielać rozgrzeszenia, bo nie wiem doprawdy, czy można tak bez końca liczyć na pobłażliwość kibiców wszelkiej maści. A pokuta zadana powinna być okrutna: trening do tysięcznych potów i ani baby, ani gorzałki, a pieniędzory po wygranej...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Myślimy, że znamy naszych przyjaciół, że wiemy kim są i co robią — a tu guzik prawda. Wacek okazuje się być zamaskowanym Klossem, Kazio — cesarzem Zulusów, Lesio — agentem Eskimosów, Lola przestała handlować swoim tylkiem i handluje diamentami i kawiorem, stara Kociubińska nie recytuje już po kawiarniach starego Ildefonsa, a jest właścicielka kasyna gry na Rivierze, komentator **Mundek Tulko z „Dziennika Łódzkiego"** — samym Jamesem Bondem, zaś dyrektor Muzeum Kinematografii, **doktor Antoni Szram** aż... reżyserem węgierskim **Ferencem Kosą**, który nie dosyć, że był przez całe lata dyskryminowany przez władze i zakazany, to jeszcze ma talent. Różnymi drogami, z różnych źródeł człowiek dowiaduje się, kto jest właściwie kto. O tym, kim naprawdę jest Antoni Szram dowiedziałem się z **„Trybuny Ludu"** (9—10.09.1989 nr 210), która zamieściła wyznania reżysera i jego zdjęcie. Ponieważ mam poważne wątpliwości, czy doktor Szram jest t y l k o dyrektorem Muzeum i t y l k o znanym reżyserem, laureatem I nagrody w Cannes (za film **„Dziesięć tysięcy dni"**, Antonioni dostał wtedy drugą nagrodę — obaj za reżyserię), zamieszczam obok zdjęcie „doktora" i proszę, aby każdy, kto może udzielić jakichś informacji o innych jeszcze, nieznanych jego wcieleniach — był uprzejmy ich udzielić. Bo może on japoński szpion!? Lepiej wiedzieć z kim człowiek rozmawia o Żeromskim i Ibsenie i pije wódkę.

Prawdziwy — nie ten ze zdjęcia! — Ferenc Kosa mówi o swoich filmach, które zrobił: **„Publiczność przyjmowała te filmy, które po kilku tygodniach projekcji znalazły się na indeksie, znakomicie. Odbywałem setki spotkań z widzami, ale nie można już było o mnie pisać, mówić w radio czy w telewizji. Stałem się twórcą „zakazanym" i znów przez kilka lat nie mogłem kręcić filmów na Węgrzech. A przecież w tym, co sfilmowałem, udało się zawrzeć tylko cząstkę tego, co myślałem. (...)"**

(Wypowiedź F. Kosy spisał dla „Trybuny Ludu" Stanisław Zawiśliński).

A.G.

Półka z książkami

SAMOSIERRA 1808

W serii „Historyczne Bitwy" ukazała się książka **Roberta Bieleckiego** traktująca o jednym z **naszych — wg. Zbigniewa Załuskiego, — „siedmiu grzechów głównych"**, czyli o Samosierze, gdzie **Polacy** dokonali masakry wolnych Hiszpanów, aby okupantowi Napoleonowi otworzyć drogę do **Madrytu.** Później historycy oceniają udział polskich szwoleżerów w tej szarży, fakt pozostaje faktem. byli oni najdzielniejszymi żołnierzami owego listopadowego dnia 1808 roku.

Robert Bielecki: Samosierra 1808. MON 1989. Str. 208. Cena 880 zł.

LUDZIE Z POWSTANIA LISTOPADOWEGO

Stefan Majchrowski, literat i popularyzator historii, swojej ostatniej książki nie zdążył zobaczyć — zmarł w 1988 r. Mówię o książce **„Niezwykłe postacie z czasów Powstania Listopadowego"** przedstawiającej dzieje ludzi których życie było związane z owym narodowym zrywem wyzwoleńczym. Nawet dla tych, nie przepadających za historią, lektura tej książki może okazać się pasjonującą podróżą w czasie. A przy tym jakiż to bogaty rejestr nazwisk! Od **Piotra Wysockiego poprzez Mochnackiego, Chłopickiego, Lelewela, Platerównę** i dziesiątki innych do **Sowińskiego, Dembińskiego i Zaliwskiego,** a więc do ostatnich dni powstania.

Stefan Majchrowski: Niezwykłe postacie z czasów Powstania Listopadowego. LWS 1989. Str. 326. Cena 800 zł.

WIERSZE POŚWIATOWSKIEJ

Wybrańcy bogów umierają młodo — twierdzili starożytni. **Halina Poświatowska** była wybrana przez Apollina, by obdarzać ludzi ciepłem, słońcem i mądrością swojej poezji. Umarła młodo, zaledwie przekroczywszy trzydziestkę. Ale jej ciągłe obcowanie z kolejnymi pokoleniami odbywa się dzięki magii wierszy, które są czytane i odczytywane ciągle na nowo.

Powyższe uwagi powstały w związku z czwartym, rozszerzonym, wydaniem „Wierszy wybranych" Haliny Poświatowskiej.

Halina Poświatowska. Wiersze wybrane. WL 1989 Str. 432. Cena 1150 zł.

E. I.

Jubileusz chóru

Bogaty w interesujące wydarzenia artystyczne był dziesiąty — jubileuszowy sezon koncertowy **Chóru Kameralnego Akademii Muzycznej w Łodzi.** Zespół powstał w 1979 roku z inicjatywy **prof. Zygmunta Gzelli.** Złożony jest ze studentów i absolwentów różnych specjalności. Wspomniany sezon był dla młodych chórzystów bardzo pracowity i przyniósł wiele ważkich osiągnięć artystycznych. Chór uczestniczył w dwu ogólnopolskich konkursach i trzech festiwalach. Dał także kilka odrębnych koncertów. W drugiej połowie sierpnia odbył podróż artystyczną do Republiki Federalnej Niemiec. Udział w **I Ogólnopolskim Konkursie Chórów Kameralnych w Olsztynie** — w październiku 1988 roku zaowocował przyznaniem pucharu przewodniczącego jury. Na **XXI Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat"** zespół nie wyśpiewał żadnej nagrody. Stał jednak na z góry przegranej pozycji, ponieważ jury postanowiło, że chóry studenckie z uczelni muzycznych punktowane nie będą. 26 listopada 1988 r. chór wystąpił po raz trzeci z kolei na **XXI Festiwalu „Dni Muzyki Kameralnej"** w Kaliszu wykonując wraz z Kaliską Orkiestrą Symfoniczną **Mszę C-dur „Koronacyjną" Mozarta.** W kilka dni później (4 grudnia) powtórzył to wykonanie podczas **„Dni Muzyki Poważnej" w Krotoszynie.** Solistami byli artyści Teatru Wielkiego i pedagodzy Akademii Muzycznej w Łodzi: **Małgorzata Myszarek, Jolanta Gzella, Wojciech Pospiech i Andrzej Malinowski.** 12 lipca 1989 r. zespół wystąpił po raz pierwszy w Koszalinie na **XIV Festiwalu Muzyki Organowej i Oratoryjnej,** wykonując utwory: **Arcadelta, Palestriny, Gomółki, Zieleńskiego, Gorczyckiego, Brucknera i Poulenca.** W pierwszej połowie lipca zespół przebywał w Koszalinie na kursie dyrygentów polonijnych, jako chór ćwiczebny. Chór Kameralny nie zaniedbywał też swojego miasta, dając kilka koncertów na Uniwersytecie Łódzkim — 16 X 1988 r., w ramach sesji naukowej „Polska literatura" i na własnej uczelni, podczas sesji naukowej zorganizowanej przez Katedrę Wychowania Muzycznego oraz w ramach przewodu kwalifikacyjnego mgr Julii Bileckiej na stanowisko adiunkta.

Szczytowym punktem sezonu była wspomniana już podróż artystyczna do RFN. Chór miał tam łącznie 12 występów: w Offenburgu, Fryburgu, Baden-Baden, Stuttgarcie, Marburgu i innych miastach — z wypadem do Francji — (występ w katedrze w Strasburgu).

Ciekawą nowością repertuarową wprowadzoną w sezonie 1988/89 były formy wokalno-instrumentalne. Zespół instrumentalny tworzą członkowie chóru, grający na różnych instrumentach. Jest to zespół smyczkowy z towarzyszeniem organów, realizujących partię basso continuo. W ten sposób Chór Kameralny uniezależnił się od odrębnego zespołu, z którym dotychczas współpracował. Jako pierwsze zostały opracowane w tym składzie 3 motety koncertujące Gorczyckiego, wykonane po raz pierwszy w Offenburgu 19 sierpnia 1989 roku.

PIOTR KUKIEŁKA

Dr Antoni Szram w roli... węgierskiego reżysera. Czytaj obok.

Foto: Andrzej Wach

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

KRYZYS DUCHOWY

„...Kiedy się myśli o przyszłości kultury, wiele różnych spraw trzeba brać pod uwagę. Co to zresztą znaczy „kryzys duchowy?" Proszę się przyjrzeć innym środowiskom, innym zawodom — mówi **Tadeusz Łomnicki** w miesięczniku **„Teatr"**. — Czy lekarze nie przeżywają kryzysu duchowego? Aktorzy przez cały czas pracują, tak samo jak służba zdrowia. Czy pani wie, ile zarabia młody aktor?

Ale w tej krytycznej, ogólnie biorąc, sytuacji rzeczywiście wszystko się poplątało, rachunek ekonomiczny z Wielką Improwizacją... Mnie nie interesują pomysły administracyjne — czy to ma być teatr prywatny, spółdzielczy, państwowy czy jakiś inny. Teatr może zaistnieć tylko przez repertuar, przez śmiałość podjęcia tematów, przez jak gdyby rozliczenie się wobec drugiego człowieka — widza — z tego wszystkiego, co wisi w powietrzu, ma wpływ na nasze życie, coś dla nas wszystkich znaczy: o tym chce się mówić, ale ktoś musi to umieć robić? Kto? My. Teatr. Musimy wpisać w obszar naszej teraźniejszości i przyszłej działalności bardzo konkretne pojęcie (a jest ono zarazem wartością absolutną): solidarność z drugim człowiekiem, widzem. Tego on od nas oczekuje, tego się po nas spodziewa. To jest najważniejsze...

...Dużo gram, w związku z czym mało oglądam. O środowisku również trudno mi mówić, bo tego środowiska nie ma, jest rozbite. Tu nie chodzi o spory organizacyjne czy administracyjne, ani o to kto ma rację i jaką, bo nie trzeba należeć do KPN, żeby uznać, że partia nie ma racji albo że rząd źle rządzi: ważniejsze jest to, że właśnie rząd i partia konsekwentnie dążyły do rozbicia tego środowiska, podobnie zresztą jak wielu innych. My okazaliśmy się niepokorni, zareagowaliśmy odpowiednio na rzeczy, z którymi nie można się pogodzić, i oto skutki — jesteśmy rozbici. Ale fakty są faktami. A sprawą każdego człowieka kultury, który żyje w tym kraju, pozostaje odpowiedzialność za kulturę. Tak to widzę. I wiem, że wchodząc na scenę, robię również coś, co ma związek z działalnością społeczną. Tyle tylko, że przestałem się oszukiwać i obecnie nie zajmuję się tym, na co nie mam wpływu. Ciężko pracuję, a ta praca jest wynikiem pewnego myślenia i programu, od którego nie odejdę i który tworzy moją siłę..."

TRZEBA SIĘ NIEŹLE NAGANIAĆ

„...Wszelkie opowieści o oszałamiających karierach polskich aktorów na Zachodzie można włożyć między bajki. My gramy tam wyłącznie postacie, do odtwarzania których nie nadaje się rodzimy aktor, a więc Marokańczyków, Mongołów, Czechów, emigrantów rosyjskich, Marsjan i wszelkie inne stwory. To jest nasz chleb powszedni — powiedział **Ilonie Kondrat z „Przeglądu Tygodniowego" Eugeniusz Priwiezincew,** były aktor Teatru Studio mieszkający obecnie we Francji. — W Polsce aktorzy grają na okrągło — film, teatr, dubbing, telewizja, radio. Podpierają się nosem, a nic z tego nie mają. Kiedyś za dużą rolę w filmie można było kupić „malucha", a dziś co najwyżej komplet opon do niego. Mnie dwa dni zdjęciowe gwarantują miesiąc życia. Przeciętnie, aby utrzymać rodzinę, muszę „wykręcić" 24—30 dni w ciągu roku, co wcale nie jest łatwe. Trzeba się nieźle naganiać, aby dostać tyle pracy..."

CZY POLSKA INTELIGENCJA...

jest kulturalna? — takie pytanie postawił tygodnik **„Wprost"** i odpowiada: — Z przykrością trzeba stwierdzić, że w coraz mniejszym stopniu. Duża część inteligentów coraz rzadziej bywa w teatrze, kinie, na koncertach, nie mówiąc już o odwiedzeniu sal wystawowych czy muzeów. Z czytelnictwem książek też bywa fatalnie i aż wstyd zapytać: co ostatnio czytałeś? Tzw. kulturalne spędzanie czasu od dawna już ograniczone zostało do oglądania telewizji oraz łatwych i przyjemnych filmów na wideo. „Mam w d... kulturę — słyszy się coraz częściej — jeśli przez cały dzień muszę uganiać się za najniezbędniejszymi produktami, a także za forsą. Przychodzę do domu i padam ze zmęczenia".

Jest to przerażające, ale całość naszego życia sprowadzona została niemal wyłącznie do spraw typu „załatwieniowego", czysto bytowych: do zdobywania jedzenia, zapałek, żyletek itp. W tej sytuacji wielu specjalistów uważa, że o kulturze będzie można mówić dopiero wówczas, gdy zaspokojone zostaną elementarne potrzeby bytowe, gdy ludzie nie

„Nie lubię pomników..."

Rozmowa z WIESŁAWEM SZCZOTKOWSKIM

— Jest pan autorem pierwszej, polskiej sztuki o Włodzimierzu Majakowskim, którą prezentował ze swoim Teatrem „Problemy" na festiwalu z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i otrzymał wtedy pierwszą nagrodę. Jakie były jej dalsze losy?

— Sztukę prezentowaliśmy również w czasie występów gościnnych w Moskwie. Telewizja pokazała ją we fragmentach, a towarzysząca nam ekipa nakręciła film „Najlepsi z czterystu", który był emitowany w programie pierwszym TVP. Natomiast jury, pod przewodnictwem Juliana Przybosia, wyróżniło pierwszą nagrodą sztukę, w której wyraźnie ukazałem, że towarzysze radzieccy doprowadzili do śmierci poety. Sztuka stała się sensacją festiwalu, który miał być laurką dla uczczenia kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej.

— Jak to się stało, że Trybun Rewolucji, wyniesiony na cokoły pomników stał się nagle niewygodny, wręcz niebezpieczny?

— „Trybuna" zrobiono z niego wbrew jego woli. Stał się niebezpieczny, kiedy zorientowano się, że za dużo mówił i za dużo wiedział. Był bystrym obserwatorem i szybko dostrzegał fałsz i zakłamanie, jakim karmiono robotnika. Początkowy entuzjazm poety po upadku znienawidzonego caratu ostygł, gdy poeta rozejrzał się wokół. To nie robotnicy i chłopi zwyciężyli w rewolucji, żyli nadal w strachu i ubóstwie, ale ci którzy korzystają z osiągnięć rewolucji dzierżyli władzę i żyli w dobrobycie, łamiąc prawo, naigrawając się ze sprawiedliwości, depcząc hasła, które zaszczepił w narodzie Lenin. To ich uwiecznił Majakowski w swoich sztukach „Łaźnia" czy „Pluskwa", nazywając tych wszystkich prominentów „Naczdyrdupsami" i „pluskwami na ciele rewolucji", to ich należy siłą doprowadzić do „łaźni", aby zmyć z nich nieprawość, kłamstwa, okrucieństwo i krew z rąk.

— Jak doszło do napisania sztuki?

— Przypadek sprawił, że zainteresowałem się bliżej życiem Majakowskiego. Kiedy odwiedziłem muzeum poety na Tagance w Moskwie, wpadł mi w ręce stenogram z ostatniego spotkania autorskiego, które odbyło się w Instytucie Gospodarki Narodowej w Moskwie w roku 1930. Na marginesie tego dokumentu Wiktor Sławiński dopisał uwagę: „to była Golgota audytorium".

— I stąd tytuł sztuki?

— Tak. Postanowiłem wiernie zrekonstruować przebieg tamtego dramatycznego spotkania, aby współczesny widz mógł odczuć tamtą atmosferę i zrozumieć, że to właśnie wtedy zapadł wyrok na poetę, postanowiono wykończyć go moralnie i psychicznie, doprowadzić do samoobójstwa.

— Pan wierzył, że było to samobójstwo?

— Tak! Bo taka była oficjalna wersja śmierci Majakowskiego. „Ostatni list", który w kilka godzi po śmierci poety był szeroko publikowany, miał rozwiać wszelkie spekulacje i plotki na ten temat. Ja również chciałem zamknąć swoje przedstawienie odczytaniem listu. Kiedy poprosiłem jednak dyrektorkę Muzeum Majakowskiego o pokazanie mi tego listu, okazało się to niemożliwe, ponieważ był on pod „szczególną opieką", chociaż inne, bardziej wartościowe rękopisy, można było oglądać, a nawet dotykać, ale ten właśnie list był ściśle strzeżony. Stało się to wtedy, gdy jeden z piszących pracę doktorską o poezji Majakowskiego podważył autentyczność tego dokumentu, powątpiewając — czy rzeczywiście skreśliła go ręka poety?

— Czyżby miało to związek z pokazanym zdjęciem w „Pegazie", obalającym mit o samobójstwie poety?

— Wiele jest niejasności w tej sprawie. Kiedy występowaliśmy z tą sztuką w Moskwie, dziwiło mnie to, że zabroniono, aby plakaty były rozklejone w całym mieście. Na salę wpuszczono osoby ze specjalnym zaproszeniem. Mimo to przybyło wielu przyjaciół. Dla nich był to szok, że polski teatr i polski autor sięgnęli do „wstydliwego tematu". Tłumaczono mi: „Nie możemy się chlubić tym, żeśmy własnego trybuna wykończyli".

— Jaka była atmosfera na sali?

— To nie był spektakl, ale policzek dla tych, którzy zawinili wobec poety i dla własnych korzyści stchórzyli, dołączając się do grona „milczących". **Weronika Połońska** — aktorka, przyjaciółka poety, która pierwsza weszła do pokoju zaraz po samobójstwie Majakowskiego, zapytana o szczegóły — milczała. Kiedy powiedziałem jej, że pragnę zakończyć spektakl odczytaniem listu pożegnalnego poety, kategorycznie zaprotestowała: „To nieprawda! On tego nie mógł napisać! On by mi tego nie zrobił! Zabili go!" Nie dokończyła, zanosząc się płaczem.

— Czy sugerowała morderstwo?

— Nie śmiałem nawet myśleć o takiej ewentualności. Przypuszczałem, że obwiniała tych wszystkich, którzy systematycznie wykańczali poetę zmową milczenia, pogróżkami i anonimami.

— Czy rekonstrukcja spotkania Poety w Instytucie Gospodarki Narodowej była trudna?

— Bardzo trudna. Dokładny przebieg, łącznie z reakcją publiczności, miałem zawarty w stenogramie. Należało z tego skonstruować przedstawienie, aby było zwarte, ciekawe i zdążało do wyjaśnienia przyczyn śmierci poety.

— Mam przed sobą tygodnik „PRZYJAŹŃ" nr 985, w którym Marek Sieczkowski w artykule „Otwarte głowy — gorące serca" pisze: „Na scenie panuje poeta. Jego głos, wyrzucane jak potoki lawy, słowa — huczące, swarliwe, nawołujące, to znów liryczne. Poeta i wrogowie. Poeta i przyjaciele. Jeden człowiek osaczony przez wielu, jedna głowa przeciw dziesiątkom pytań. I jedno serce. Można bez przesady powiedzieć, że łódzki Teatr „Problemy" zaszokował widzów i jury, a autor i reżyser wywołał wokół siebie atmosferę niekłamanego zainteresowania, nawet sensacji". — Przyznam się panu, że czytając pańską sztukę odebrałem podobne wrażenie. Rzadko się zdarza, aby rekonstrukcja scenicznego spotkania Poety z publicznością osiągnęła taki dramatyczny efekt? Łączyło się to z ryzykiem. Czy nie wydarzyło się coś poza scenariuszem?

— Było takich przypadków wiele. Piszę o tym w książce. Np. w Poznaniu występowaliśmy na scenie Teatru Polskiego w obecności kilku ministrów, sekretarzy i ambasadora ZSRR, omal nie doszło do przerwania pokazu. Bileterki teatru, jak zawsze, rozmawiały sobie na korytarzu, nie orientując się jaka forma sceniczna będzie prezentowana na scenie. Gdy jednak usłyszały na sali krzyki publiczności-aktorów (podstawionych przeze mnie) — wtargnęły wszystkie na widownię: „On jest pijany", „wyrzucić go z sali", „chuligani", „precz" i... chciały wyprowadzić aktora, który miał jeszcze tekst i musiał pozostać. Wkroczyłem więc ja w obronie tego „studenta", niestety, dostałem cios w głowę i przyciśnięty do ściany, patrzyłem jak mojego aktora wyrzucono siłą z sali. Dalszy tekst musiałem sam przejąć, aby przedstawienie mogło toczyć się dalej. Były i protesty, a nawet wnioski o ukaranie. W czasie występów w Moskwie o mało nie doszło do „skandalu dyplomatycznego". Usłużni „przyjaciele" i tak poinformowali kogo trzeba w kraju i musiałem się z tej pomyłki tłumaczyć. Z Polski zabraliśmy wieńce, które mieliśmy złożyć przed Mauzoleum Lenina i na grobie Majakowskiego. Wieńce miały szarfy skręcone i dopiero w ostatniej chwili je rozwinęliśmy. Trochę zadziwiło nas, że „odpowiedzialny" za przebieg kolejki do Mauzoleum, gdy czytał napis na naszym wieńcu, kiwał głową ze słowami: „No można i tak". Przy składaniu wieńca, Majakowski otrzymał wieniec z napisem na szarfie: „Przywódcy Rewolucji Październikowej", a Lenin — „Największemu Poecie Rewolucji"...

— Temat i sytuacja były na owe czasy ryzykowne. Ale Majakowski stoi na cokole pomnika, który nadal jest na placu nazwanym jego imieniem. Jak wam się podobał?

— Ja osobiście nie lubię pomników. Wolę pomniki w pamięci ludzkiej, w ich sercach, w domach, na półkach. Są wtedy ludzcy i bliscy.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Kronika

NA ZAPROSZENIE UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO przyjechał do Polski znakomity poeta, **laureat Nagrody Nobla — Czesław Miłosz.** Krakowska uczelnia przyznała autorowi **„Doliny Issy"** tytuł **doktora honoris causa. Uroczystość nadania tej godności** odbędzie się 2 października br. i połączona zostanie **z inauguracją nowego roku akademickiego.**

Wykład **inauguracyjny** pt. **„Z poezją polską przeciw światu"** wygłosi **C. Miłosz.** Przewidziany jest również **cykl jego wykładów dla studentów.** Pozostały czas wypełnią pisarzowi spotkania i wieczory autorskie.

W BIBLIOTECE UŁ (ul. Matejki 34) **25 bm.** otwarta została **wystawa publikacji Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego.** Ekspozycja czynna będzie **do 15 października br.** Zachęcamy do obejrzenia.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO, w poczytnej serii **„Biografie niezwykłe"** ukazała się książka **Daniela Wyszogrodzkiego** pt. „Satysfakcja". Zawiera ona — znaczone wielkimi sukcesami — **dzieje** sławnego angielskiego **zespołu rockowego „The Rolling Stones".**

POLECAMY LEKTURZE nowy, bardzo interesujący numer **„Wędrownika"** (317), unikatowego **łódzkiego biuletynu** (zbyt skromne to określenie) **Zarządu Wojewódzkiego PTTK,** któremu prawie niezauważenie „stuknęły" już **33 lata.**

Pismo to — będące **ewenementem w skali krajowej** — staje się **z każdym numerem ciekawsze.** Wiele miejsca — co szczególnie zasługuje na odnotowanie — poświęca mało znanym **dziejom starej i międzywojennej Łodzi.**

W ostatnim numerze „Wędrownika" czytelnicy znajdą m.in. dalszy ciąg literacki **wędrówki Jerzego Urbankiewicza traktem starej** Piotrkowskiej, o lekarzu i społeczniku związanym z Łodzią, Antonim Stanisławie Więckowskim, pisze **Bożena Krzemińska,** zaś historię narodzin łódzkich muzeów omawia **Anna Pilarska.**

SŁYNNY OBRAZ Jerzego Kossaka „Cud nad Wisłą" — po wielu latach zakazów — **udostępniony został publiczności** w salach wystawowych **Muzeum Państwowego w Grudziądzu.**

W ŁODZI, 21 bm., przy **ul. Rewolucji 1905 r. nr 28, wyznawcom religii mojżeszowej przekazany został** w użytkowanie **odrestaurowany Dom Modlitwy.** Ten obiekt kultu religijnego w czasie ostatniej wojny po wyzwoleniu przechodził zmienne koleje losu. Odbudowany został teraz m.in. dzięki wsparciu finansowemu **fundacji Nissenbaumów oraz fundacji Ronalda Laudera** (b. ambasadora USA w Austrii).

W uroczystości otwarcia synagogi, obok **przedstawicieli władz miejskich i Kościołów różnych wyznań** (w tym katolickiego), uczestniczył naczelny rabin Polski — **Pinkus Menachem Joskowic.**

W LISTOPADZIE BR. NASTĄPI ROZSTRZYGNIĘCIE organizowanego przez **Oddział Wojewódzki „PAX" w Piotrkowie Tryb. IX Otwartego Turnieju Jednego Wiersza,** poświęconego **przeżyciom i refleksjom związanym ze Świętem Zmarłych.** Organizatorzy turnieju proszą wszystkich chętnych o nadsyłanie prac (w 5 egz. maszynopisu, z godłem) w terminie do dnia **31 października br.** pod adresem **O.W. Stowarzyszenia PAX, Piotrków Tryb, ul. Dąbrowskiego 18.**

W DNIACH PRASY I WYDAWNICTW SD ukazała się nakładem **„Epoki"** biografia **Antoniego Stanisława Więckowskiego** — współtwórcy **Łódzkiego Klubu i Stronnictwa Demokratycznego** — pióra **Mieczysława Bandurki, Andrzeja Felchnera i Bożeny Krzemińskiej.**

Praca ta jest **pierwszą próbą zaprezentowania całokształtu działalności politycznej i społecznikowskiej tego nieprzeciętnego człowieka,** wielce zasłużonego dla międzywojennej Łodzi.

PIERWSZA W POLSCE GALERIA SZTUKI ŻYDOWSKIEJ pn. **„Hadar"** otwarta została **w Krakowie.** Inaugurująca jej działalność ekspozycja prezentuje mało znane obrazy i grafiki Jonasza Sterna.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI, 25 bm., otwarta została interesująca **wystawa** malarstwa, **argentyńskiego artysty** — związanego więzami rodzinnymi i studiami z Polską — **Ariela Mlynarzewicza.**

Ekspozycja, zorganizowana przy współudziale **Centrum Kultury Młodych** oraz **Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną,** czynna będzie do 10 października br.

MUZEUM WOJSKOWEJ SŁUŻBY ZDROWIA w Łodzi (ul. Żeligowskiego 7/9) zaprasza na **wystawę „Wrzesień 1939".** Prezentowane, bardzo ciekawe, eksponaty udostępnione zostały muzeum m.in. przez członków oddziału łódzkiego **Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy.**

Opracował: JAK

Pianiści

Melomani ceniący nade wszystko muzykę fortepianową nie mieli ostatnio powodów do narzekań. Na początek nowego sezonu muzycznego przypadły bowiem w Łodzi aż trzy interesujące występy pianistów: dwa recitale oraz koncert z udziałem filharmoników.

Recitale odbyły się w Białej Sali Muzeum Historii Miasta Łodzi. Miejsce to, od dawna wykorzystywane do celów imprezowych, ma wiele zalet, wadę zaś chyba tylko tę, że w trakcie występu dochodzą niekiedy zza okien odgłosy ruchu ulicznego. Większe pojazdy powodują nawet wyczuwalną wibrację podłogi. Niewątpliwie jednak w beznadziejnej wciąż sytuacji lokalowej łódzkiej Polihymnii, muzeum wydawać się może miejscem na kameralne spotkania z muzyką wymarzonym.

12 września recital dała **Maria Korecka-Soszkowska,** laureatka I nagród na konkursach w St. Moritz i Santiago de Compostella, od roku przebywająca w Ankarze jako profesor fortepianu na wydziale muzycznym tamtejszego uniwersytetu. Grała wyłącznie muzykę polską. Najpierw **Chopina:** m.in. **Fantaisie-Impromptu cis-moll,** 2 pełne dramatyzmu etiudy — **„Rewolucyjną"** i **a-moll op. 25** oraz monumentalnego **Poloneza As-dur op. 53.** Po przerwie — **9 Preludiów op. 1 Szymanowskiego,** a także witalny **„Tryptyk góralski" Malawskiego.** Gra artystki odznaczała się wzorową precyzją techniczną, zawsze dobrze „osadzonym" dźwiękiem oraz ścisłym podporządkowaniem wyrazu emocjonalnego założeniom formy utworu. Wyraz ten tylko w niektórych momentach mógłby być wzmocniony przez większe zróżnicowanie dynamiki.

19 września wystąpił Jugosłowianin — **Predrag Muzijevic.** Jest on obecnie studentem Jolliard School w Nowym Jorku, ale już zdobywcą I miejsca na konkursie w Belgradzie oraz II nagród w Bolzano i Palm Beach. Program jego recitalu także zawierał kompozycje Chopinowskie **(5 Mazurków, Poloneza-Fantazję As-dur, Walca Es-dur op. 18),** ponadto rozbudowany cykl **„Zwierciadła" Ravela** i — jako „ostrą" pointę — **„Poemat sataniczny" Skriabina.** Muzijevic to muzyk dojrzały, o ukształtowanej osobowości, dysponujący znakomitym warsztatem solistycznym. Nie epatuje jednak techniką, koncentrując się raczej na czysto dźwiękowych — kolorystycznych i dynamicznych współczynnikach dzieła. Wykazuje zresztą upodobanie do brzmień zawoalowanych, impresjonistycznych, które największe uzasadnienie stylistyczne miały w „Zwierciadłach". Natomiast interpretacje utworów Chopina nie zawsze w pełni przekonywały tym, co jest zasadniczym atrybutem tej muzyki, a mianowicie polskością. Np. z Poloneza-Fantazji motywy polonezowe jakby się ulotniły.

Między tymi recitalami, 15 września, odbył się koncert symfoniczny w eksploatowanej przez FŁ kolejny rok, pozbawionej wszakże odpowiednich walorów akustycznych, sali Liceum Muzycznego. Koncert anonsowano jako inaugurację sezonu, choć nie był on wcale pierwszym spotkaniem. Przypomnę, że 1 września filharmonicy uczestniczyli w realizacji **Requiem Mozarta** z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zaś tym razem, pod batutą **Andrzeja Straszyńskiego,** zabrzmiały: poemat symfoniczny **„Preludia" Liszta, II Symfonia D-dur Brahmsa** oraz **II Koncert fortepianowy c-moll Rachmaninowa.** Przy fortepianie zasiadł **Benedetto Luno.** Ów młody Włoch uzyskał w bieżącym roku III nagrodę na konkursie im. van Cliburna, ale niechaj ta III lokata nikogo nie zmyli. Lupo jest mistrzem! Pianistą, jakiego w Łodzi dawno nie było! Wirtuozem i interpretatorem doskonałym, fascynującym wyborną techniką, pięknym rysunkiem frazy, soczystością tonu, ogromną muzykalnością i wrażliwością. Problemy techniczne zdają się dla niego w ogóle nie istnieć, co było widoczne np. w dźwiękowych kaskadach III części silnie nasyconego ekspresją koncertu. Szlachetny liryzm emanował ze środkowego Adagia i II tematów części skrajnych.

Tego artysty łódzcy melomani prędko nie zapomną. A ponieważ również i orkiestranci spisali się na medal, można tylko zawołać — oby częściej! Oby koncertów na takim poziomie było jak najwięcej!

JANUSZ JANYST

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

będą musieli zmartwiać się o to, co włożyć nazajutrz do garnka i jak przetrwać do pierwszego. Ten krótkowzroczny i niebezpieczny pogląd funkcjonował już w obiegu wielokrotnie w czasach, gdy bywało ciężko (a kiedy nie bywało ciężko?), zaś życie dyktowało swoje nieubłagane prawa: nic się w nim w sferze polepszania warunków bytowych nie zmieniło. Wręcz przeciwnie, stawało się ono coraz trudniejsze, a od dawna tak zafajdane — wraz z nim także kultura — że o tej ostatniej nikt już poważnie nie myśli. O kulturze niemal wstyd mówić. Staje się jakby zbędna, staje się nie chcianym przez nikogo dzieckiem".

BERGMAN ŻĄDA MNIEJ

Szwedzki reżyser **Ingmar Bergman** wystąpił na drogę sądową przeciwko gazecie **„Aftonbladet"**, która opublikowała artykuł oparty na nieautoryzowanym materiale pochodzącym z jego biografii **„Laterna Magica"** Wydawca „Aftonbladet" **Thorbjorn Larsson** zaprzeczył oskarżeniom stwierdzając, że treść artykułu zaczerpnięta została z wywiadów, książek oraz programów telewizyjnych poświęconych Bergmanowi. Firma wydawnicza **Nordstedts,** której Bergman powierzył wydanie książki podpisała uprzednio kontrakt przyznający wyłączne prawo do biografii gazecie **„Expressen".**

Wydawnictwo wystąpiło w związku z tym o odszkodowanie od „Aftonbladet" domagając się 150 tys. koron tytułem rekompensaty za bezprawne wykorzystanie materiałów nie przeznaczonych do publikacji. Natomiast reżyser nieobecny na rozprawie oświadczył przez swego awokata, że zadowoli się wypłaceniem przez „Aftonbladet" symbolicznej korony.

NOTOWANIA GIEŁDOWE NA „JARMARKU WINOBRANIOWYM" W ZIELONEJ GÓRZE

Adam Ochocki „Raz, dwa, wziali. Wspomnienia z ZSRR 1939—1946" (Wydawnictwo TKKŚ, Łódź 1988) — 2000 zł (cena nominalna — 470 zł), **Rafał Wojaczek „List do nieznanego poety"** (Wydawnictwo Dolnośląskie 1987) — 2500 zł (cena nominalna — 160 zł); **Słownik kieszonkowy angielsko-polski i polsko-angielski"** — 20 000 zł; **James Clavell „Król szczurów"** — 10 000 zł; **Andrzej Szczypiorski „Początek"** (Instytut Zachodni, Poznań 1989) — 6000—8000 zł (cena nominalna w oprawie miękkiej — 1000 zł, w twardej — 1300 zł); **Lech Wałęsa „Droga nadziei"** (Znak 1989) — 20 000 zł (cena nominalna — 6000 zł); **Jean Orieux „Talleyrand"** (PIW 1989, seria „Biografie sławnych ludzi") — 10 000 zł (cena nominalna — 5500 zł); **Jan Erdman „Droga do Ostrej Bramy"** (2 t., Wydawnictwo Kurs 1986, drugi obieg) — 5000 zł; **Jerzy Kosiński „Malowany ptak"** (Czytelnik 1989) — 15 000—20 000 zł (cena nominalna — 1200 zł); **Jerzy Pawlak „Polskie eskadry w latach 1918—1939"** (Wydawnictwa Komunikacji i Łączności 1989) — 15 000 zł (cena nominalna — 2800 zł); **„Wielka Encyklopedia Powszechna"** (PWN — 13 t. — 800 000 zł (sic!) — (cena antykwaryczna — ok. 300 000 zł); **Antoni Czubiński, Jerzy Topolski „Historia Polski"** (Ossolineum 1989, II wydanie) — 15 000 zł (cena nominalna — 4700 zł); **„Wielki słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski"** (WP) — 360 000 zł (sic!); **Władysław Kopaliński „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych"** (WP 1989) — 8000 zł — cena nominalna — **4500 zł); Aleksander Czerwiński, Lesław Dudek „Szabla żołnierza polskiego XIX i XX wiek"** (Ossolineum 1989) — 7000 zł (cena nominalna — 2800 zł).

Galeria pisarzy

KAROL OBIDNIAK

Rys. Sławomir Arabski

Z dziejów ludów arabskich.

Zanim powstał islam

HASSAN A. JAMSHEER

Autorzy, zajmujący się islamem, z rzadka zwracają uwagę na warunki panujące na Półwyspie Arabskim przed powstaniem tej religii, czy też na ówczesne uwarunkowania społeczno-polityczne. Nieuwzględnienie tych spraw doprowadzić może do niezrozumienia wielu specyficznych cech religii islamu lub jej świętej Księgi — Koranu — czy zasad wiary oraz systemu politycznego powstałego w oparciu o tę wiarę.

Przedmuzułmańskie państwa arabskie: Państwa Minejczyków. Sabejczyków i Himiarytów.

Królestwa te powstały w kolejnych okresach historycznych — o czym będzie mowa dalej — na terenie dzisiejszego Jemenu (Arabia Felix). Kraina ta znajduje się w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Cechą klimatu tego obszaru były ulewne deszcze w porze letniej oraz spore zasoby wodne, które przyczyniły się od czasów starożytności do rozkwitu rolnictwa. Jemen posiadał duże znaczenie strategiczne na szlaku handlowym między rejonem Morza Śródziemnego z jednej strony a Afryką, Indiami oraz Dalekim Wschodem z drugiej strony. Głównym przedmiotem tego handlu były szlachetne gatunki drewna, kość słoniowa, jedwab i drogocenne kamienie. Opanowując żeglugę, Jemeńczycy stali się pośrednikami w międzynarodowym handlu. Towary sprowadzone z Afryki, Indii i Dalekiego Wschodu przewozili drogą lądową na północ — przez Mekkę — do portów Palestyny i Syrii.

Spośród państw powstałych na terenie Jemenu znane nam jest Królestwo Minejskie, które zostało założone około tysięcznego roku p.n.e. ze stolicą w Ma'in. Władzę sprawowali tam dziedziczni królowie przy pomocy przybocznej rady doradczej. Minejczycy trudnili się handlem z Syrią, Egiptem i niektórymi wyspami Morza Śródziemnego. Na tych wyspach założyli oni swoje kolonie, które kontynuowały działalność handlową po upadku ich królestwa. Znali oni pismo i należeli do pierwszych ludów posiadających własny alfabet.

Państwo Minejskie upadło pokonane przez powstałe w środkowym Jemenie ok. 800 roku p.n.e. Królestwo Sabejskie. Mieszkańcy tego królestwa trudnili się głównie rolnictwem, rozbudowali system nawadniania oraz wznieśli tamy, z których do historii przeszła Tama Me'reb. Była to gigantyczna — jak na owe czasy — tama o długości 800 i grubości 150 łokci, z przeznaczeniem do gromadzenia wód w okresie obfitych opadów dla celów irygacyjnych. Wzmianki o Państwie Sabejskim, jego rozwoju oraz obfitości produktów rolnych, znajdujemy w Koranie.

Osłabienie władzy centralnej, tendencje odśrodkowe, oraz zmiana dróg handlowych w związku z opanowaniem Syrii, Egiptu i rejonu Morza Śródziemnego przez Rzymian (kupcy rzymscy sami przejęli handel z Indiami i Dalekim Wschodem), doprowadziły do upadku Sabejskiego Państwa (V w.n.e.).

Właśnie w owym czasie, powstałe na południu Jemenu Państwo Himiarytów, opanowało Państwo Sabejskie wraz z większą częścią Półwyspu Arabskiego. Nastąpił też rozwój monoteizmu w związku z rozpowszechnieniem chrześcijaństwa w Jemenie za sprawą misjonarzy abisyńskich. W warunkach niepokoju rządzących z powodu postępów chrześcijaństwa, król Himiaru Thu Nawas przyjął judaizm, co należy traktować jako reakcję na powyższy fakt. Dalszym przejawem tej reakcji były represje wobec chrześcijan, których echa można prześledzić w Koranie.

Akty represji wobec chrześcijan sprowokowały zbrojną interwencję Abisynii, okupację Jemenu, upadek Państwa Himiaryckiego oraz wspieranie religii chrześcijańskiej przez nowych władców. Abisyński namiestnik Jemenu, Abraha, zorganizował kampanię z zamiarem opanowania Mekki, lecz zakończyła się ona całkowitą klęską — a sam Abraha zginął. Rok, w którym wydarzenia te miały miejsce — jest to rok narodzin późniejszego Proroka Muhammada — nazywano w tradycji arabsko-muzułmańskiej Rokiem Słonia (am al-fil). Oblegający Mekkę Abisyńczycy mieli ze sobą słonia — zwierzę nie spotykane w Arabii.

W Jemenie ludność stawiała opór wobec władzy abisyńskiej. Opór ten uzyskał poparcie sasanidzkiej Persji, oddziały sasanidzkie wsparły miejscową ludność i jej przywódców, wyzwalając kraj. Niebawem, sasanidzki namiestnik stał się jedynym władcą Jemenu. Jednak, po rozpowszechnieniu się islamu, władca ów przyjął tę wiarę i uznał proroctwo Muhammada.

Państwo Tadmur znajdowało się na Pustyni Syryjskiej między Eufratem a wybrzeżem śródziemnomorskim.

Powstało jako stacja dla karawan na trasie między Syrią a Mezopotamią. Wzmianki o tym państwie są zawarte w transkrypcjach asyryjskich. Opanowanie Azji Mniejszej, Syrii i Egiptu przez Rzymian — oraz związane z tym — wzrost handlu między Mezopotamią a rejonem Morza Śródziemnego, sprzyjało rozwojowi Państwa Tadmur.

Gdy w III w.n.e. Państwo Sasanidów usiłowało opanować Syrię, władca Tadmur Uthaina stanął po stronie Rzymian, którzy w uznaniu jego postawy przyznali mu tytuł Króla Wschodu. Po śmierci tego władcy, jego żona Zenubia zasynęła jako mecenas nauki i sztuki. Pochodziła ona z Syrii, studiowała filozofię grecką i opanowała języki aramejski, grecki i łaciński. Ambitna Zenubia wykorzystała przejściowe osłabienie Rzymu na Wschodzie i zorganizowała wyprawę wojenną, w wyniku której opanowała Syrię i Azję Mniejszą oraz przygotowała się również do opanowania Egiptu. Zgodziła się jednak na pertraktacje z Rzymem, a w tym czasie silna armia rzymska pokonała i zlikwidowała Państwo Tadmur. Samą królową wzięto do niewoli do Rzymu, gdzie zmarła.

Arabscy mieszkańcy Tadmur należeli do kilku plemion, a każde z nich miało własną radę plemienną. Zarówno w tym państwie, jak i innych omawianych przedmuzułmańskich organizmach państwowych, istniało niewolnictwo. Niewolnicy byli wykorzystywani do prac domowych, rzemieślniczych i handlowych.

W państwie Tadmur oddawano cześć ponad 40 bóstwom. Najważniejszymi z nich były: Ba'al, Ba'al Samin i Dżarhil — reprezentujące niebo i księżyc. Bóstwa astralne były charakterystyczne dla wierzeń ówczesnych Arabów. Ruiny Świątyni Ba'al są zachowane do dziś. Do Świątyni prowadziła droga długości jednego kilometra, a po obu jej stronach znajdowało się 400 kolumn o wysokości 55 stóp każda.

Państwo Petra znajdowało się na południu Palestyny na ówczesnym szlaku handlowym, prowadzącym od Jemenu i Hidżazu do Syrii i Egiptu.

Mieszkańcy Petry należeli do plemion arabskich zwanych Nabatejczykami; osiedlili się oni tam wokół źródeł wody od starożytności i zajmowali się ochroną karawan i przewozem towarów. Zachowali oni swoją niezależność przed Asyryjczykami, Aleksandrem Macedońskim i Ptolemeuszami, lecz ulegli Rzymianom. W 108 r. n.e. Cesarz Trajan zdobył Petrę i przyłączył ją do Imperium Rzymskiego.

Nabatejczycy należeli do Arabów północnego Hidżazu, a ich cywilizacja i wierzenia były zbliżone do tych poprzedzających pojawienie się islamu. Oddawali oni cześć wielu bóstwom — m.in. Thu Szara, Hibl, al-Lat, al-Uzza, które były czczone na Półwyspie Arabskim — a szczególnie w Hidżazie.

Chassamidzi wywodzili się — według własnych podań — od starożytnego szczepu południowoarabskiego. Swoje królestwo założyli oni w rejonie na południowy wschód od Damaszku na wielkim szlaku handlowym, łączącym jemeński Ma'reb z Damaszkiem. Królestwo Chassamidów znajdowało się w obrębie wpływów politycznych Rzymu i następnie Bizancjum, które wykorzystywały je do obrony wschodnich granic Syrii przed Sasanidami i arabskimi Munthirczykami. Lud Ghassan przyjął chrześcijaństwo i — obok arabskiego — posługiwał się językiem aramejskim.

Zachodnie granice Mezopotamii ze strony Eufratu były penetrowane przez arabskie plemiona, które z czasem osiedliły się w al-Hira nad Eufratem (I w.n.e.). W warunkach osłabienia, władającego Mezopotamią Państwa Partów, al-Hira rozszerzyła swoje terytorium i przejęła kontrolę nad szlakiem handlowym, łączącym Mezopotamię z Syrią. Kiedy kolejna dynastia Sasanidów przejęła władzę w Persji, zachowała ona władzę plemienną tego ludu, zwanego w historiografii arabskiej Munthirczykami. Ci ostatni mieli w myśl założeń polityki sasanidzkiej zapewnić ochronę zachodnich granic imperium, udzielać pomocy **w walce z Bizancjum oraz kontrolować ruchy plemion Półwyspu Arabskiego.**

Ludność al-Hira czciła bóstwa plemienne. Także chrześcijaństwo zyskało licznych zwolenników, do tego stopnia, że al-Hira stało się ważnym ośrodkiem tej wiary i stąd ruszyły misje do Półwyspu Arabskiego i Państwa Sasanidzkiego. Chrześcijanie z al-Hira przełożyli wiele dzieł greckich na język aramejski, a w czasach Kalifatu Abbasydzkiego uczestniczyli w tłumaczeniu greckich dzieł medycznych i filozoficznych na język arabski.

Państwo Kinda powstało w Środkowej Arabii.

Zostało ono założone w III w.n.e., początkowo na obszarze Wschodniego Hidżasu; następnie zaś wpływy jego sięgały do Eufratu, Jemamy i całego Hidżasu. Państwo to podejmowało próby zjednoczenia Arabii pod swoim berłem, a znajdujące się pod jego panowaniem plemiona zachowały własną organizację i tradycje oraz korzystały z prawa wolnego wyboru swoich przywódców.

Panowanie Kindyjczyków wiąże się z okresem pokoju i stabilizacji w Centralnej Arabii. Po upadku Państwa Kind, Munthirczycy próbowali kontynuować jego dzieło na Półwyspie Arabskim. Z kolei, po upadku tego ostatniego nastąpiło osłabienie więzi międzyplemiennych, wyodrębnienie się poszczególnych plemion, walki i ogólna destabilizacja sytuacji politycznej. Takie **właśnie** warunki panowały w Arabii przed pojawieniem się islamu.

Miasto Mekka posiada szczególne znaczenie w dziejach Arabów i Islamu.

Tu urodził się Prorok islamu Muhammad, tu głosił przez dwanaście lat swoje posłannictwo. W owym czasie Mekka była poważnym centrum handlowym oraz najważniejszym ośrodkiem religijnym Arabii, uczęszczanym co roku przez znaczną liczbę pielgrzymów. Rola centrum handlowego i religijnego sprzyjała poznawaniu przez Mekkańczyków warunków panujących wśród państw i plemion arabskich, a także i w innych krajach. Towarzyszyła temu znajomość ówczesnych religii i idei.

Mekka leży w długiej dolinie otoczonej górami, które ułatwiały obronę miasta i — w okresie opadów — tworzyły rzeki i strumyczki. Jednak z powodu suchego klimatu, bardzo upalnego lata i niewielkiej ilości opadów, dolina ta nie znała upraw rolnych. Mieszkańcy Mekki czerpali pitną wodę ze studni, a takie źródła wody nie były wystarczające dla celów rolnictwa. Stąd zboża i artykuły żywnościowe sprowadzano z innych rejonów.

Wzrost roli handlowej Mekki w okresie poprzedzającym pojawienie się islamu miał związek z opanowaniem Jemenu przez Abisynię i licznymi wojnami między Persami a Bizantyjczykami. Gdy nastąpiło zahamowanie handlu przez Mezopotamię Bizancjum korzystało z pośrednictwa handlowego Mekki. Także Sasanidzi importowali niektóre towary bizantyjskie przez Mekkę. W tych warunkach nastąpiło wyraźne ożywienie handlu mekkańskiego z Jemenem, Abisynią, Syrią i Mezopotamią.

Mekkańczycy brali udział w tym handlu, a sam Muhammad i większość jego towarzyszy (sahaba) prowadzili działalność handlową. Koran wielokrotnie nawiązuje do tej działalności. Kupcy nawiązywali porozumienia z plemionami zamieszkującymi na szlakach karawan w celu zabezpieczenia tych dróg. Porozumienia te, zwane „al-ilaf" znajdują odbicie w Koranie w surze pod tą samą nazwą. Mekka organizowała dwie główne wyprawy handlowe rocznie: wyprawa zimowa kierowała się do Jemenu, a letnia — do Syrii. Miasto posiadało swoje kantory; znane było też lichwiarstwo — zakazane później przez islam.

Według legendy, Mekka była założona przez Abrahama (Ibrahim) wraz z synem Ismailem. Mieli oni wybudować Świątynię Ka'abę, w postaci sześcianu (stąd nazwa), służącą za schronienie dla czczonego Czarnego Kamienia. Do tego miejsca ruszały doroczne pielgrzymki z całej Arabii, gdzie składały swoje ofiary.

Opieka nad Świątynią i miastem pozostała w rękach potomków Ismaila, którzy następnie utracili ją na rzecz plemienia Dżurhum i — po nich — Chuza'a. Wreszcie władza przeszła w ręce przywódcy Kurejszytów i — zgodnie z tradycją — potomka linii ismailickiej.

Szczep Kurejsz dzielił się na plemiona i rody; głównie zaś na dwie kategorie: Kurejszytów wewnętrznych (Kurejsz al-Bitah — czyli zamieszkujących bezpośrednio wokół Świątyni Ka'aby) i Kurejszytów zewnętrznych (Kurejsz al-Dhawahir). Władze i najważniejsze funkcje administracyjne Mekki znajdowały się w rękach Kurejsz al-Bitah; a przywództwo w mieście należało do męskich potomków Kuseja. Jednak, w ważnych sprawach, konsultowali się oni z notablami miasta. Takie konsultacje odbywały się w Dar al-Nadwa (domu Narad), nie opodal Ka'aby. Ponadto każde plemię posiadało własną radę i siedzibę narad.

Sprawowanie władzy w Mekce wiązało się z pełnieniem szeregu funkcji religijnych w związku z nader ważną rolą sakralną Świątyni Ka'aby, dokąd przybywały co roku liczne rzesze pielgrzymów. Do najważniejszych takich funkcji należały: wydawanie zgody na rozpoczęcie pielgrzymki, ustalenie miesięcy odbywania pielgrzymki, przygotowania zapasów wody pitnej dla pielgrzymów, przygotowanie żywności dla nich, piecza nad kluczem do Ka'aby i zezwolenie na wejście do niej, organizowanie obrony miasta.

Arabski system społeczny przed islamem.

Charakterystyczną cechą społeczeństwa Półwyspu Arabskiego w okresie przedmuzułmańskim (zwanym w tradycji islamu „dżahilia" — tj. niewiedza, ignorancja) była dominacja beduińskiej organizacji plemiennej i trybu życia — zarówno na pustyni jak i w oazach i miastach. Plemię to grupa ludzi, mających we własnej opinii takie samo pochodzenie oraz żyjących na tym samym terytorium i biorących udział w jego obronie w wypadku zagrożenia. Plemiona arabskie różniły się między sobą liczebnością — niektóre były liczne, inne — z kolei — niewielkie. Liczebność ta zależała od zdolności poszczególnych plemion do samoobrony i od istnienia pastwisk. Wzrost danego plemienia — w powiązaniu z niedostatkiem pastwisk na swoim terytorium — zwykle powodował jego podział i wyodrębnienie określonej grupy jego członków, tworząc samodzielne plemię, które — niemniej zachowywało więź z macierzystym plemieniem.

Plemiona arabskie przywiązywały w badanym okresie ogromne znaczenie do własnej genealogii. Dzieliły się wówczas pod tym względem na potomków Adnana (benu Adnan) — czyli plemiona pierwotnie zamieszkujące północną część Półwyspu Arabskiego i rejon Nadżd — oraz potomków Kahtana, czyli plemiona osiadłe początkowo na południu Półwyspu Arabskiego. W skład społecznej struktury plemienia wchodziły trzy kategorie ludności:

— Saliba: Była to rdzenna ludność plemienia, korzystająca z równości prawa i obowiązków.

— Halafa (sojusznicy): Stanowili oni obce jednostki, które schroniły się u plemienia lub jednego z jego członków. Kodeks zwyczajowy wręcz nakazywał zapewnienie ochrony tym jednostkom.

— Abid (niewolnicy): Kategoria ta obejmowała pewną liczbę niewolników; a ich głównym źródłem były handel, wojna lub — w mniejszym stopniu — popadanie w niewolę za długi.

Władza w ówczesnej rodzinie arabskiej należała do mężczyzny — głowy domu; panował on nad domem, kobietą i dziećmi. Rola kobiety była ograniczona do zajmowania się sprawami domowymi, rodzeniem i wychowywaniem dzieci oraz niekiedy do udziału w wojnach w celu utrzymania morale bojowników i pielęgnowania rannych. Choć obrona kobiet była kwestią honoru, a szacunek wobec nich rzeczą zwyczajowo normalną, niemniej surowe warunki życia pustynnego sprawiały, że preferowano męskich potomków.

Podstawą politycznej organizacji plemion Półwyspu Arabskiego była dorosła męska ludność rdzenna (saliba), której członków łączyły więzi solidarności krwi (asabia) lub też interesy. Członek plemienia wysoko cenił swój indywidualizm i osobowość, uważał siebie za równego wobec innych członków plemienia pod względem praw i obowiązków. Jednak ten jego indywidualizm nie był sprzeczny z interesem społeczności, gdyż stawał w obronie współplemieńców w razie potrzeby lub zagrożenia. Miał on też moralny obowiązek udzielania pomocy słabym i biednym w formie oferowania gościny czy pomszczenia w razie wyrządzenia im krzywdy przez obcych. Zie — w pojęciu ogółu — zachowanie członka plemienia narażało go na wykluczenie z jego szeregów i w rezultacie na banicję.

Każde plemię posiadało własną siedzibę (nadi, madżlis), dokąd mógł się udać każdy członek tego plemienia i uczestniczyć w omawianiu spraw wewnątrzplemiennych czy stosunków zewnętrznych. Również w madżlis poeci wygłaszali swoje poematy, a krasomówcy swoje mowy. Siedziby spełniały więc rolę szkoły literacko-politycznej, gdzie jednostki udoskonalały retorykę, język oraz umiejętności literackie i polityczne.

Na czele plemienia stał przywódca (rais, szejk) wybrany zwyczajowo przez ogół dorosłej męskiej ludności. Panujące zwyczaje określały pewne wymagane cechy przywódcze jak: rozropność, chojność, inteligencja, odwaga. Do jego obowiązków należało udzielanie pomocy w wypadkach losowych, wspieranie słabszych i przyjmowanie gości plemienia. Siedzibą plemienia było zwykle odpowiednie pomieszczenie w domu raisa, który przewodniczył obradom madżlisu, rozstrzygał spory i nieporozumienia między członkami plemienia. Ponadto dowodził on bojownikom w czasie wojny, a zwyczaj przyznawał mu jedną czwartą łupów i pierwszeństwo wyboru w określonych przypadkach. Podstawą wykonywania postanowień przywódcy była siła jego osobowości i zdolność przekazywania innych. Prawo zwyczajowe nakazywało dobrowolne poszanowanie przywódcy i wprowadzenie w życie jego poleceń.

Plemię uważało się za całkowicie niezawisłą organizację, znajdującą się w stanie permanentnej wojny z innymi plemionami. Inwazja była traktowana za rzecz naturalną i sięgano do niej z potrzeby łupów, pragnienia ekspansji czy zemsty. Liczne wojny i napady uczyniły przygotowanie wszystkich beduinów do walki rzeczą konieczną. Równocześnie stan permanentnego niepokoju zmuszał słabsze przede wszystkim plemiona do nawiązywania sojuszu z innymi w celu udzielania sobie nawzajem pomocy na wypadek napaści czy zagrożenia.

Beduini — mieszkańcy pustyni — wykazywali silne przywiązanie do niepisanego kodeksu zwyczajowego, którego ściśle przestrzegali. Kary za popełnione przestępstwa wymierzali zgodnie z zasadą: oko za oko, ząb za ząb. Beduin mógł jednak zrezygnować z tej zasady i domagać się materialnego odszkodowania za wyrządzoną mu krzywdę. Jeśli ktoś dokonał zabójstwa członka własnego plemienia, otrzymał karę pozbawienia członkostwa plemienia oraz wygnanie. Gdy jednak została zabita osoba z innego plemienia — wówczas plemię zabitego domagać się mogło zadośćuczynienia poprzez zabicie mordercy lub zapłacenia okupu. Tenże okup zależał od pozycji zabitego i zabójcy; najwyższy wymiar wynosił tysiąc wielbłądów, a najniższy — tj. w wypadku zabójstwa zwykłego człowieka — około stu wielbłądów. Przy drobniejszych przestępstwach — jak np. kradzieży — poszkodowany miał sam odnaleźć przestępcę.

Religie okresu dżahilia.

Religie monoteistyczne były znane na Półwyspie Arabskim i w królestwach arabskich Syrii i Mezopotamii. Chrześcijańskie misje działały wśród przedmuzułmańskich Arabów — szczególnie zaś wśród plemion zamieszkujących Syrię, Mezopotamię, Bahrain, Jemamę i Jemen. Także judaizm był rozpowszechniony wśród części mieszkańców Jemenu i w oazach Hidżazu — przede wszystkim zaś Cheiber i Jathrib (Medyna).

Jednakże większość Arabów należała do czcicieli bóstw plemiennych i rodowych. Koran w wielu wersetach przedstawia religie okresu dżahilia i prowadzi z nimi bezkompromisową polemikę. W oparciu o nie wywnioskować można, iż Arabowie znali Allacha (Boga) jako stworzyciela nieba, ziemi, słońca i księżyca — panującego nad ruchem wiatrów, deszczem i wszelkim istnieniem. Nie mniej równolegle do Allacha Arabowie czcili inne — jakby pomniejsze — bóstwa, które były jemu bliskie i z nim zaprzyjaźnione; służyły bowiem za życzliwych pośredników między jednostką a naczelnym Bogiem.

Koraniczny przekaz o Panteonie przedislamskiej Arabii wymienia szereg bóstw — a w pierwszym rzędzie boginie al-Lat, al-Uzza i Manat. Bogini al-Uzza była czczona przez większość mieszkańców Półwyspu i miała swoją świątynię w odległości około stu kilometrów od Mekki. Al-Lat z kolei była obiektem kultu wielu Arabów, a jej świątynia znajdowała się w miejscowości al-Taif niedaleko Mekki. Natomiast sanktuarium bogini Manat było nad brzegiem Morza Czerwonego w odległości około stu kilometrów na północny zachód od Mekki. Wszystkie te świątynie zostały wyburzone po zwycięstwie islamu na rozkaz Proroka Muhammada. Koran także wspomina, że Arabowie okresu dżahilia oddawali cześć ciałom niebieskim.

Warto dodać, że źródła historyczne wymieniają sporą liczbę bóstw okresu dżahilia. Najsłynniejsze z nich to: Hubal — główne bóstwo Ka'aby oraz Asaf i Na'ila, które posiadały ośrodki kultu na wzgórzach Safa i Marwa. Symbole kultu często posiadały kształt ludzki i były rzeźbione z kamienia, drewna lub metalu.

Niektóre miejscowości były uważane przez Arabów za siedzibę bogów i — w związku z tym — święte. Miejsca święte — zwane „haram" powstawały głównie wokół studni i źródeł wody. Najbardziej znanym takim miejscem był święty obszar Mekki powstały wokół studni Zamzam. Na terenie haram nie wolno było zabijać ludzi czy zwierząt lub ścinać drzew. Stąd ludzie chronili się na ich obszarze w warunkach zagrożenia.

Skoro bogowie posiadali swoje siedziby, pielgrzymki kierowały się tam w określonych porach roku. Te stałe pielgrzymki nazywano „hadżdż". Najbardziej znanym obiektem hadżdż okresu dżahilia była miejscowość i góra Arafat nie opodal Mekki. Według tradycji, tam ponownie zapoznali się Adam i Ewa po ich wygnaniu z raju (stąd nazwa). Pielgrzymka odbywała się w miesiącu „thul-hadżdża" (dwunasty miesiąc księżycowego kalendarza arabskiego). Wówczas pielgrzymi przebywali na polu otoczonym górami, i w środku którego znajdowała się niewysoka góra (Arafat). Tu prosili oni bogów o spełnienie swoich próśb. Następnie kierowali się do miejscowości Mana, aby składać ofiary bogom, po czym zwiedzali Ka'abę i odbywali m.in. siedem okrążeń wokół sanktuarium.

Pielgrzymka, mająca miejsce w innym niż zwyczajowo ustalonym czasie, była nazywana „al-amra". W okresie przedmuzułmańskim, poganie składali swoim bóstwom ofiary w określonych miejscach w formie pieniędzy, odzieży czy produktów rolnych, które znajdowały się w dyspozycji opiekunów (al-sadna) miejsc świętych. Składano często ofiary z bydła, a mięso dzielono wśród ludności. Zwierzęta ofiarne miały specjalne oznakowanie.

Przed pojawieniem się islamu, Arabowie przechodzili przez okres rozbicia politycznego, społecznego i religijnego. Ten stan rzeczy był poddany krytyce w Mekce — m.in. przez zwolenników Sojuszu Dobrotliwych (hilf al-fudhul), dążącego do obrony pokrzywdzonych Mekki, przeciwstawiania się napadom oraz zwalczania niewłaściwych praktyk wobec obcych kupców. Jednakże negacja panujących wierzeń i poglądów nadeszła przede wszystkim ze strony orientacji „Ahnaf", której wyznawcy skłaniali się ku monoteizmowi i oczekiwali nadejścia wyższej i czystej religii — religii Abrahama.

Wydawało się, że nie będę mógł już nigdy wyjść od tej kobiety!

Zmysłowa sąsiadka

SIDI MOHAMMED EL NEFZAUI

Rozpoczynamy druk fragmentów arabskiego podręcznika sztuki kochania z XVI wieku. Autorem dzieła, które przełożył Zdzisław Wróbel jest Sidi Mohammed el Nefzaui. W analizach pieszczot i pozycji seksualnych jest bardziej dociekliwy od mistrzów indyjskich. Jego książka nie ustępuje sławnej „Kamasutrze" ani współczesnym podręcznikom erotycznym.

Rys. Dariusz Romanowicz

Byłem zakochany w kobiecie pełnej wdzięku i doskonałości, obdarzonej wykwintną figurą i wszystkimi zaletami, jakie można sobie wyobrazić. Miała policzki jak róże, lśniące czoło, wargi jak z koralu, zęby jak perły, piersi jak granaty. Otwór jej ust podobny był do wgłębienia pierścienia, jej język wydawał się inkrustowany cennymi kamieniami; jej czarne i dobrze rozdzielone oczy miały tęsknotę snu, a jej słowa słodycz cukru. Była wyposażona w okazałą tuszę i jej ciało było miękkie jak świeże masło, czyste jak diament.

Kobieta ta była moją sąsiadką. Wszystkie inne kobiety bawiły się i śmiały ze mną, żartowały ze mnie i znajdowały wielką przyjemność z mego powodu. Syciłem się ich pocałunkami, ich uściskami i ukąszeniami, ssaniem ich warg, piersi i szyj; spółkowałem z nimi wszystkimi z wyjątkiem mojej sąsiadki i z wszystkich kobiet pożądałem tylko jej, lecz daleka od żartów ze mną, raczej mnie unikała. Kiedy udało mi się spotkać z nią na osobności, pożartować z nią i doprowadzić ją do wesołości, mówiłem jej o moich pragnieniach, a ona w odpowiedzi recytowała wiersz, którego sensu nie mogłem zrozumieć:

Widziałam między górami
solidnie zbudowany namiot,

Którego wysokość ukazywała
się oczom wszystkich
pośrodku nieba.

Lecz pal podtrzymujący jego
środek by wyrwany

I był on niczym waza bez
ucha.

Jego sznury rozluźniły się, a
środek

Opadł i utworzył wygłębienie
podobne do pobielanego
kociołka.

Więc za każdym razem, gdy rozmawiałem z tą kobietą o moich pragnieniach, odpowiadała mi owym wierszem, którego sensu nie mogłem pojąć i na który nie mogłem odpowiedzieć, co jeszcze bardziej pobudzało moją miłość. Pytałem więc wszystkich, których znałem wśród mędrców, filozofów i uczonych znających się na poezji, lecz nikt nie mógł mi dać rozwiązania, które zadowoliłoby moje serce i uspokoiło moją namiętność.

Kontynuowałem jednak poszukiwania i radząc się wszystkich w tej kwestii, dowiedziałem się o uczonym imieniem Abu Nuas, który mieszkał w odległym kraju i którego wskazano mi jako jedynego zdolnego do rozwiązania zagadki. Udałem się do niego, opowiedziałem mu, co zaszło między tą kobietą a mną, i wyrecytowałem mu ten wiersz.

Abu Nuas powiedział mi:

— Kobieta ta kocha cię bardziej niż kogokolwiek, jest ona silnej budowy i ma dużo tłuszczu.

Odpowiedziałem mu:

— Tak, to prawda. Zrobiłeś jej portret tak, jak gdyby była przed tobą, z wyjątkiem tego, co dotyczy jej miłości do mnie, której nie dała mi dotąd żadnego dowodu.

— Nie ma ona męża.

— To prawda — mówię mu jeszcze.

Potem uczony dodał:

— Mogę przypuszczać, że twój członek jest małych rozmiarów, a taki członek nie będzie umiał sprawić jej rozkoszy ani uspokoić jej płomieni, bowiem trzeba jej kochanka tak wyposażonego jak osioł. Może tak nie jest? Powiedz mi prawdę na ten temat.

Gdy go uspokoiłem w tym względzie, twierdząc, że mój członek, który właśnie stwardniał po wyrażeniu tej wątpliwości, jest całkiem pięknego kształtu, powiedział mi, że wobec tego wszystkie trudności zostały usunięte i tak wyjaśnił mi sens wiersza:

— „Solidnie zbudowany namiot" oznacza srom dużych rozmiarów i mocno wzniesiony; „góry", między którymi się wznosi, są to uda. „Pal podtrzymujący jego środek był wyrwany" — mówi to, że nie ma męża, przez porównanie pala podtrzymującego namiot z członkiem męskim, który podtrzymuje wargi sromu. „Był on niczym waza bez ucha" — to znaczy, że jeżeli dzban jest pozbawiony ucha, który pozwala go zawiesić, jest bezużyteczny. Dzban przedstawia srom, a ucho penis. „Sznury rozluźniły się, a środek opadł" — czyli podobnie jak opada namiot, który nie ma pala podtrzymującego go w środku, co jest gorsze od sklepienia trzymającego się bez wspierania, tak samo kobieta, która nie ma męża, nie zazna pełnego szczęścia. Co się tyczy słów „utworzył wygłębienie podobne do pobielanego kociołka", osądzisz przez to porównanie, jak bardzo Allach uczynił tę kobietę lubieżną: porównuje ona swój srom do kociołka, który służy do przygotowania tseridu (potrawa arabska — red.). Posłuchaj: gdy wkłada się tserid do kociołka, nie może stać się dobry, jeżeli nie miesza się go za pomocą długiego i solidnego medeleka (długa, drewniana łyżka — red.), przytrzymując kociołek nogami i rękami. Tylko w ten sposób można dobrze przygotować danie. Lecz nie jest tak samo przy posługiwaniu się małą łyżką, ponieważ gospodyni parzy sobie palce z powodu małej długości trzonka i przyrządzenie potrawy źle wychodzi. Jest to symbolem tego, czym jest ta kobieta o Dżoajdi. Jeżeli twój członek nie ma rozmiarów medeleka nadającego się do dobrego przygotowania tseridu, nie dostarczy jej żadnej satysfakcji; jeżeli w dodatku nie przyciągniesz jej do piersi, nie ściśniesz rękoma, pomagając sobie nogami, daremnie starasz się o pozyskanie jej względów; a jeżeli pozostawisz ją, by trawił ją jej własny ogień, tak samo jak spala się dno kociołka, gdy nie dba się o mieszanie medelekiem, nie pomożesz jej osiągnąć celu, którego szuka.

Widzisz teraz, co przeszkadzało jej zgodzić się na twoje żądania: obawiała się, że po rozpaleniu jej płomienia nie będziesz w stanie go ugasić.

Lecz jakie jest imię tej kobiety, Dżoajdi?

— Fadehat el Dżemal (Jutrzenka piękności) — odpowiedziałem.

— Wróć do niej — powiedział uczony — *przekaż jej wiersz, jaki ułożyłem i twoja sprawa będzie miała szczęśliwy koniec, jeżeli spodoba się Allachowi! Potem przyjedziesz jeszcze raz do mnie i zapoznasz mnie z wszystkim, co zajdzie między wami obojgiem.*

Rozstałem się z Abu Nuasem i powróciłem do Fadehat el Dżemal. Była sama zgodnie ze swoim zwyczajem. Zapukałem lekko do drzwi; wyszła natychmiast, piękna jak wschód słońca, i podchodząc do mnie powiedziała:

— O wrogu Allacha, jaka sprawa sprowadza cię do mnie w tej chwili?

Odpowiedziałem jej:

— Sprawa bardzo ważna, moja pani.

— Wyjaśnij ją, zobaczę, czy jest w mojej mocy ją rozwiązać — powiedziała mi.

— Nie zapoznam cię z nią, dopóki drzwi nie zostaną zamknięte — odpowiedziałem jej.

— Twoja zuchwałość jest dziś bardzo wielka — odparła.

— To prawda, moja pani. Zuchwałość jest jedną z moich zalet.

Powiedziała mi wówczas:

— O wrogu samego siebie! O najbardziej godny pogardy z ludzi swojej rasy! Jeżeli zamknę drzwi i nie będziesz miał czym zaspokoić moich pragnień, co uczynię z tobą, lichwiarska kreaturo?

— Podzielisz ze mną twoje łoże i obdarzysz mnie twoimi względami.

Wybuchła śmiechem i powiedziała do niewolnicy, gdy weszliśmy, by zamknęła drzwi domu. Jak zwykle, domagałem się od niej odpowiedzi na moje propozycje; wyrecytowała wtedy wiersz, o którym już wspomniałem. Gdy skończyła, zacząłem jej recytować wiersze, których nauczył mnie Abu Nuas.

Widziałem, że po każdym wierszu, jaki usłyszała, omdlewała przede mną: opadała, rozchylała się, przeciągała, wzdychała. Poznałem po tym, że dochodziłem do celu. Gdy skończyłem, mój członek znalazł się w takiej erekcji, że przypominał wznoszącą się przede mną kolumnę. Skoro Fadehat el Dżemal ujrzała go w tym stanie, nie potrafiła się oprzeć; rzuciła się na niego, chwyciła go w dłonie i zaczęła przyciągać do ud. Powiedziałem jej wówczas:

— O źrenico moich oczu! Tego nie można robić tutaj, wejdźmy do twego pokoju.

Odpowiedziała mi:

— Zostaw mnie w spokoju, synu nierządnicy! Na Allacha! Tracę rozsądek, gdy widzę twój członek wydłużający się w ten sposób i unoszący twoje ubranie. Co za piękny członek! Nigdy nie widziałam piękniejszego! Wsadź go do tej rozkosznej, pulchniutkiej pochwy, która czyni szalonym z miłości każdego, kto słyszał jej opis, dla której tylu mężczyzn umarło z miłości i której nawet twoi władcy nie mogli wziąć w posiadanie!

Powiedziałem jej wówczas:

— Nie zgodzę się robić tego gdzie indziej niż w twoim pokoju.

Odpowiedziała:

— Jeżeli nie wejdziesz natychmiast do tej pulchnej pochwy, umrę!

Kiedy nalegałem jeszcze, żeby udała się do pokoju, wykrzyknęła:

— Nie, to zupełnie niemożliwe, nie będę mogła wytrzymać do tego momentu!

Widziałem, że istotnie jej wargi drżą, jej oczy wilgną. Ogarnęły ją drgawki, jej twarz zmieniła kolor. Położyła się na plecach odsłaniając uda, których lśniąca biel upodabniała jej ciało do kryształu zabarwionego na różowo.

Patrzyłem na jej srom tworzący białą kopułę, której środek był purpurowy; był miły i uroczy. Widziałem, jak się otwiera, jak srom rozgrzanej kobyły przy zbliżaniu się ogiera.

W tym momencie chwyciła mój członek i zaczęła go całować mówiąc:

— Na religię mego ojca, on musi wniknąć do mej pochwy!

Potem zbliżając się do mnie, przyciągnęła go do swego sromu.

Nie wahałem się już dłużej z udzieleniem jej pomocy moim członkiem, który umieściłem przy wejściu do jej sromu. A ten otwierał się dalej i zamykał, a gdy głowa mego członka dotknęła jej warg, rozkosz przeniknęła natychmiast całe jestestwo Fadehat el Dżemal. Słyszałem jej westchnienia, jęki, płacz i trzymała mnie przyciśniętego do piersi.

Skorzystałem z tej chwili, by podziwiać od nowa piękno jej sromu. Był wspaniały, a jego purpurowy środek wychodził z bieli. Był zaokrąglony i nie miał najmniejszej niedoskonałości; wznosił się nad brzuchem przyjąć tylko jedną trzecią mego członka, zachowałem umiar. Lecz ona z zawziętością poruszała pośladkami i mówiła do mnie:

— To nie wystarczy na mój zapał!

Jednym pchnięciem wprowadziłem więc cały członek: wydała wielki okrzyk, po czym zaczęła się natychmiast poruszać ze strasznym przyspieszeniem. Mówiła:

— Nie zapomnij o kątach, ani o górze, ani o dole! Lecz przede wszystkim nie zaniedbuj środka! W środek — powtórzyła trzykrotnie. *— Kiedy poczujesz nadchodzącą rozkosz, będziesz w mojej macicy gasił moją namiętność!*

Potem zaczęliśmy się poruszać, ona i ja, ruchem zmiennym tam i z powrotem o łagodnym rytmie. Nasze nogi splątały się, nasze mięśnie odprężały się i to trwało wśród pocałunków i uścisków aż do chwili, gdy orgazm przyszedł jednocześnie u nas obojga. Przerwaliśmy więc ruch i odzyskali oddech po tych wzajemnych zapasach.

Chciałem wycofać mój członek, lecz ona sprzeciwiła się temu i prosiła mnie, bym go jej nie pozbawiał; ustąpiłem jej pragnieniu; potem, chwilę później, wyciągnęła go sama, otarła i włożyła z powrotem do pochwy. Podjęliśmy natychmiast ruch, całując się, ściskając i potrząsając rytmicznie pośladkami. Po pewnym czasie podnieśliśmy się i weszliśmy do pokoju, zanim tym razem odczuliśmy rozkosz. Dała mi kawałek korzenia, polecając mi, bym go trzymał w ustach, i zapewniając mnie, że tak długo, jak go tam zachowam, członek mój pozostanie obudzony. Potem kazała mi się położyć, co uczyniłem. Weszła na mnie i biorąc mój członek do ręki, włożyła go całkowicie do pochwy. Zachwycałem się jej sromem, wigorem, do jakiego był zdolny, i palącym żarem, jaki wydzielał. Szczególnie jej macica budziła mój podziw. Nigdy nie widziałem podobnej: wciągała mój członek z nadzwyczajnym zapałem i gryzła jego głowę z największą siłą.

Z wyjątkiem Fadehat el Dżemal żadna kobieta nie mogła dotąd przyjąć i utrzymać mego całego członka. Mogę wierzyć, że jej się to udawało dlatego, że była bardzo gruba i tłusta, a jej pochwa szeroka i głęboka lub z innych podobnych powodów.

Usadziwszy się więc na mnie, Fadehat el Dżemal jęła unosić się i opadać, wydawać okrzyki, płakać, zwalniać, potem przyspieszać i zaprzestawać wszelkiego ruchu; patrzyła, czy część mego członka nie wychodzi z pochwy, potem wyciągała go stamtąd, by mu się przyjrzeć w całości, i znów go zanurzała do całkowitego zniknięcia. Postępowała w ten sposób aż do nadejścia rozkoszy. W końcu zeszła ze mnie i położywszy się zachęciła mnie, bym z kolei ja wlazł na nią. Gdy to uczyniłem, wprowadziłem cały mój członek do pochwy.

Kontynuowaliśmy w ten sposób nasze pieszczoty, zmieniając raz po raz pozycję aż do zapadnięcia nocy. Skorzystałem z tego, i, wyraziłem chęć odejścia, lecz ona sprzeciwiła się temu i wymogła na mnie pod przysięgą, bym pozostał. Powiedziałem do siebie: „Kobieta ta nie chce mi pozwolić odejść za żadną cenę, lecz gdy wzejdzie dzień, Allach mnie poratuje".

Pozostałem więc i przez całą noc nie przestawaliśmy się pieścić, przeznaczając tylko niewiele chwil na wypoczynek.

Policzyłem, że podczas tego dnia i tej nocy spełniłem dwadzieścia siedem razy akt spółkowania i każdy z tych aktów trwał nieskończenie długo. Wydawało się, że nie będę mógł już nigdy wyjść od tej kobiety!

Kiedy jednak udało mi się wymknąć, zwróciłem się ponownie do Abu Nuasa i zdałem mu sprawę z wszystkiego, co mi się przydarzyło. Był tym zadziwiony i osłupiały, a jego pierwsze słowa były:

— O Dżoajdi, nie możesz mieć ani władzy, ani wpływu na podobną kobietę i ona zmusi cię do odpokutowania wszystkich przyjemności, jakich zakosztowałeś z innymi!

Tymczasem Fadehat el Dżemal, by uciszyć przykre plotki, jakie krążyły na jej temat, zaproponowała mi, żebym został jej legalnym mężem. Mnie zaś, przeciwnie, wystarczyło cudzołóstwo. Poradziłem się w tej kwestii Abu Nuasa, który mi powiedział:

— Jeżeli poślubisz el Dżemal, zrujnujesz swoje zdrowie i Allach ci cofnie swoją opiekę, a najgorsze, że zrobi cię rogaczem, ponieważ jest nienasycona w spółkowaniu i oddawałaby mu się dzień i noc. Wystrzegaj się dobrze, Dżoajdi, poślubienia kobiety żądnej spółkowania: byłoby to narażenie się na okrycie hańbą.

Odpowiedziałem mu:

— Taka jest natura kobiet; są nienasycone w tym, co dotyczy ich sromów, i jeżeli tylko mogą zaspokoić swoje żądze, mało ich obchodzi, czy będzie to z błaznem, sługą, czy z człowiekiem godnym pogardy i odrzuconym przez społeczeństwo.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Solidny obiad

Czołówka filmu „Glina do wynajęcia" wygląda jak karta dań w solidnej restauarcji. Mamy więc w obsadzie **Lizę Minelli** i **Burta Reynoldsa**, a w epizodycznej roli nawet wspaniałą wykonawczynię piosenek **Bucharacha, Dionne Warwick**, muzykę skomponował jeden z najlepszych fachowców w tej branży, **Jerry Goldsmith**, zaś autorem zdjęć jest **Giuseppe Rotunno**, współpracujący w swoim czasie z najwybitniejszymi reżyserami włoskimi. Najmniejsze wrażenie robi w tym towarzystwie reżyser, ale i on ma na swoim koncie kilka porządnych produkcji, a poza tym nosi łatwo wpadające w ucho nazwisko — **London**. Wszystko to razem nasuwa wprawdzie nie do końca wesołe myśli o artystach, których — jak się zdaje — konieczność życiowa skłoniła do pracy w gastronomii, ale lepsze to niż coraz powszechniejsze pretensje pracowników gastronomii do sztuki. Jednym słowem nie ma się co długo zastanawiać, tylko jak najszybciej konsumować, zwłaszcza, że ambitniejszym fanom wideo głód daje się coraz bardziej we znaki.

Już przystawka utwierdza nas w przekonaniu, że menu nie było obietnicą bez pokrycia i rzeczywiście mamy do czynienia z solidną firmą. Oto bowiem w drogim hotelu, w którym pewna prostytutka — Liza Minelli — szuka swojego klienta, za sprawą handlarzy narkotyków i policji rozpętuje się nagle prawdziwa apokalipsa. Jej cechą charakterystyczną jest prucie z broni automatycznej do wszystkiego co się rusza, w czym szczególnie celuje zamaskowany bandyta w hełmie motocyklowym. Ta bezwzględna taktyka pozwala mu cresztą osiągnąć chwilowy sukces i po trupach własnych kumpli wymknąć się — i to z całą forsą — nieźle uzbrojonej kompanii policji, którą dowodzi sam Burt Reynolds. Dobra przystawka jednak nie tylko powinna dostarczać doraźnych satysfakcji smakowych, ale przede wszystkim zaostrzać apetyt — i nasi gospodarze cały czas o tym pamiętają: okazuje się mianowicie, że jedyna osoba, która przypadkowo widziała twarz strzelającego bez opamiętania zbója, jest nasza bohaterka. Co to oznacza, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć...

Zupa, jak to zupa, po prostu wypełnia żołądek i skraca czas oczekiwania na pieczyste. Ale przy tym wszystkim nie musi być, oczywiście, byle jaka, chociaż od dawna usiłuje się nas do tego przyzwyczaić (Łódź zresztą ma swój chlubny udział w proteście przeciwko tej ponurej działalności: tu bowiem, w bufecie na stacji Kaliska, pewien pan krzyknął przed laty: „do dupy taka zupa", co opisano w wielu poważnych gazetach). I firma „Minelli — Reynolds" próbuje to udowodnić: gangster, po krótkich poszukiwaniach, dopada prostytutkę i usiłuje ją zabić, naturalnie bez powodzenia, policjant natomiast popada w konflikt ze swoim zwierzchnikiem i rzuca odznakę, stając się w ten sposób tytułowym „glina do wynajęcia", co z kolei umożliwia, już teraz ex-prostytutce zwrócenie się do niego z prośbą o ochronę indywidualną. Policjant jednak nie bardzo ma na to ochotę i zaczyna się urocza gra, którą moglibyśmy konsumować bez końca, niestety, w talerzu pokazuje się właśnie dno. Całe szczęście, że „drugie" już płynie na rękach zgrabnego kelnera.

Od razu po zapachu można się zorientować, że nie jest to to „drugie", na które zwykle jesteśmy skazani, a więc porcja kalorii, którą w ramach instynktu samozachowawczego trzeba w siebie jakoś wepchnąć, zatykając nos i odwracając spojrzenie. Nic z tych rzeczy! Tym razem możemy się bez pośpiechu delektować każdym kęsem, w firmie, pod której opieką jesteśmy obowiązuje bowiem zasada priorytetu wartości smakowych nad odżywczymi, na co większość konsumentów chętnie daje się nabierać. Zasadnicza linia wydarzeń rozwija się więc powoli, nawet leniwie i jest oparta na wygrywanym bez końca kontraście między ekspansywną Lizą Minelli i defensywnym Burtem Reynoldsem. Defensywnym do tego stopnia, że nie bardzo wiemy dlaczego wszyscy dookoła nazywają go „najlepszym gliną na świecie", robi to wrażenie czegoś w rodzaju mięsa w farszu i dobrze świadczy o ambicjach kucharza unikającego schematycznych rozwiązań. Mimo tego jednak pasztet stanąłby nam w końcu w gardle, gdyby nie sałatki i napoje. No i podają nam te sałatki: portret gangstera, który okazuje się hermafrodytą, tancerzom i psychopatą w jednej osobie (sałatka pikantna) oraz dwóch policjantów — jeden początkujący, drugi tuż przed emeryturą — którzy na własną rękę chronią byłego kolegę (sałatka łagodna). W krytycznych natomiast momentach znajdujemy obok, nie wiadomo kiedy napełniony, kieliszek wódki, czyli powtórny zamach bandyty na naszą bohaterkę, albo kufel piwa, w postaci morderstw paru sympatycznych, ale pobocznych, postaci...

W końcu przychodzi pora na deser, w naszych restauracjach sprowadzany zwykle do pół litra z cytronetą albo smętnego kompotu. Tu zaś na stół wjeżdża kunsztowna budowla przypominająca dzieła Gaudiego. Inaczej mówiąc, następuje czas ostatecznej rozprawy naszych bohaterów z demonicznym przestępcą. Zagłębiamy łyżeczkę to tu, to tam i kiedy już wydaje się, że skosztowaliśmy wszystkiego, na dnie znajdujemy soczysty, południowy owoc — Burt pakuje pod hełm gangstera granat i czarny charakter eksploduje niczym świąteczny fajerwerk. A przy wyjściu elegancki wykidajło wręcza nam na pamiątkę duże lizaki; Burt i Liza mają się bowiem wyraźnie ku sobie i zostawiamy ich na najlepszej drodze ku solidnemu uczuciu...

Dawno nie jedliśmy takiego obiadu! A jednak na ulicy ogarnia nas nagle szalona tęsknota, żeby następnym razem pójść gdzie indziej, gdzie na każdym kroku czekałaby na nas niespodzianka, nic nie przebiegałoby „jak trzeba", ale za to pozostawiało niezapomniane przeżycia. A gdyby to się nie udało, to żeby przynajmniej zrobić obiad w domu — przytulny, przy świecach... Tylko że miejsc, w których podają niezapomniane przeżycia jest coraz mniej i szukając ich można umrzeć z głodu. A jeśli chodzi o obiad w domu... nie ma nawet zapałek, żeby zapalić świece... Pewnie więc w końcu znów przyjdziemy do jakiejś miłej, solidnej restauracyjki, byleby tylko jutro chociaż jedna była jeszcze otwarta...

RYSZARD NAKONIECZNY

„GLINA DO WYNAJĘCIA", scen. **Dennis Schryack** i **Michael Blodgett**, zdj. **Giuseppe Rotunno**, muz. **Jerry Goldsmith**, reż. **Jerry London**, aktorzy: **Liza Minelli, Burt Reynolds, Dionne Warwick, James Remar, Richard Masur, Bernie Casey, John Stanton.**

„Odgłosy" proponują:

Film:

Zwracamy uwagę na radziecki film **„Pociąg pospieszny"** w reżyserii **Borisa Jaszyna**. Bohaterką filmu jest młoda kobieta, kelnerka pracująca w dalekobieżnym pociągu pospiesznym. Samotnie wychowując syna boryka się z codziennymi kłopotami. Pociąg uosabia jej życie, jego bezsensowne przemijanie. Stanowi symbol zła konsumpcyjnej postawy życiowej. Beznadziejna szarzyzna życia bohaterki została na ekranie podkreślona przez zastosowanie w obrazie czerni, brązów i szarości.

W rolach głównych występują: **Helena Majorowa, Żenia Piwowarow, Lidia Sawczenko** i inni.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

● **„Policjanci z Miami"** to jeden z najpopularniejszych seriali telewizyjnych USA i Europy Zachodniej. Jego premiera odbyła się w Stanach w 1984 r., i, podobno, kiedy niedawno zrealizowano ostatni odcinek wszyscy odetchnęli. Nawet aktorzy, którzy po tym serialu stali się bardziej rozchwytywani na rynku amerykańskim, jak chociażby **Don Johnson**. Ciekawszą indywidualnością jest jednak **Philip Michael Thomas** (grający „krawężnika Bronxu", jak go nazwał filmowy Sonny). Najpierw studiował teologię, po roku wrócił do Kalifornii i tam podjął studia filozoficzne i religioznawcze. W 1968 roku po raz pierwszy wystąpił w sztuce **„Hair"**, (także w jej wersji teatralnej w San Francisco), następnie przez pół roku występował na Broadwayu. Dziś jest jednym z najbardziej kasowych aktorów. Nasza telewizja zakupiła zaledwie sześć odcinków serialu **„Policjantów z Miami"**. Miejmy nadzieję, że po tej próbce zobaczymy następne odcinki.

● Pełnometrażowy film telewizyjny pt. **„Ptasie radio"** to debiut reżyserski **Piotra Mikuckiego**. Scenariusz filmu napisał wraz z **Barbarą Fatygą**. Film opowiada o młodym małżeństwie zagrożonym skutkami stanu wojennego, do którego niespodziewanie przyjeżdża z wizytą przyjaciółka z USA.

● W ciągu ostatnich trzech lat **Jane Fonda** zajmowała się głównie sprawami rozwodu i ćwiczeniami gimnastycznymi. Ale nie zapomniała także o filmowej karierze, występując z **Gregorym Peckiem** i **Jimmi Smitsem** w filmie **„The Old Gringo"** oraz z **Robertem De Niro** w **„Stanley and Iris"**. „Praca z tymi trzema aktorami — powiedziała Fonda — przeżywającymi trzy jakże różne etapy swej kariery, była dla mnie niezwykle interesującym doświadczeniem".

● **Andrzeja Wajdę** wybrano na członka **European Cinema Society**.

● **Juliusz Machulski** zamierza zrealizować film na podstawie książki **Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Kurier z Warszawy"**.

● 19 seriali i 23 filmy telewizyjne zamierza do końca roku wyprodukować nasza TV. 105 godzin projekcji filmowej to produkcja własna telewizji, a 65 godzin — filmy realizowane w zespołach. Z nowych seriali warto odnotować sześcioodcinkową adaptację powieści **Eugeniusza Paukszty „Wszystkie barwy codzienności"**, w reż. **Marka Wałaszka**. Natomiast we współpracy TVP, Zespołu „Tor" oraz zachodnioniemieckiej firmy Ziegler Film Produktion powstaje nowy film **Krzysztofa Zanussiego**, którego bohaterem jest młody absolwent wyższej uczelni, angażujący się uczuciowo w pomoc dla starszej o lat dziesięć niezrównoważonej kobiety, co powoduje konflikt z matką. W filmie występują **Krystyna Janda, Maja Komorowska** i **Artur Żmijewski**.

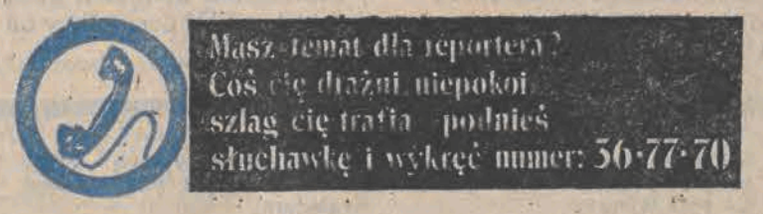

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

28 września — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

5 października — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z DN. 21.09.1989 R.

Przede wszystkim — wielu interesujących rozmówców, wiele ciekawych spraw. Kilku życzyło sobie zatrzymać ich dane do naszej wiadomości, co czynię, choć sądzę, że w żadnym przypadku nie było to uzasadnione. Mniej próśb, by dziennikarz załatwił sprawę ciekniącej rynny, więcej — relacji bądź informacji, po których mniej twardo stąpających po ziemi ogarnia przerażenie. Tak więc „tylko dziś i tylko tu" dramatyczny przekrój problemów, zjawisk, wśród których przyszło nam żyć u progu XXI wieku...

Państwo **Małgorzata i Paweł T.**, mieszkańcy jednego z wieżowców łódzkiego Manhattanu zapytują, kto w czasach, gdy walczymy z tandetą, cwaniactwem i bylejakością zezwolił na uruchomienie placówki pod szumną nazwą „Intershop" na placyku vis a vis „Centralu"? Ponury barak z ciuchami kupowanymi gdzieś w Turcji na wyprzedaży czyli na tony tu awansował do miana konkurencji „Peweksu" niemalże. Teoretycznie bowiem za „twardą" walutę nikt dziś takiej miernoty nie kupi. Niemniej jednak ktoś musiał rzeczoną zgodę wydać. Czekamy na odpowiedź właściwego Wydziału Handlu...

Pan **Grzegorz Juszczak** zamieszkały przy al. Kościuszki 22 czeka wraz z innymi lokatorami, kiedy na podwórzu ich domu dojdzie do poważnego wypadku. A że dojdzie to pewne, bowiem kilka miesięcy temu zapadła się tu nawierzchnia; niewiele pomaga łatanie metrowej wyrwy deskami i płytami. ROM przy ulicy Piotrkowskiej 47 nie posiada ponoć cementu. Oby w tę dziurę wpadł jak najszybciej swym samochodem ktoś z „ważnych" tej dzielnicy choćby...

Pani **Wanda Świątek** (ulica Lipowa 12) podobnie jak inni lokatorzy tego domu — nie otrzymuje od trzech miesięcy żadnej korespondencji. Gwoli ścisłości — jest doręczycielka i czasem nawet emerytury przyniesie, ale poza nimi nic na ulicę Lipową nie dociera. — Mniejsza nawet o prywatną korespondencję — żali się pani Wanda — ale nie docierają rachunki telefoniczne, ani wyciągi z książeczki czekowej, zawiadomienia ZUS i tym podobne urzędowe papierki. — Biegam do banku, biegam do „telefonów", bo boję się by mi go nie wyłączyli. — jak długo ma jeszcze trwać taka anormalna sytuacja...

Wiele godzin dyskutowałem z kilkunastoma Czytelnikami o benzynowej, także anormalnej sytuacji; cena jednego litra etyliny skacze w tempie zawrotnym przy wtórze bezsensownych tłumaczeń z cyklu „dostosowanie popytu do możliwości podaży". Nikt nie wspomina o fatalnej dystrybucji, w wyniku której w Łodzi na przykład kolejki są umiarkowane, a w województwach krakowskim, katowickim, nowosądeckim choćby — paliwa na stacjach nie ma po kilkadziesiąt godzin. Czytelnik, który przedstawił się jako **Włodzimierz Czyż** wystąpił z rewolucyjną — mimo wszystko — koncepcją: — Po co uciąć „kotu ogon po kawałku"? Niech ustalą cenę na 2000 złotych za litr i zagwarantują utrzymanie jej bez zmian przez kilka lat... (ta „rewolucyjność" polega zresztą wyłącznie na proponowanej przez Czytelnika cenie...). A swoją drogą chętnie bym się dowiedział od dyrekcji Monopolisty, czyli Centrali Produktów Naftowych, gdzie się podziewają te coraz większe zastrzyki gotówki ściąganej z rynku. Kupujemy za to więcej produktów za granicą czy wszystko znika w worku z napisem „budżet"?...

Pani **Jolanta Goska** opowiedziała mi w sposób tyle malowniczy co dramatyczny o sytuacji jej i jeszcze 11 innych rodzin mieszkających w Brzezinach przy ulicy 15 Grudnia 40. Lokatorzy tego domu za szczęśliwy traf uważają sąsiedztwo... dworca PKS. Odwiedzają go w celach nazwijmy to życiowych czy przyziemnych: w ich domu nie ma ubikacji... Szefowie miasta i osoby odpowiedzialne za gospodarkę komunalną zawsze — jak twierdzi Czytelniczka — stroiły sobie tylko z tej sytuacji żarty, zawsze też aż roiło się od wymówek: brak możliwości wykonania, brak cementu, brak sedesów. Stolarka okienna do wymiany, stropy się uginają, ostatni „patent" to budowa piętrowych komórek, z wąskimi, nie nadającymi się do użytku schodami. — Dyrektorzy w gospodarce komunalnej się zmieniają, u nas w domu — nic.... — zakończyła pani Goska.

A teraz dwa kamyczki (może głazy) do stałego w tej rubryce „ogródka" — czyli MPK. Oto pani **Grażyna K.** opowiedziała mi jak to w dniu dzisiejszym, o godz. 7 rano bawił się z pasażerami motorniczy tramwaju linii 2 (numeru nie chciał podać, numer boczny tramwaju 2517, doczepy — 2518). Z krańcówki przy Chocholi ruszył zamykając drzwi, zanim zdążył dobiec doń tłum pasażerów. Na szczęście zajechał mu drogę też czerwony autobus MPK, komunikacji zastępczej, którego kierowca tym samym zmusił niesympatycznego kolegę do zabrania ludzi. „Za karę" motorniczy prowadził swój wehikuł w temple leniwego piechura... Pani **Marianna Przybysz** pyta zaniepokojona, czy już na stałe pośpieszny autobus linii „D" kursował będzie co 40—50 minut, tak jak się to zdarza rano od kilku dni?...

Pan **Feliks S.** przekazał mi jakże charakterystyczną dla naszego systemu i administracyjnej mentalności ciekawostkę: w ROM nr 5 Łódź-Śródmieście (ale zapewne w całej dzielnicy także) lokatorzy, którzy pobierają farbę do odmalowania okien wypełnić muszą dwie płachty papieru — tak zwane „zobowiązanie" i „protokół" (wzór 18 z 1957 roku, nakład około 15 tys. egzemplarzy). Niezbędne jest także poświadczenie od komitetu domowego z pieczątką, potem dopiero dostajemy farbę, piszemy pokwitowanie — i już po wszystkim... Ukłony od pana Ionesco, Kafki i paru innych.

Swoistą makabreskę przekazała mi już pod koniec dyżuru przy telefonie pani **Wanda Krajewska**. Wysłała syna do słynnej piekarni-giganta przy ulicy Olimpijskiej po barszcz. Zakupy się udały: w barszczu pływały długie, białe glisty. Czytelniczka przyrzekła mi, że natychmiast zaalarmuje stację „Sanepidu"...

I to już prawie wszystko. Wiem, że jeszcze w Zgierzu przy ul. Obrońców Stalingradu 53 zniszczone są płyty chodnikowe, wiem, że w punktach skupu nie chcą przyjmować butelek po bułgarskich winach, a nie we wszystkich tych wąskich, o pojemności 0,33 l po piwie. Ale jeszcze bardziej zbulwersowało mnie — to jako postscriptum — ogłoszenie w „Dzienniku Łódzkim", gdzie jakaś enigmatyczna firma MARKET z Wałcza radośnie zachęca: „Chcesz zarabiać 100 000 zł dziennie, przy minimum gotówki i pracy?". Jasne, więcej takich mądrych ofert, a z pewnością wyjdziemy z gospodarczego zawału! Przy „minimum pracy". Do usłyszenia.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

PC HELP

SPRZĘT KOMPUTEROWY typu IBM

◄ serwis gwarancyjny i pogwarancyjny,

◄ regeneracja taśm barwiących do drukarek,

◄ doradztwo i szkolenie,

◄ kupno — sprzedaż — komis.

91-420 Łódź, ul. Północna 27/29, tel. 33-05-65, telex 886854.

3124-k

UWAGA! UWAGA! UWAGA!

Przedsiębiorstwo Działań Przemysłowo-Handlowych „Azet"

w Łodzi, ul. Wólczańska 228

O F E R U J E

po najatrakcyjniejszych cenach z najatrakcyjniejszym programem na superatrakcyjnych trasach

ZAGRANICZNE WYCIECZKI DO:

◄ WILNA ◄ KŁAJPEDY ◄ MOSKWY

◄ EREWANIA ◄ TALLINA

P O N A D T O Z A T R U D N I M Y

na najatrakcyjniejszych warunkach płacowych zapewniając wszystkie przywileje wynikające z kodeksu pracy:

◄ KROJCZYCH ◄ KRAWCOWE lub KRAWCÓW

◄ DZIEWIARZY POŃCZOSZNIKÓW

◄ HANDLOWCÓW z praktyką

Wszystkich chętnych zapraszamy do siedziby przedsiębiorstwa osobiście, gdyż kontakt telefoniczny ograniczy możliwość podjęcia Państwa decyzji.

3189 K

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

EDUKACJA DZIECI Z GRECJI W POLSCE

W ostatnich dniach października br. organizowane są w Łodzi (po Wrocławiu, Szczecinie i Kielcach) ogólnopolskie Dni Kultury Greckiej z udziałem ambasadora Grecji i władz miasta Łodzi. W programie m.in. wystawa malarzy greckich, zamieszkałych w Polsce, fotogramy „Lambrianidisa o swym przyrodnim bracie „Agencie nr 1", występ solistów z Opery Ateńskiej, Zlot Wychowawców i dzieci emigrantów z Grecji, z lat 1947-1956 oraz greckich absolwentów polskich uczelni. W tej ostatniej imprezie organizowanej po raz pierwszy w Polsce weźmie udział wiele osób z kraju i zagranicy. Patronuje jej Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej z siedzibą Zarządu Głównego (ZG) w Zielonej Górze, jego Oddział Wojewódzki w Łodzi, Towarzystwo Greków w Polsce z siedzibą ZG we Wrocławiu i Uniwersytet Łódzki. Dla wielu uczestników Zlotu będzie wyśmienita okazja, by spotkać się ze swymi nauczycielami, m.in. z nie zapomnianym Wacławem Kopczyńskim z Warszawy, który całe życie poświęcił sprawom greckim w Polsce, z Henrykiem Leńczukiem ze Szczecina i innymi.

Tak ważna impreza, jaką będzie Zlot, skłoniła mnie do przedstawienia w poniższym szkicu pewnych refleksji nt. losu dzieci emigrantów z Grecji, które przybyły do Polski w latach 1947-1956.

Po klęsce powstania greckiego w 1949 r. udało się na emigrację do Polski w l. 1948-50 ok. 13 tys. osób (żołnierzy, ludności cywilnej wraz z dziećmi). Naród polski w imię solidarności socjalistycznej podjął się trudu opieki i wychowania zagubionych i osieroconych w czasie walki dzieci. Ze względów politycznych, pobyt w naszym kraju dzieci z Grecji był prowizoryczny, a nawet tajny. Przyjeżdżające do Polski dzieci greckie z obozów przejściowych w Rumunii, Jugosławii i Albanii były kwaterowane w miejscowościach położonych na obrzeżach woj. wrocławskiego (Lądek Zdrój, Solice obecnie Szczawno Zdrój, Międzygórze, Bardo, Duszniki Zdrój, Zgorzelec). Łatwiej można było w nich izolować dzieci od społeczeństwa polskiego i utrzymywać w tajemnicy ich pobyt.

Pod koniec 1956 r. przebywało w Polsce ponad 3600 dzieci z Grecji w wieku szkolnym, w tym 1872 chłopców i 1728 dziewcząt. W liczbie tej 113 dzieci było sierotami, 620 półsierotami, 2380 miało obojga rodziców w Polsce. Ok. 500 dzieci pozostawiło swych rodziców w Grecji.

Wyniki badań lekarskich i obserwacji psychologicznych okresu kwarantanny stanowiły przesłanki do organizowania opieki zdrowotnej i wychowawczej. Krótki okres tułaczki i sieroctwa „wojennego nie spowodował istotnych i nieodwracalnych zmian w zdrowiu i psychice dzieci. Tylko częściowo dzieci były chore, zaświerzbione, niedożywione i nieodpowiednio do naszego klimatu ubrane. Również skłonne do przeziębień i chorób dróg oddechowych, niektóre dotknięte gruźlicą. Postanowiono chore dzieci i zagrożone chorobą leczyć i wyleczyć, dzieciom zastraszonym, zalęknionym przywrócić spokojne dzieciństwo. Zaprzestano rozpoznawania dzieci według nadanych w obozach przejściowych numerów a wrócono do ich rodzinnych nazwisk i imion. Ich prawdziwe nazwiska znały jedynie opiekunki tych dzieci „majki" (Macedonki) i „many" (Greczynki). Po przebytej kwarantannie dzieci uchodźców greckich umieszczono w Państwowych Ośrodkach Wychowawczych POW w Lądku Zdroju (1013 dzieci), w Solicach (800), Bardzie Śl. (300 dz.), w Piakowicach (500 dz.) i w Międzyrzeczu (300 dz.).

Pod koniec 1949 r. ośrodki te zlikwidowano, dzieci skoncentrowano w POW w Zgorzelcu. W 1951 r. przeniesiono stąd dzieci głównie do Polic i Szczecina oraz do innych ośrodków i domów dziecka w Polsce.

Od 1956 r. w polityce opiekuńczej wobec dzieci emigrantów z Grecji nastąpiła zasadnicza zmiana. O ile w okresie „koszarowego" wychowania w Zgorzelcu greckie kierownictwo emigracyjne często zmuszało rodziców do oddawania dzieci do domów dziecka, o tyle później trudno było przekonać ich o słuszności stosowania jednakowych zasad dla ludności greckiej i polskiej. Uznano więc, że greckie i macedońskie dzieci, będące (na koszcie państwa) pod opieką domów dziecka, o ile mają rodziców w Polsce, powinny wychowywać się we własnych rodzinach.

W l. 1959-1960 usamodzielnionych było już 2000 wychowanków. Polskie szkoły średnie lub zasadnicze zawodowe ukończyło jeszcze 880 dzieci z Grecji i Macedonii. Od r. 1957 dostało się na wyższe uczelnie, po zdaniu egzaminu ulgowego 230 usamodzielnionych wychowanków. Wystarczyła wówczas ocena dostateczna by być przyjętym na studia akademickie.

Większość młodzieży greckiej studiowała wówczas we wrocławskich i łódzkich uczelniach. W przeważającej mierze osoby te pochodziły z ubogich rolniczych terenów Grecji, które nie miały prawie żadnej tradycji w oświacie i nauce. Klasycznym przykładem dobrego wykorzystania przez młodzież grecką i macedońską czasu i pobytu w Polsce może być Zerma, która była jedną z najbardziej zacofanych wiosek powiatu Konitsa (woj. Epir). Przed wojną miała ona tylko jednego nauczyciela. Dwieście dzieci z tej wioski znalazło schronienie w krajach socjalistycznych, w tym ok. 100 w Polsce: 17 z nich ukończyło studia i pracowało w Polsce w różnych państwowych instytucjach (jako inżynierowie, lekarze, psycholodzy, ekonomiści, nauczyciele itp.).

Czy młodzież grecka i macedońska z lat wojennych wykorzystała szanse, jakie stworzył jej polski system oświatowo-wychowawczy?

Z pokolenia wojennego do 1964 r. wszystkie dzieci pokończyły szkoły podstawowe. Szkoły średnie ogólnokształcące lub zawodowe ukończyło i zdobyło zawód ponad 2200 wychowanków. Ponad 500 usamodzielnionych wychowanków domów dziecka ukończyło studia wyższe.

Młodzi Grecy i Macedończycy nie zapomnieli jęz. ojczystego, a opanowali jęz. polski i władają nim w mowie i piśmie. Nie spolonizowali się chociaż wrastali w kulturę polską. Są dziś dobrymi ambasadorami kultury greckiej w Polsce, a wszystko co osiągnęli zawdzięczają tylko Polsce. Któż nie słyszał dziś w Polsce o Paulosie Paulisie (tenor, śpiewak operowy), o Nikosie Chadzinikolau (poeta prezes Związku Literatów Polskich w Poznaniu), o Telemachu Pilitsidesie (malarz z Głogowa), o Stathisie Jeropoulosie (malarz z Łodzi), o Dimosie Milopoulosie (animator pracujący w Studiu Małych Form „Semafor", brat Eleni), i Iliasie Wrazasie (piosenkarz, filozof) z Wrocławia czy o Eleni Dzoka z Poznania, popularnie znanej „Eleni" i zespole muzycznym „Orfeusz".

MIECZYSŁAW WOJECKI

ULICA ZACHODNIA I JEJ OKOLICE

Dom, w którym się urodziłem należał do Aleksandra i Pauliny Urbańskich. Właściciel domu był starym, emerytowanym, ponad 60 lat liczącym nauczycielem carskim, który (jak wspomniał) uczył niegdyś w szkole powszechnej przy ul. Drewnowskiej. Przeszłość nauczyciela pozwoliła mu w pierwszych latach okupacji powrócić do zawodu — tym razem konspiracyjnie — ucząc po mieszkaniach polskie dzieci. Rodzina Urbańskich była dość liczna. Jeden z synów Aleksandra — Konstanty — ożenił się we Francji i mieszkał w Grenoble. Starsza córka wyszła za kpt. Pawła Woskowicza, który był pracownikiem Dowództwa Okręgu Korpusu (DOK) nr IV w Łodzi. Rodzina Woskowiczów posiadała dom z przylegającym ogrodem odkupionym od Poznańskich przy ul. 11 Listopada 15. Druga córka uczyła w gimnazjum żeńskim Czapczyńskiej przy ul. Gabriela Narutowicza (zmarła na płuca przed wojną).

W domu przy ul. Zachodniej rodzina córki p. Urbańskiego — Woskowiczów, zajmowała 3 pokoje budynku frontowego na II piętrze. Sąsiadowało ono niemal z mieszkaniem na III piętrze tegoż budynku.

W tej samej posesji tj. w budynku frontowym i oficynie na 19 lokatorów mieszkało jeszcze kilka rodzin polskich. Najlepiej usytuowany był kierownik kina „Capitol" (obecnie „Włókniarz") róg ul. Zawadzkiej — obecnie Adama Próchnika). Miał on syna Stanisława, którego życiorys zapisał się czarnymi głoskami w historii wielu Polaków, gdyż w latach 1944—45 po przedostaniu się na teren „Generalnej Guberni" stał się konfidentem niemieckim namawiając młodych chłopów polskich do „ochotniczego wstępowania w szeregi armii niemieckiej", za co otrzymał wyrok organizacji podziemnej. Uciekł przed tym wyrokiem i pojawił się w Łodzi dopiero w połowie 1945 r. Przez pewien czas był działaczem ZWM. Zmarł na gruźlicę w 1946 r.

Rodzina Piweckich prowadziła przedsiębiorstwo pralnicze na miejscu obecnego sklepu dodatków szewskich. Ich chłopiec Szczepan był w moim wieku. Brał udział (jako cywil) w pracach Pogotowia Harcerzy, pomagając m.in. przy kopaniu rowów przeciwlotniczych na pl. Wolności i terenie ogrodu w parafii św. Józefa przy ul. Ogrodowej 22 (tam na starym cmentarzu znaleźliśmy czaszkę kobiecą z pięknymi jednometrowymi blond włosami). Zbierał też odzież do szpitala polowego przy ul. Narutowicza 60 (cywilną), którą dostarczaliśmy rannym żołnierzom polskim w jesiennych i zimowych miesiącach roku 1939/1940. Zginął po wojnie w walce z UPA w Bieszczadach.

Popularnym wśród lokatorów był dozorca Stefan Gwiazda, który przejął tę posadę po ojcu Antonim z podłódzkiej wsi Retkinia. Był prawdziwym gospodarzem domu. Dbał o porządek posesji, naprawiał wewnętrzne urządzenia kanalizacji i wodociągów, bezpieczniki w licznikach elektrycznych, usuwał zwarcia, które nie sprawiały mu zbytnich trudności.

W końcu podwórza znajdował się mały ogródek, gdzie na mikroskopijnych grządkach hodowano warzywa, kwiaty i słoneczniki. Specjalną opieką cieszyła się jedyna istniejąca na terenie posesji akacja. Stefan Gwiazda spędził niemal całą wojnę na przymusowych robotach w Niemczech. Po wojnie znów powrócił do Łodzi i utrzymywał się jak dawniej z dozorstwa. Umarł na zapalenie płuc w połowie lat sześćdziesiątych.

W większości lokali na froncie i oficynie mieszkali kupcy żydowscy, właściciele sklepów z ul. Nowomiejskiej, Zgierskiej, Ogrodowej, Lutomierskiej, Drewnowskiej, Piotrkowskiej, Wschodniej i innych. Były to m.in. sklepy konfekcyjne, manufakturowe, papiernicze, mydlarskie, galanteryjne, zakłady zegarmistrzowskie, rymarskie i spożywcze. Koegzystencja dzieci polskich i żydowskich na podwórku układała się pomyślnie.

Dużą ciekawością cieszyły się wspólne wyprawy na pobliskie ulice, do kina „Oaza", przy ul. 11 Listopada (obecnie Obr. Stalingradu), gdzie w niedziele przed południem za jedyne 25 gr. obejrzeć można było poranek filmowy.

W sklepie papierniczym przy ul. Ogrodowej kupowaliśmy papierowych żołnierzy po 1 grosz za sztukę (15 gr. arkusz), a także klisze z taśm filmowych dawno zużytych filmów kowbojskich.

Przypominam sobie np. dni, w których monotonność codziennego życia przerywały pożary, jakie wybuchały w różnych punktach Łodzi. Fabryka Poznańskiego, przy ul. Ogrodowej posiadała własną straż ogniową, uzbrojoną w samochody-beczkowozy, które często jeżdżąc do pożarów nabierały wodę przed budynkiem obecnego Domu Kultury (Ogrodowa 18). Była tam długa rura z przedłużeniem brezentowym, służącym do tego rodzaju czynności.

Ul. Nowomiejską poznałem na dobre dopiero w r. 1938. W tymże roku zapisano mnie do szkoły powszechnej przy gimnazjum im. ks. Ignacego Skorupki przy ul. Żeromskiego 10. Na kilka dni przed otwarciem szkoły rodzice postanowili wyposażyć mnie w nowy, granatowy mundurek szkolny ze srebrnymi, błyszczącymi guzikami. Udaliśmy się z matką na ul. Nowomiejską. Wtedy poznałem chaos, jaki panował na tej ulicy. W bramach domów i przed nimi stali młodzi ludzie, którzy w tłumie idących wyłapywali klientów, podchodzili do nich i niemal na siłę wpychali do sklepów. Pozbywszy się z trudem „naganiaczy" przedostawaliśmy się do sklepu słysząc obok siebie głosy:

— Niech pani nie idzie do tego złodzieja.

— Co pani potrzebuje?

— Ja pani pokażę dobry sklep na ubranko dla tego chłopca. Sam prima sort!

Próbowano też siłą powstrzymywać mnie, szarpiąc i ciągnąc za rękawy marynarki. Wyrwałem się z trudem.

Sklep należał do kupca mieszkającego w naszym domu. Posiadał on dwupoziomowe regały. Na dole znajdowały się na wieszakach (ramiączkach) różnego rodzaju płaszcze letnie i zimowe — damskie i męskie. U góry, pod samym sufitem, wisiały garnitury i szkolne mundurki. Podczas kiedy przymierzałem mundurek następowały długie targi o cenę, przerywane okrzykami w rodzaju:

— Po co pani żałuje pieniędzy na takiego eleganckiego chłopca. Przecież wygląda on w ten mundurek jak syn dziedzica.

Miesiące poprzedzające wojnę i sam jej wybuch niemal momentalnie zmieniły moje zdania o wielu rzeczach. Z dzieciaka stałem się osobą wkraczającą w dorosłe życie. Będąc członkiem 8 ŁDH im. Adama Mickiewicza zacząłem brać udział w pracach tej drużyny. Były to dni, w których rzadko gościłem w domu. Ciągłe dyżury i spotkania. W szkole, drużynie. Rodzice martwili się o moje życie i zdrowie, nie dając jednak po sobie poznać. Ich niepokój wzmógł się, gdy do nich dotarła wiadomość o poważnych stratach, jakie ponieśli harcerki i harcerze łódzcy dyżurujący na dworcu kolejowym Widzew.

W nocy z 5 na 6 września 1939 r., po kilku nie przespanych nocach, poszedłem spać do mieszkania p. Woskowiczów na II piętrze budynku frontowego. Kiedy obudziłem się, był już dzień. Przez otwarte okno dobiegał z ulicy jakiś dziwny turkot i hałas. Wybiegłem do bramy. Cała ul. Zachodnia zajęta była ludźmi dążącymi w jednym kierunku. Na północ, środkiem ulicy po brukach dudniły małe chłopskie wozy zaprzężone w mizerne koniki. Na wozach siedziały kobiety i dzieci, mające obok siebie tobołki z pościelą i odzieniem. Bokiem po chodnikach ulicy ciągnęły tłumy ludzi w chłopskich odzieniach bądź żołnierskich bluzach. Ci ostatni nieśli na ramionach karabiny, bądź byli bez broni. Pani Woskowiczowa zawróciła do mieszkania i wyniosła karabin męża, pamiątkę z roku 1920. Obdarowała nim jednego z idących żołnierzy.

Prowadzący sklep z artykułami kolonialnymi, kupiec żydowski, mieszkaniec naszego domu wyciągnął do bramy kocioł pełen gorącej kawy i częstował nią uciekinierów — dzieci, kobiety i mężczyzn. Zapytywani skąd idą, rzucali krótkie urywane zdania.

— Spod Wielunia, Działoszyna, Zduńskiej Woli, Sieradza, Złoczewa!

Tłum uchodzących zmniejszył się dopiero w godzinach wieczornych, aż wreszcie ustał zupełnie. Tego dnia opuściły Łódź tyłowe jednostki wojskowe, straż pożarna, policja, urzędy państwowe i miejskie. Wieczorem i w nocy z 7 na 8 września 1939 roku artyleria niemiecka zaczęła ostrzeliwać miasto. Pociski padały na tereny zabudowane niszcząc domy, zabijając i raniąc ludzi. Jeden z tych pocisków przebił ścianę kina „Capitol" przy ul. Zawadzkiej (Próchnika), inny uderzył w dom przy ul. Śródmiejskiej (Więckowskiego) wybijając dużych rozmiarów dziurę w budynku. Dzień 8 września 1939 r. przeszedł na pozór spokojnie. Wieczorem pierwszy patrol niemiecki wjechał na motocyklach do miasta, zatrzymując się na pl. Wolności.

Następnego dnia oddziały 17 Dywizji Piechoty z 8 Armii Wehrmachtu wkroczyły do Łodzi. Witały je na ulicach miasta duże grupy miejscowych Niemców z kwiatami i chorągiewkami ze swastyką na rękach.

MIECZYSŁAW KOZAK

KTO ZA MNIE POPRACUJE?

Dawno temu Wojciech Młynarski śpiewał: *„chleba dosyć, lecz rośnie popyt na igrzyska"*. Z łezką w oku przychodzi dziś wspominać te piękne czasy, bo oto sytuacja diametralnie się odmieniła. Z chlebem krucho, nie mówiąc już o mące, igrzysk za to serwują nam po pachy. Ale i igrzyska już nie te same co dawniej. Nastąpiła przecież demokratyzacja i humanizacja życia społecznego. Niegdyś władcy świata zasiadali na trybunach i od niechcenia przyglądali się walczącym na śmierć i życie gladiatorom. Dzisiaj sami są gladiatorami, a publiczność zamiast areny obserwuje honorową trybunę, gdzie toczy się zawzięte boje.

W gronie walczących nie doliczyłem się co prawda krawca, ale są tam przedstawiciele innych popłatnych i pożytecznych zawodów, których nie mają czasu wykonywać — nie bez wpływu na stan gospodarki. A krawiec przydałby się najbardziej. Tylko stary, doświadczony przedstawiciel tej profesji umiałby tak podzielić postaw czerwonego sukna, żeby każdemu wystarczyło na płaszcz.

Może wtedy pogodzeni rywale przystąpiliby wreszcie do realizacji swoich właściwych zadań, to znaczy do importu deficytowego chleba? Tak, tak — importu! Nie będziemy przecież sami wypiekać, skoro przechodząc na pluralizm, udało nam się wyżebrać kolejne dary i kredyty od krajów normalnie rozwiniętych.

Jest w Lublinie, firma ABA, która za symboliczną opłatą 13 500 zł wysyła zainteresowanym adresy biur pośrednictwa pracy na Zachodzie. Przeżyłem przykre chwile, kiedy rozszyfrowałem informację jednego z takich pośredników. Było to biuro francuskie. Standardowa ulotka poinformowała mnie, że we Francji pracy nie ma i panuje bezrobocie, a już robotników z Mozambiku, Ugandy, Polski i Mambuku nie zatrudnia się z zasady w ogóle. Daliśmy się już poznać na całym świecie i otrzymaliśmy odpowiednią etykietę.

U nas za to roboty pod dostatkiem. Może by jako tanią siłę roboczą zatrudnić tych, którzy nam towarzyszą na liście niemile widzianych w cywilizowanych krajach? Mój znajomy świeci przetartym siedzeniem, ale ma gosposię. Dlaczego każdy inny Polak nie miałby mieć niedrogiego w eksploatacji Murzyna?

Otwieram zatem zagraniczne, interkontynentalne biuro pośrednictwa pracy. Sam też wyjdę przy tym na swoje. Za odpowiednią opłatą każdy znajdzie u mnie coś dla siebie. Zacznę oczywiście od uzupełnienia luk kadrowych w miacierzystym MPK. Taki zamorski motorniczy nawet nie zrozumie, kiedy będą na nim psy wieszali za brak taboru, za brudny wagon, za rozłatującą się sieć wysokiego napięcia, która powoduje ciągłe przerwy w ruchu pociągów... Do osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy pasażerom i za daleko, i za wysoko, a motorniczy jest zawsze pod ręką i można mu posłać wiązankę. Rodzimy przemilczy, bo nie wolno mu dyskutować z panem pasażerem, a obcy tylko oczy wytrzeszczy. Jazda tramwajem stanie się czystą rozkoszą, wszystkie stresy można będzie rozładować podczas jej monotonnego dotąd trwania.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

„KAMIENNE TABLICE PAMIĘCI"

Wielce szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 36/89 „Odgłosów" ukazał się artykuł red. J. Kwiecińskiego zatytułowany „Kamienne tablice pamięci" o rzekomo sensacyjnym odkryciu nagrobkowych tablic z żydowskiego kirkutu w Kaliszu, użytych do umocnienia brzegów kanału Rypinkowskiego rzeki Prosny, przepływającej przez Kalisz. Gdzie tu może być mowa o „sensacyjnym odkryciu", skoro niemieccy okupanci na oczach wszystkich mieszkańców miasta likwidowali żydowski stary cmentarz przy Nowym Świecie i płytami nagrobnymi (macewami) wykładali brzegi Prosny? Do dziś nie ma ani jednego kaliszanina, który by nie wiedział, jakimi to płytami jest wyłożony wysoki brzeg kanału Rypinkowskiego. Oburzenie kaliszan na wyczyn niemieckich „kulturträgerów" było powszechne. Tymi zabytkowymi płytami zainteresowała się Fundacja Nissenbaumów, gdyż miejscowy tygodnik „Ziemia Kaliska" wielokrotnie o tym pisał, a i w mojej wspomnieniowej książce „Kalisz z oddali" (którą zresztą recenzował red. Kwieciński w „Południowej Wielkopolsce") pisałem o tym skandalicznym wyczynie okupantów. Fundacja rodziny Nissenbaumów zajmuje się ratowaniem zabytków kultury materialnej Żydów polskich. Nakładem dużych kosztów macewy wydobyto z Prosny i złożono tymczasowo na nowym kirkucie przy ul. Widok, który to kirkut jest obecnie remontowany przez Fundację Nissenbaumów.

Przy okazji warto wspomnieć, że w Kaliszu znajdują się prawie w centrum miasta bardzo zaniedbane historyczne zabytkowe nekropolie: cmentarz ewangelicki (zał. w XVII wieku), prawosławny (zał. w 1787 r.) i katolicki (zał. w 1807 r.). Cmentarze te są pełne zabytkowych narobków zasłużonych, historycznych rodzin. Niestety wszystkie one rozsypują się w proch i pył. Cmentarze te są zupełnie pozbawione jakiejkolwiek opieki konserwatorskiej. Przydałaby się im taka właśnie Fundacja Nissenbaumów. Z wyrazami szacunku.

Dr med. TADEUSZ PNIEWSKI

Z listu p. dr Tadeusza Pniewskiego wynika, że nie każdemu wiadomo, iż prasa łódzka nie jest kolportowana w Łodzi, ale ponieważ taka właśnie jest sytuacja, czytelnik łódzki mógł sprawę macew odebrać, moim zdaniem, jako sensacyjną. Zresztą i w samym Kaliszu panowało na ten temat do niedawna publiczne milczenie, tym bardziej, że świadków wydarzeń sprzed pół wieku pozostało zapewne niewielu.

Dokładne i, jak sądzę, całkowicie miarodajne informacje o tym ważnym znalezisku uzyskałem bezpośrednio w Warszawie — od mgr inż. Wojciecha Studzińskiego, sekretarza Fundacji Rodziny Nissenbaumów (o działalności Fundacji wspomniałem w swoim artykule) i w Kaliszu — od kierownika Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, mgr Jerzego Składanowskiego, którzy poświęcili mi sporo swego cennego czasu, za co im na tym miejscu dziękuję.

JERZY KWIECIŃSKI

MIŁOŚNIKOM ITALII I JĘZYKA WŁOSKIEGO!

Poznański oddział **TOWARZYSTWA PRZYJAŹNI POLSKO-WŁOSKIEJ** informuje, za naszym pośrednictwem, że od września ukazuje się informator **„ITALIA ITALIA"**, jedyne tego rodzaju pismo w języku włoskim wydawane w Polsce. Kto chciałby korzystać z tego pisma może je zaprenumerować. Poza prenumeratą pismo jest niedostępne. W celu zapewnienia sobie prenumeraty należy wpłacić **1400 złotych na konto:**

PKO I OM Poznań 63513-15916-132 z dopiskiem: **„Italia Italia".**

Podajemy jeszcze adres Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Włoskiej: **61-772 POZNAN, Stary Rynek 56, tel. 420-60.**

„SMULSKI RAJ"

Hanna i Zdzisław Małek przysłali nam list, w którym wykazują, że reportaż Ryszarda Binkowskiego pt. „Smulski raj" — opublikowany w „Odgłosach" (nr 27) — został napisany zgodnie ze stanem faktycznym. Polemizują przy tym z argumentami mgr inż. Ryszarda Krucińskiego, które przedstawił w naszym tygodniku (nr 37).

Ponieważ jednak pozwoliliśmy wypowiedzieć się obu zainteresowanym stronom, nie będziemy więcej wracać do tej sprawy.

EDMUND LEWANDOWSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

POSZUKUJEMY mieszkania cztery pokoje, kuchnia, łazienka, telefon (Śródmieście) 84-75-85. 50784-g

PIANINO — sprzedam 52-08-81. 50905-g

ZAMIENIĘ korzystnie duży pokój, kuchnię na dwupokojowe. 32-44-40. 50389-g

TYNKARZY — brygadę (akord) — zatrudnię. Zgierz, Murarska 4. 50812-g

ZATRUDNIĘ — wtryskarka. 51-20-73. 6412-g

ZE SLAJDÓW — duplikaty, odbitki na materiałach zachodnich, wykonuje „STUDIUM" Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej) Rycel. 47509-g

POWIELANIE, wykonywanie przezroczy w dowolnych ilościach. Instytucje rachunki. „Studium", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). 50824-g

AEROBIC

— informacje i zapisy

Piotrkowska 133

3203/K

Pośrednictwo Wizowe

Biuro Turystyki bu TIM

uprzejmie informuje, że POŚREDNICZY W WIZOWANIU PASZPORTÓW do następujących krajów:
— RFN, Kanada, Szwecja,

Oferujemy konkurencyjne terminy, na życzenie dostarczamy wizy do domu.

Szczegółowe informacje w lokalu Agencji Wizowej — ul. Jaracza 9 w godz. 9—13, tel. 33-25-69. 3248/k

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO w Łodzi

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż nw.

◄ POJAZDÓW ►

1. **FSO, nr rej. LDB 313 E, rok prod. 1984, nr silnika 862958, nr podwozia 1017538, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.155.000,—**
2. **NYSA 522, nr rej. LDB 968 V, rok prod. 1985, nr silnika 383555, nr podwozia 312979, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.458.000,—**
3. **FSO, nr rej. LDB 303 P, rok prod. 1984, nr silnika 1016761, nr podwozia 1023346, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.155.000—**
4. **FSO, nr rej. LDB 945 S, rok prod. 1986, nr silnika 1054626, nr podwozia 1029529, proc. zużycia 70, cena wywoławcza 1.386.000,—**
5. **FSO nr rej. LDB 605 V, rok prod. 1985, nr silnika 2051879, nr podwozia 1030132, proc. zużycia 90, cena wywoławcza 462.000,—**
6. **FSO, nr rej. LDB 071 H, rok prod. 1983, nr silnika 869406, nr podwozia 1011554, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.155.000,—**
7. **FSO PICKUP nr rej. LDB 415 E, rok prod. 1984, nr silnika 910080, nr podwozia 1016761, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.637.000,—**
8. **FSO, nr rej. LDB 917 G, rok prod. 1984, nr silnika 847943, nr podwozia 1020897, proc. zużycia 70, cena wywoławcza 1.386.000,—**
9. **ŻUK nr rej. LDH 747 B, rok prod. 1983, nr silnika 579245, nr podwozia 383702, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.568.000,—**
10. **NYSA 522, nr rej. LDA 156 R, rok prod. 1985, nr silnika 946441, nr podwozia 311962, proc. zużycia 80, cena wywoławcza 1.166.000,—**
11. **NYSA 522 nr rej. LDA 106 R, rok prod. 1986, nr silnika 820245, nr podwozia 320114, proc. zużycia 70, cena wywoławcza 1.749.000,—**
12. **FSO PICKUP, nr rej. LDB 418 E, rok prod. 1984, nr silnika 739532, nr podwozia 1016980, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.636.000,—**
13. **AVIA nr rej. LZA 909 D, rok prod. 1983, nr silnika 0747, nr podwozia 7494, proc. zużycia 70, cena wywoławcza 2.310.000,—**
14. **AVIA, nr rej. LDB 847 K, rok prod. 1985, nr silnika 0283, nr podwozia 0214, proc. zużycia 75, cena wywoławcza 1.925.000,—**

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 12 października 1939 r., na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 12.10.1989 r., na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego, drugi przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 13 na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2.

Zastrzega się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmianę cen wywoławczych.

Za występujące wady ukryte w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

3207/K

Informujemy o otwarciu nowego KANTORU WYMIANY WALUT w lokalu przy ul. JARACZA 9

TYLKO U NAS TANIO, RZETELNIE I W KRÓTKICH TERMINACH

WYKONUJEMY INSTALACJE DO ODBIORU TELEWIZJI SATELITARNEJ DLA ODBIORCÓW ZBIOROWYCH I INDYWIDUALNYCH

Informacje i zgłoszenia: GEA Zakłady Elektroniki Użytkowej, sp. z o.o., Łódź 90-034, Przędzalniana 5/7/9, tel. 74-74-76.

3209/K

zgłoś się do nas!

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „MAKOSZOWY"

Zabrze ul. 3-go Maja 118 tel. 712-915

O G Ł A S Z A

wpisy dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 89/90

Kształcimy w zawodach:

- **górnik kopalni węgla kamiennego**
- **mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego**
- **elektromonter górnictwa podziemnego**
- **mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych**
- **monter układów elektronicznych i automatyki przemysłowej**

Warunkiem przyjęcia jest:

— **nie ukończony 18 rok życia**
— **ukończenie szkoły podstawowej**
— **zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia**

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia pomoc materialną:

— **w klasie I — 3881 zł.**
— **w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 6468 zł**
— **w klasie II — 4620 zł**
— **w klasie II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 7700 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na dole — 6098 zł jeśli zajęcia praktyczne odbywają się na powierzchni — 4712 zł**
— **w klasie III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 10.164 zł.**

Uczniowie mieszkający w internacie otrzymują zakwaterowanie oraz dodatek na wydatki osobiste płatny w gotówce:

— **w klasie I — 1164 zł**
— **klasa I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 1940 zł**
— **w klasie II — 1386 zł**
— **klasa II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 2310 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia odbywają się na powierzchni — 1414 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia odbywają się na dole 1829 zł**
— **klasa III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 3049 zł.**

Ponadto uczniowie nie korzystający z internatu otrzymują ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla wynoszący 830 zł miesięcznie. Wszyscy uczniowie mają prawo do premii miesięcznej do 50 proc.

Zapewniamy:

- internat dla uczniów zamiejscowych
- codziennie bezpłatny posiłek regeneracyjny dla wszystkich uczniów
- bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych

ABSOLWENCI — wyróżniający się dobrymi wynikami w nauce posiadają pierwszeństwo w podejmowaniu dalszej nauki w 3-letnim Technikum Górniczym. Natomiast absolwenci podejmujący bezpośrednio po ukończeniu ZSG pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150.000 zł.

Szkoła prowadzi również następujące kursy, z których mogą korzystać uczniowie szkoły:

- **kurs spawania gazowego i elektrycznego**
- **kurs radiowo-telewizyjny oraz języków obcych**
- **kurs prawa jazdy**

Zapisy przyjmuje i bliższych informacji udziela sekretariat szkoły.

2073-k

Z różnych szuflad

Matuzale

Fenomen długowieczności interesuje nie tylko lekarzy-geriatrów, ale też i innych śmiertelników, pragnących jak najdłużej zachować zdrowie i sprawność fizyczną. Życzenia stu lat towarzyszą zarówno toastom jak i powitaniom wybitnych znakomitości, nawet sternika nawy Piotrowej — rodaka na tronie papieskim. Czegóż jednak życzyć osobom wiekowym, które w najlepszej formie przekroczyły setny rok życia. „Sto lat!" — to jakoś nie wypada. Przezorni nasi przodkowie wysmażyli na tę okoliczność takie oto porzekadło: *„Żyj: lata Matuzalowe, albo przynajmniej połowę, chociażby i ćwierć dla igraszki, dwieście lat i to nie fraszki"*. Według Starego Testamentu Matuzal albo Matuzalem, potomek Seta a dziadek Noego żył jakoby 969 lat.

Pewien angielski podróżnik, nazwiskiem Sinclair, utrzymywał, że w Indiach Wschodnich żył pobożny bramin, liczący sobie 700 lat, któremu co sto lat wyrastały nowe zęby. W kalendarzu Jana Kantego Czochrona (1774) zmodyfikowano przypowiastkę Sinclaira w ten sposób, że skrócono jego żywot bramina do 340 lat, z dodatkiem, że *„za każdym odmłodzeniem miał mieć włosy czarne, zęby nowe i czerstwość taką, jaką w młodych rzadko się znajduje"*. Osobliwy ten twór natury miał być podziwiany w Indiach w 1636 r.

Przykłady ludzkiej długowieczności ogłaszali m.in. Gabriel Rzączyński (1664—1737) w dziele „Historia naturalis curiosa Regni Poloniae, Magni Ducatus Lituaniae annexarumque provinciarum" (1721), a po nim Łukasz Gołębiowski (1823 i 1830), Teodor Tripplin (1856 i 1857), Józef Majer (1866) i ostatnio Roman Kaleta w książce „Sensacje z dawnych lat" (Wrocław 1986 s. 130—137). O fenomenach długowieczności pisał też zeszłowieczny lekarz niemiecki Karl Wilhelm Ideler w książce „Die allgemeine Diäteitk für Gebildete" (Halle 1847). Wspomniany Ideler z całą powagą uczonego dowodził, że 9 marca 1795 r. zmarł w Londynie niejaki Tomasz Carn przeżywszy 207 lat i 12 monarchów angielskich. W innym miejscu tegoż dzieła znalazła się wiadomość, że w Krakowie dokonał żywota pewien 127-letni starzec, który spłodził z czterema żonami 125 dzieci. O jurności naszych sędziwych przodków niech zaświadczy przykład rosyjskiego wieśniaka Fiodora Wasiliewa, mającego w wieku 75 lat 87 dzieci. Pierwsza z jego żon rodziła 27 razy; czterokrotnie miała czworaczki, siedmiokrotnie trojaczki, a 16 razy bliźniaki. Druga żona urodziła w ośmiu połogach 18 dzieci. Niedawno prasa doniosła, że w brazylijskiej miejscowości Juiz de Fore do tamtejszego urzędu stanu cywilnego przybył 118-letni Vincente Ferreira, gotów do zawarcia związku małżeńskiego z 23-letnią Joaquiną Ignacio.

Aby nie powtarzać informacji z książki Romana Kalety o tych, co żyli najdłużej, na podstawie rozmaitych źródeł wzbogacam listę długowiecznych. „Kurier Warszawski" (1829 nr 222) poinformował swoich czytelników o śmierci artysty dramatycznego nazwiskiem Noel, który zszedł z tego świata w 118 roku życia. *„Grał najdłużej w Paryżu i jeszcze przed 18 laty w 100 roku życia swego wystąpił na scenie. Grywał on od 8 roku swego życia. Według zostawionego przez siebie dziennika odegrał 2760 ról i występował na scenie 28.011 razy. Umarłym był 1.040 razy, królem 130, uczciwym człowiekiem 920, hultajem i nieszczęśliwym 13.500 razy, ale zawsze z najlepszym sercem i w najweselszym humorze"*. Warto przy tej okazji przypomnieć, że nasz wybitny aktor i dyrektor teatrów Ludwik Solski (20.I.1855—19.XII.1954) ostatni raz wystąpił 5 czerwca 1954 r. w roli Dyndalskiego w IV akcie „Zemsty" na scenie Teatru Polskiego w Warszawie, podczas jubileuszu 80-lecia jego pracy zawodowej.

Niejaki Paschalski, urodzony w okolicach Zamościa w 1745 r., w 20 roku życia ożenił się z 14-letnią panienką, żył z nią 62 lata. Jako zawołany gospodarz wstawał zwykle o 3.30 rano, zimą o godzinę później, dla kurażu wypijał mały kieliszek wódki, zagryzając bułką z czosnkiem. Do 9 objeżdżał gospodarstwo, po czym zjadał śniadanie, składające się z 3—6 jaj na twardo. Zmarł 5 września 1852 r. jako 107-letni starzec. Postępował poczciwy szlachetka zgodnie z zaleceniem szkoły salernitańskiej: *„Skoro zdrowym być pragniesz, a lekarz daleki: ruch, wesołość, dyeta — zastąpią ci leki"*.

Kasztelan trocki i wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł, zwany Starym, żyjący za czasów Aleksandra Jagiellończyka, na zapytanie króla czemu zawdzięcza tak znakomitą sprawność umysłu i kondycję fizyczną w tak późnym wieku, odpowiedział: *„Miłościwy panie, od młodości mojej gardziłem wszelkim zbytkiem, stroniłem od miodu i wina, a piłem zawsze czystą wodę i tymi prostymi środkami zapewniłem sobie sędziwą starość i dobre w późnym moim wieku zdrowie, jakim się od stu lat cieszę"* („Kraj" 1894 nr 15). Inny król, Stanisław August Poniatowski, zapytawszy pewnego wiekowego dziadunia o jego stosunki z kobietami, uzyskał odeń odpowiedź, że nie tylko nigdy się nie żenił, ale wręcz stronił od kobiet. Zdegustowany monarcha, odrzekłszy: *„Toś kiep!"*, odwrócił się od starca ze źle ukrywaną dezaprobatą.

Niejaka Jabłońska, lat 107 licząca, zamieszkała w Jordanowicach, w dobrach Ewarysta Mokronowskiego, chodziła codziennie do kościoła użalając się, iż jest sierotą bez ojca i matki. Ksiądz Zygmunt Aleksander Nałęcz Wyński, proboszcz parafii św. Floriana na Kleparzu i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zmarł w wieku 99 lat i 10 miesięcy 23 września 1831 r. Setnego roku życia doczekał zmarły niedawno w Londynie gen. Czesław Jarnuszkiewicz, urodzony 27 marca 1888 r.

Najstarszy mieszkaniec Krakowa, wcześniej właściciel podkrakowskiego Wielopola, Piotr Librowski, miał liczyć w chwili zgonu 124 lata, jak wynikało z nekrologu ogłoszonego w „Gazecie Krakowskiej" (1825 nr 24). Według klepsydry zachowanej w rękopisie Biblioteki PAN w Kórniku (podaję za Kaletą s. 134) zmarły dożył „tylko" 120 lat.

„Kurier Warszawski" z 21 lutego 1924 r. (nr 52) informował o śmierci łódzkiego Żyda Majera Zilbermana w wieku 118 lat. Jako osobliwość podawano, że podczas niedawnego strajku tramwajarzy starzec udał się w tę i z powrotem do odległego o 11 km od Łodzi miasteczka Aleksandrowa. Przed śmiercią sędziwy starzec wezwał przed swe oblicze 80-letniego syna, pożegnał się z nim dodając, że życie jest piękne i wydaje mu się, że żył zbyt krótko.

Samuel Cyryl Stefanowicz, arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego, urodził się 28 marca 1752 r. a zmarł 8 grudnia 1858 r. w 107 roku życia. Na stolicę arcybiskupią powołał 80-latka w 1832 r. cesarz austriacki Franciszek I. Stefanowicz rządził przez długie jeszcze lata powierzoną sobie diecezją, wizytując jej obszerne terytorium z parafiami w Kamieńcu Podolskim, Bałacie, Raszkowie i Mohylowie.

Według staroświeckiej porady lekarskiej, wypisanej z osiemnastowiecznego kalendarza, warunkiem długiego życia było przebywanie w powietrzu czystym, przy zachowaniu „pomierności w jedzeniu i piciu, od mięs i win wstrzymując się" i wystrzeganiu się przy tym „zbytniej serca i głowy zgryzoty, niepomiarkowanej wesołości, spania długiego i próżnowania", co pilnej uwadze czytelników poleca:

ANDRZEJ KEMPA

1

Lewym okiem

„...Jak to, co zdobędę..."

Dziś będzie felieton wykorzystujący falę wspomnień sprzed pięćdziesięciu lat, chociaż wcale nie związany z drugą wojną światową.

Była druga połowa lat trzydziestych, nikomu nie śniło się wtedy o socrealizmie w literaturze i sztuce, ani o stachanowszczyźnie czyli zdehumanizowanej apoteozie pracy. Ale był „Wyścig Pracy". Tak, kochani czytelnicy, w przedwojennej Polsce było głośno lansowane hasło Wyścig Pracy! W bardzo wielu publicznych miejscach wywieszano plakaty z wielkoliterowym hasłem zaczerpniętym z pism Józefa Piłsudskiego: *„Nadchodzą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi"*.

Jak więc widzimy publiczne posługiwanie się hasłami ideowymi nie jest wynalazkiem czasów, które wspominamy z największą niechęcią. Nad sceną teatru Ateneum w Warszawie widniał wielki napis i widnieje do dziś, stanowiący cytat z poezji Juliusza Słowackiego: *„I będę mocny jak to, co zdobędę"*. Inaczej mówiąc, będę wart tyle, ile uda mi się dokonać. Jeszcze inaczej — wartość człowieka mierzy się wartością tego, czego dokonał. Tylko Jerzy Paczkowski pokpiwał wtedy na łamach „Wróbli na dachu" fraszką:

„Cacy, cacy
wyścig pracy".

Kult pracy był jednak dominantą w procesie pedagogicznym ostatnich lat przedwojennych. Stworzono wtedy tzw. Junackie Hufce Pracy, zaciągano do nich bezrobotnych, bezrolną przeważnie młodzież wiejską, tworząc z niej bataliony, które zatrudniane były przy najcięższych robotach ziemnych. Ale w procesie wychowawczym uwzględniono i to, że z pracą fizyczną powinien zapoznać się także każdy inteligent, każdy młodzieniaszek z tzw. dobrego domu.

Skończyłem gimnazjum w 1938 roku i zaraz po maturze zostałem zaciągnięty — w trybie obowiązującego poboru — do Junackich Hufców Pracy. Musieli w nich odsłużyć miesiąc wszyscy młodzi chłopcy zakwalifikowani co do stanu zdrowia do czynnej służby wojskowej. Pojechałem do, jakże dalekiej wówczas, Cisnej, maleńkiego miasteczka we wschodniej Huculszczyźnie. Z Cisnej jechaliśmy jeszcze kolejką, a właściwie nie była to kolejka tylko rusztowanie położone na osiach żelaznych, na którym to rusztowaniu transportowano pnie ściętych w lesie drzew; otóż tym prymitywnym środkiem lokomocji dowieziono nas jeszcze dalej, w głąb gór, do wioski o nazwie Żubracze, zamieszkałej wyłącznie przez Hucułów, niezmiernie biednych i prymitywnych. Był tam obóz junaków i nas kilkunastu maturzystów z Warszawy wmieszano pomiędzy nich na identycznych prawach, z identycznymi obowiązkami. Organizacja, muszę powiedzieć, była znakomita. Nie zabrakło dla nikogo z nas ani łopaty, ani kilofa, ani innego poważnego narzędzia. Dekowanie się i udawanie pracy nie było modą ani fasonem ówczesnej młodzieży. Rąbaliśmy skałę uczciwie, ścinaliśmy całą górę po to, aby tamtędy przeszła droga. Trzeba było najpierw wykarczować gęste krzewy porastające tę górę, splątane niesamowicie, pełne żmij, w których istnienie uwierzyłem wtedy naprawdę.

Bosonogie, huculskie dziewczęta przynosiły do obozu zsiadłe mleko i garnuszki czarnych jagód i oddawały to wszystko nie za pieniądze, w które nikt tam nie wierzył, tylko za zapałki, za cukierka, za lusterko. Zupełnie jak w głębi Afryki.

Wracaliśmy do namiotów zmęczeni, ale zawsze ze śpiewem

„Oto junacka idzie wiara..."

Legitymację JHP czyli Junackich Hufców Pracy przechowuję do dziś w jakże skromnym osobistym archiwum.

— Jaka szkoda — mówiłem wtedy na pożegnalnym ognisku — że taka służba z łopatą nie trwa rok i nie zastępuje powszechnej służby wojskowej. Zakrzyczeli mnie wtedy, bo przecież trzeba było przygotowywać się do wojny, trzeba się uczyć żołnierskiego rzemiosła, trzeba służyć w wojsku. No tak. To oni mieli rację, a ja byłem anachroniczny. I pewnie pozostałem do dziś, bo dzisiaj też wolałbym, żeby moje wnuki budowały własnoręcznie drogi zamiast uczyć się strzelania do biegnących ludzi.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Ceny z sufitu

Przed kilkoma tygodniami jeden z moich felietonów zakończyłem przypuszczeniem że po wprowadzeniu wolnego rynku, by pójść do restauracji na obiad, może być potrzebny żyrant. I sprawdziło się, choć wcale się z tego nie cieszę. Nie ma w końcu z czego. A poza tym, przewidzenie takiej sytuacji nie było trudne.

Boję się jednak, że ceny rosną u nas bardzo często bez żadnych realnych podstaw, to znaczy bez jakiejkolwiek sensownej kalkulacji. Pędzi także dolar bez opamiętania w górę, choć ostatnio (piszę we wtorek 12 IX) trochę spadł. I tak jednak jego cena jest niesamowicie zawyżona. Tymczasem w wrześniowym dodatku „Polityka — Eksport — Import" został wydrukowany list jednego z czytelników, który na stałe mieszka w Paryżu. Czytelnik ów napisał: „Opracowałem listę 38 artykułów i usług, których łączna cena w Paryżu wynosi 100 dolarów. Czytelnikom „Polityki" pozostaje podliczyć sumę tych 38 pozycji według cen rynkowych w Polsce i podzielić ją przez 100. Otrzymają prawdziwy kurs złotówki do dolara biorąc pod uwagę siłę nabywczą". Dalej następuje lista 38 produktów. Redaktorzy za czytelników wykonali cały ten manewr, to znaczy porównali ceny produktów polskich do francuskich, następnie podzielili przez 100 i wyszło im, że dolar powinien u nas kosztować... 1400 złotych. Zabawne, ale prawdziwe!

Podobnie rzecz się ma z windowaniem innych cen. Monopole wszelkiego typu trzymają się dobrze, kwitnie więc radosne cenotwórstwo. Wiem oczywiście, że jedną z metod zatrzymania inflacji jest przy wolnych cenach zablokowanie dochodów. Chodzi o to, żeby z ludzi ściągnąć jak największą ilość pieniędzy. I nie ma co ukrywać, taka operacja nie będzie zbyt przyjemna dla naszych kieszeni. Ale zanim to nastąpi, trzeba chyba urealnić ceny. Podejrzewam bowiem, że w wielu instytucjach ceny na poszczególne towary brane są wprost z nieba i zapewne nikt nie byłby w stanie powiedzieć, dlaczego cena na jeden produkt jest taka, a na drugi inna.

Na pewno nie można ustalać cen tak, jak ja to robiłem. Otóż, jeden z moich znajomych ma, jak się teraz mówi, własny biznes. Konkretnie, wytwarza z drewna różne kwietniki, tacki, półeczki, gazetniki i wiele innych podobnych rzeczy. Ostatnio, gdy wróciłem z urlopu zaszedłem do niego. Wchodzę, a on siedzi nad stertą przez siebie zrobionych produktów i minę ma dość nietęgą.

— Co ja mam teraz zrobić — mówi. — Zrobiłem to jeszcze przed wakacjami i wszędzie poprzyklejane są stare ceny... a przecież teraz wszystko się pozmieniało.

— Nie ma problemu — powiedziałem bardzo pewnie. — Odrywaj tamte nalepki, przyklejaj nowe z innymi cenami.

— No dobrze, ale jakie to mają być ceny, ja teraz zupełnie już nic nie wiem.

— Nie przejmuj się, zaraz coś wymyślimy — mówię i biorę do ręki pierwszą z brzegu tackę. — Ile to kosztowało? — pytam.

— Spójrz na cenę, jest tam napisane: trzy i pół tysiąca — odpowiada smutno.

— To w tej chwili musi kosztować sześć i pół — stwierdzam bez zastanowienia.

— Ech, chyba trochę przesadziłeś!

— Nic nie przesadziłem, zastanawiam się nawet, czy to przypadkiem nie jest za mało — próbuję zaszczepić w nim moją pewność siebie.

I udało się, po chwili zmiany cen idą błyskawicznie. Kolega z minuty na minutę rozkręca się coraz bardziej. Kiedy na koniec dochodzimy do niewielkiej półeczki, on już bez mojego udziału podaje cenę: piętnaście tysięcy! Tym razem mnie lekko zatkało. Ale w tym momencie on jest szefem, kiwam więc tylko głową z aprobatą. Potem pakujemy wszystko w wielką torbę i zanosimy do sklepu, gdzie bez zmrużenia oka wszystko zostaje przyjęte. I teraz nie wiem, czy my z „sufitu" wzięliśmy dobre ceny, czy też wszyscy się dokładnie pogubili i nikt już nic nie wie. Jeśli jednak większość cen jest ustalana w ten sposób, jak my to robiliśmy to obawiam się że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Na koniec powiem jeszcze, że i my chodząc po zakupy musimy się zmienić. Teraz trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte, jak mawiał zacny Sokrates by zorientować się w tym, co dzieje się dookoła, bo czasami ten sam produkt tuż obok można kupić dużo taniej. Powodzenia więc!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3

Pod prąd

Czas zapominania

Mądrzy ludzie powiadają, że trudniej jest zapomnieć niż zapamiętać i choć brzmi to jak paradoks, zapewne mają rację. Pamięć ludzka, to nie taśma magnetyczna, z której za jednym naciśnięciem klawisza usunąć można wszystko, co zostało tam zapisane. Pamięć ludzka bywa wyjątkowo trwała. Czasem na szczęście, a czasem na nieszczęście. I trzeba to brać pod uwagę.

Dlaczego o tym piszę? — Ponieważ nie wierzę, by na przykład wszyscy członkowie tak zwanego aparatu partyjnego zapomnieli nagle o pozycji zajmowanej w przeszłości i nie chcieli powrotu do swej wszechwładzy, „nieomyłności", do swych przywilejów. Mało tego — by nie działali w tym kierunku — jawnie, niejawnie, jak się da. Dla wielu z nich każdy, kto otwarcie dystansuje się od komunizmu, wciąż jeszcze jawi się wrogiem Polski, Związku Radzieckiego i całego powojennego ładu w Europie Środkowej, a być może jest także agentem wywiadu jakiegoś zachodniego mocarstwa. Dla wielu słowo „partia" może być nad Wisłą użyte jedynie w odniesieniu do PZPR, jak gdyby było wyłącznie dla tej jednej partii raz na zawsze zastrzeżone. I dlatego nadal mówią, piszą: partia to, partia tamto..., nie wyjaśniając, która. A dziś już powinni.

Tak samo zresztą nie wierzę, by wszyscy działacze dawnej opozycji zapomnieli nagle o tym, czego doświadczyli od komunistów. Mało tego — by w ten, czy inny sposób, nie próbowali wziąć na nich odwetu za internowania, lata spędzone w więzieniach, za nękanie przez Służbę Bezpieczeństwa, tudzież różne inne szykany. Nie chcę oczywiście twierdzić, że gdy nadarzy się okazja, postąpią wobec swych przeciwników ideowych dokładnie tak samo. Raczej szukać będą innych sposobów. Ale będą — zwłaszcza w tak zwanym terenie. Przypuszczam — głównie ci, którym do dziś trudno jeszcze usiąść z komunistą przy jednym stole, podać mu rękę czy spojrzeć na funkcjonariusza MO z życzliwością, a choćby obojętnie.

Nie wierzę, by wszyscy robotnicy manifestujący poparcie dla rządu premiera Mazowieckiego zapomnieli nagle znany z poprzednich dziesięcioleci dwuwiersz: „czy się stoi, czy się leży...". Mało tego — by jak jeden mąż zaprzestali strajków i akcji protestacyjnych, podczas których domagać się będą podwyżek płac o ileś tam tysięcy złotych dla każdego — bez względu, czy ktoś pracuje wydajnie, czy jest zwykłym obibokiem. Mimo to, zachodzące w Polsce zmiany, pamięć o „dawnych, dobrych czasach", dla tak zwanej klasy robotniczej w dalszym ciągu w wielu jej kręgach pozostaje żywa i niełatwo przyjdzie się z nią rozstać, choć zewsząd słychać dziś głosy, że ten rozdział naszej najnowszej historii został już zamknięty.

Nie wierzę, by na przykład wszyscy lekarze nawet po ustaleniu średniej ich płacy na poziomie pięciokrotnej wartości pensji robotniczych, co w wielu krajach nie jest żadnym ewenementem, zapomnieli nagle, że można brać łapówki i zaczęli traktować pacjentów tak, jak na to naprawdę zasługują. Znam różnych lekarzy i wiem dobrze, że kilku spośród nich w każdych warunkach nie cofnie się przed przyjęciem koperty, jeśli ktoś zechce dać, a jeśli nie, to musi liczyć się z taką sugestią.

Nie wierzę, by wszyscy dziennikarze zapomnieli nagle o tym, jak wbrew faktom udowodnić można niemal każdą tezę chcąc przypodobać się szefowi, czy tak zwanym dysponentom politycznym. Wielu robiło tak przez całe życie i z pewnością już się nie zmienią, choć niejeden publicznie głosić będzie, że teraz już prawda, cała prawda i tylko prawda.

Nie wierzę...

I nie jest to, proszę Państwa, pesymizm, ale — gorzka świadomość, że stare żyć będzie w nas jeszcze długo. Bo żeby zapomnieć, potrzeba czasu. Najważniejsze jednak, że czas zapominania już się zaczął!

JÓZEF RETMAN

CENTRALNA SKŁADNICA HARCERSKA
Oddział w Łodzi, ul. Roosevelta nr 7

ogłasza

P R Z E T A R G

na sprzedaż

◄ SAMOCHODU marki „AVIA" ►

rok prod. 1982, procent zużycia 80, cena wywoławcza 1.408.000,— zł.

Przetarg odbędzie się w trzy dni po ukazaniu się ogłoszenia, przy ul. Sienkiewicza 75/77, o godz. 10.
Przystępujący do przetargu obowiązani są wpłacić wadium w wysokości 10 procent od ceny wywoławczej, w przeddzień przetargu.
Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

3173/K

Superagent Tambor

(10)

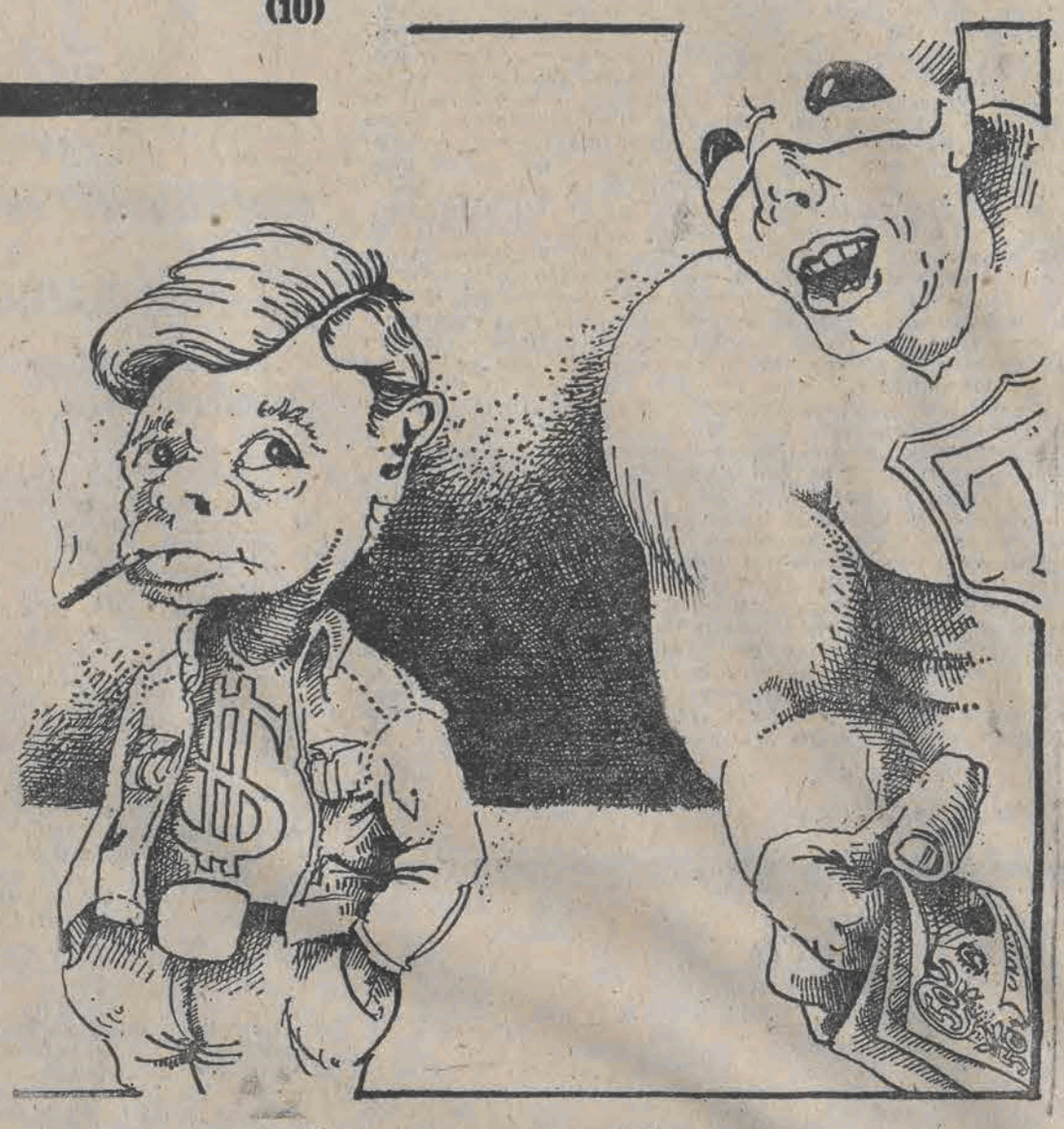

Rys. *Dariusz Romanowicz*

JERZY JESIONOWSKI

Kajaki rzeczywiście były, lecz wszystkie nie do użytku: nieszczelne, bo się rozeschły. Tambor zdenerwował się.

— To od czego pan tu jest? — spytał opiekuna kajaków, opalającego się na przystani.

— Ktoś musi informować — odpowiedział tamten z godnym spokojem człowieka pracy.

Zastanawiali się z Jolą, co zrobić: wracać do miasta czy poplażować na brzegu. Ich rozterkę przerwał okrzyk z przepływającej obok przystani prywatnej żaglówki.

— Jolka! To ty?

Żaglówką płynęła młoda kobieta z kilkuletnim chłopcem. Jola natychmiast ją poznała.

— Danka!

Kobieta przybiła łodzią do przystani i wyskoczyła na nią. Jola wycałowała się z żeglarką, potem zaś przedstawiła jej Tambora.

— Mój mąż.

Danka omiotła Tambora taksującym spojrzeniem.

— Gratuluję — rzekła. Przyjechaliście popływać?

— Tak, ale nie ma czym.

— Wsiadajcie, do mojej łajby. Cztery osoby wytrzymuje.

Chłopiec był synem Danki, nazywał się Mirek. Po usadowieniu się w łodzi odpłynęli na jezioro. Obydwie panie tak się od razu rozgadały, że w ogóle zapomniały o obecności mężczyzny. Trajkotały szybko i w jakimś babsko-młodzieżowym żargonie, toteż Tambor nie nadążał z rozumieniem tej rozmowy. Najważniejsze jednak pojmował. Jola i Danka były koleżankami szkolnymi. Danka zawędrowała do Olsztyna za mężem, prywatnym przedsiębiorcą; nazywała się obecnie Ranicka. Interesy szły małżonkom dobrze. „Nawet bardzo dobrze" — powiedziała Danka. Ten temat zaciekawił Tambora, włączył się przeto do rozmowy.

— Produkujecie państwo coś pokupnego? — spytał.

— E, nie, z produkowaniem są kłopoty. Trzeba dużo zainwestować, a potem starać się o materiały. Mąż woli pracować bezinwestycyjnie i bezmateriałowo.

— Jak zatem zarabiacie?

— Obsługujemy ludzkie rachuby na dobrobyt i szczęście bez pracy.

— Nie pojmuję. Proszę jaśniej.

— Prowadzimy Korespondencyjne Biuro Porad. Nasza specjalność to doradzanie, jak obstawiać totolotka oraz horoskopy osobiste.

— Sami też obstawiacie totka?

Danka zaśmiała się.

— Proszę pana, założeniem totalizatora jest, że wygrywać ma firma, a nie klienci.

— Co więc doradzacie klientom? Żeby nie grali?

— Takich porad klienci nie chcą, a my prowadzimy biuro po to, żeby zarobić. Ogłaszamy w gazetach, że techniką komputerową wyliczamy na podstawie poprzednich losowań, jakie numery powinny wypaść w następnych.

— Można to wyliczyć?

— Nie można. Totolotek to gra losowa, nic nie da się przewidzieć. Decyduje ślepy traf.

— To co typujecie?

— Jakiekolwiek numery. Dla każdego klienta inne, żeby pewna ilość trafień jednak była. Takie szczęśliwe przypadki podbudowują opinię naszego biura.

— No dobrze, a horoskopy?

— Mamy trzydzieści wzorów, na rozmaite warianty losu. Klient musi podać informacje o sobie, a wtedy mąż dopasowuje najbardziej prawdopodobny wariant. Oczywiście jest on każdorazowo przepisywany na maszynie, żeby wyglądał na jedyny i niepowtarzalny.

— Jak ze sprawdzaniem się?

— Po pierwsze horoskopy zredagowane są niejasno i z uwarunkowaniami, po wtóre zaś zawierają tak wiele ogólnikowych możliwości, że część z nich musi się sprawdzić, chociaż w przybliżeniu. To klientów zadowala. Nikt nie oczekuje przecież, że horoskop będzie precyzyjnym proroctwem.

— Ja też mógłbym zamówić sobie taki osobisty horoskop?

— Oczywiście. Wypełni pan kwestionariusz i coś się dopasuje.

— Nie skorzystam. Nie lubię się spowiadać, zwłaszcza na piśmie. Ale dziękuję za szczerość.

— Wobec cudzoziemca mogę sobie na nią pozwolić.

— Nawet wobec chcącego założyć w Polsce firmę?

— Nawet. Konkurencją dla nas nie będzie pan, trzeba znać polską mentalność. Pan mógłby tylko produkować albo handlować. Do dusz się pan nie dobierze.

— Dużo macie klientów?

— Wystarczy. Mąż i trzy sekretarki mają pełne ręce roboty. A bywają dni, że i ja muszę stukać na maszynie. Teraz akurat okres urlopowy, ruch mniejszy, więc mogę sobie z Mirkiem pożeglować.

Tambor wyłączył się z rozmowy i nadstawił do słońca. Panie konwersowały dalej same, a tematów po latach niewidzenia nie brakowało im. Zwłaszcza Jola była ciekawa losów dawnych koleżanek, żyjących w Polsce. Kiedy przyszła pora pożegnania się, Danka zaprosiła Jolę i Tambora do odwiedzenia jej w domu.

— Będziemy w Olsztynie krótko — odpowiedziała Jola. — Ale jeśli starczy czasu, zadzwonię. Macie telefon?

— Oczywiście. Zapisz numer.

Po obiedzie Jola wykąpała się, wypachniła i pojechała zastawić sidła na Widlaka. Tambor musiał wynieść się na parę godzin z hotelu.

Najpierw poszedł do kina na polski film. Wynudził się na nim okrutnie. Rozumiał wprawdzie niemal wszystkie dialogi, lecz nijak nie mógł pojąć, o co właściwie chodzi. Domyślał się, że ambitny reżyser rozdarł sobie duszę — niejasne pozostawało jednak, dlaczego za pieniądze producenta. Bo widzów na sali prawie nie było; tylko kilka młodych parek obmacywało się po ciemku, nie zwracając uwagi na ekran.

Przedpołudniowy pobyt na słońcu wysuszył Tambora, a ciepło w kinie pogłębiło to. Poczuł ochotę na piwo lub inny napój chłodzący. Przypomniał sobie jednak, że płacąc za obiad wydał ostatnie polskie pieniądze. Należało wymienić trochę dolarów.

Już podczas lotu do Polski Jola pouczyła Tambora, że tylko głupcy wymieniają dolary na złotówki w banku, jeśli nie muszą. Kurs czarnorynkowy był parokrotnie wyższy. Załatwiało się to u tak zwanych cinkciarzy przed bankiem i Tambor przeprowadzał już takie transakcje. Zapytał więc teraz o bank i poszedł tam.

U celu zdziwiło go, że nikt przed wejściem nie zagaduje o dolary. Czyżby w Olsztynie wytępiono ten proceder? To wydawało się mało prawdopodobne. Stanął i zaczął się wyczekująco rozglądać. Po chwili podszedł do niego silnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku.

— Pan szanowny chciałby wymienić walutę? — spytał.

— Tak.

— To proszę jutro. Dziś strajkujemy.

Tego chyba jeszcze na świecie nie było. Tambor musiał wyglądać na zdziwionego ponad zwykłą miarę, bo jego informator pospieszył z wyjaśnieniem.

— To protest przeciwko podniesieniu kursu przez banki. Ale tylko jeden dzień. Jutro wracamy na posterunki.

— To co pan tu robi dziś? — spytał Tambor.

— Przepędzam łamistrajków. Koledzy wyznaczyli mnie, bo jestem najbardziej krzepki. Boksowałem się kiedyś.

Tambor poszedł zmartwiony dalej. Musiał pomęczyć się z pragnieniem do czasu poratowania go wieczorem przez Jolę, mającą jeszcze złotówki. Nie uszedł jednak daleko. O jakieś trzydzieści kroków od banku zagadnął go inny mężczyzna.

— Pan chce coś wymienić?

— Tak. Dolary.

— Proszę bardzo. Wejdźmy do bramy.

Łamistrajk — pomyślał Tambor. Zdecydował się skorzystać z oferty. Mężczyzna dokonał transakcji szybko i umknął z bramy pierwszy.

Tambor udał się do najbliższego baru na piwo. Kiedy przyszło do płacenia, wręczył kelnerowi pięćsetkę, bo tylko takimi banknotami wypłacił mu należność łamistrajk.

— Proszę zaczekać na resztę — powiedział kelner. — Muszę rozmienić.

Kelner długo nie wracał. Zjawił się wreszcie — ale w towarzystwie milicjanta, co stało się powodem kolejnego zdziwienia Tambora.

— Ma pan dużo tych pięćsetek? — spytał milicjant.

— Sporo.

— Proszę pokazać.

Tambor sięgnął do portfela i podał milicjantowi banknoty. Ten zatrzymał je.

— Poproszę ze mną. Pojedziemy do komisariatu.

— Dlaczego? — zdziwił się jeszcze raz Tambor.

— To są pieniądze z czasów okupacji, proszę pana. Nieważne od czterdziestego piątego roku. Niech pan popatrzy na datę emisji.

Data na banknocie przecięła wątpliwości: 1 marca 1940. Teraz Tambor zrozumiał pośpiech fałszywego cinkciarza, bo profesjonalista nie poszedłby na takie spalające go oszustwo. Szalbierz skorzystał ze strajku zawodowców. Ofiarą zaś padł amerykański superagent, gwiazdor fachu. Uświadomiwszy sobie to Tambor poczuł eksplozję wstydu w duszy. Dać się tak zoperować przez drobnego kanciarza polskiego. Gdyby pułkownik Knock dowiedział się o tym... Tambor aż wzdrygnął się na tę myśl.

Tymczasem wieziono go radiowozem do komisariatu. Tambor przypomniał sobie radę Marka sprzed kilku dni: prosić o traktowanie bez humanizacji, bo inaczej śledztwo przeciągnie się długo. Gdyby nie wrócił na noc do hotelu, o kompromitującej wpadce dowiedziałaby się Jola, a kobiecy język niesforny. Jola i tak już za dużo wie: o nadwrażliwości spodów jego stóp mianowicie. Dwóch tajemnic nie zdołałaby dotrzymać, to ponad damskie siły.

Na szczęście skończyło się na wstydzie. W komisariacie dyżurny oficer tak się ubawił naiwnością Amerykanina, że zrezygnował z gnębienia go zarzutem nielegalnej odsprzedaży waluty.

— Taki frajer jak pan powinien handlować tylko z bankiem — poradził mu na pożegnanie.

Ta rada dotknęła Tambora do żywego. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak przełknąć upokorzenie. To była najlżejsza z możliwych dolegliwości tego żałosnego incydentu.

Wróciwszy o ósmej do hotelu zatelefonował z hallu do swego pokoju. Zgłosiła się Jola.

— Jesteś sama? — spytał.

— Już tak.

W pokoju Jola powitała go komunikatem.

— To straszny partacz ten Romcio. Szast-prast i po wszystkim. Jego żona powinna mieć kochanka, bo inaczej popadnie w nerwicę seksualną.

— To nie moje zmartwienie. Co z PM?

— Pod tym względem jest twardy. Przysięga, że nic takiego nie wynalazł i nie zgłaszał.

— Za słabo go widać zmiękczałaś.

— To znajdź lepszą — fuknęła gniewnie Jola. — Obrażasz mnie, a ja przygotowałam już grunt pod następny etap nadkruszania go.

— Jaki?

— Trzeba go dobrze spić, to może puści farbę.

— Gotów byłby popić?

— Tak. Zaproponowałam, żebyśmy jutro, przy sobocie, pobiesiadowali wieczorem w jakimś lokalu. Na nasze wspólne zaproszenie i z udziałem jego żony. On jest chętny, ale nie może przecież przyznać się żonie, że miał ze mną do czynienia. Ustaliliśmy więc, że ja i ty podjedziemy jutro do pani Ewy i namówimy ją na taką kolację we czworo. Ona prawdopodobnie uzależni swoją zgodę od męża, a on się przychyli. Dobrze obmyślone?

— Dobrze. On jutro pracuje?

— Tak. Do trzeciej. Ale do niej powinniśmy pojechać przed południem, żeby mogła się przygotować. Ma przecież dziecko na głowie, musi je komuś podrzucić.

— Jasne. Odwiedzimy ją przed południem.

XVI.

Wizyta Tambora i Joli zaskoczyła Ewę Widlakową w stroju roboczym, przy sprzątaniu. Była jednak tym odwiedzinom wyraźnie rada. Szybko się ogarnęła i zaproponowała gościom kawę.

— Proszę się nie trudzić, my na krótko — powiedział Tambor. — Chcemy zaprosić panią i męża na kolację.

Na twarzy Widlakowej odmalowało się zaskoczenie jeszcze większe niż na widok niespodziewanych gości. Lecz i teraz Tambor nie wyczytał na niej niechęci. Minęła jednak długa chwila, nim Widlakowa ustosunkowała się do propozycji.

— Bardzo to miłe z państwa strony, dziękuję. Ale ja nie mogę decydować za męża.

— Sam byłbym przeciwny takim uprawnieniom żon — odrzekł Tambor. — Prosimy o przedstawienie naszej propozycji mężowi. O której możemy przyjechać po odpowiedź?

— A na kiedy państwo zapraszacie?

— Na dziś. Sobota wydaje się nam dniem najbardziej stosownym.

Po zastanowieniu się Widlakowa spytała:

— O piątej moglibyście państwo wpaść?

— Oczywiście. Stawimy się.

Tambor i Jola wracali do hotelu pewni, że zaproszenie będzie przyjęte. Tambor spytał kierowcę Marka:

— Czy zna pan dobrze Olsztyn?

— Nieźle.

— Jest tu jakaś restauracja z gabinetami, gdzie można by zjeść dobrą kolację we czworo?

— Tego nie wiem. Ale mogę zapytać. Kiedy chciałby pan mieć odpowiedź, sir?

— Przed piątą.

— Dobrze, do piątej będę wiedział.

Skoro Widlaka trzeba było spić, kolacja mogła drogo kosztować. Tambor przypomniał sobie o wymianie dolarów na złotówki, która wczoraj tak boleśnie go zawiodła. Polecił Markowi zajechać w pobliże banku. Tam, żeby zabezpieczyć się przed powtórną wpadką, poprosił Jolę o towarzyszenie mu przy transakcji.

Podchodząc do banku dostrzegł z daleka wczorajszego stróża strajku. Ten budził zaufanie, więc Tambor skierował się ku niemu, nie reagując na nagabywania mijanych konkurentów. Osiłek poznał niedoszłego klienta z poprzedniego dnia. Pozdrowił Tambora i oznajmił:

— Dziś jestem do usług. Ile wymienić?

— Sto.

— Proszę uprzejmie.

Przed piątą, kiedy Tambor i Jola zeszli do samochodu, aby pojechać znowu do Widlaków, Marek zameldował:

— Jest taka restauracja, sir. Nazywa się „Przytulna".

— Tłok tam czy luźno?

— Teraz w restauracjach tłoku nie ma, bo ceny zbójeckie. Ale gabinet lepiej zamówić zawczasu. Mogę to zrobić.

— Bardzo proszę. Po tej wizycie powiem, na którą.

Widlak dość przekonująco udawał zaskoczonego zaproszeniem, niemniej szybko doszło do ustalania miejsca i pory kolacji. „Przytulna" miała u małżonków dobrą opinię, co do pory zaś tylko Widlak wyraził własne życzenie.

— Wolałbym niezbyt późno. W niedzielę jeżdżę na ryby, trzeba rano wstać.

— Proszę zaproponować godzinę, dostosujemy się.

Zwracając się do żony Widlak spytał:

— Na siódmą zdążysz, Ewo?

— Zdążę.

— Zatem uzgodnione — rzekł Tambor. — O siódmej nasz kierowca przyjedzie po państwa.

W samochodzie Tambor próbował odgadnąć, ile trzeba będzie wypić, żeby Widlak zmiękł bardziej niż wczoraj po staraniach Joli na prześcieradle. O własną kondycję był spokojny. Głowę miał mocną. Nigdy jeszcze wódka go nie zmogła. Bywało, że kompani — albo pojeni przeciwnicy — leżeli już pod stołem, on zaś nadal miał umysł przytomny, a ruchy zborne. Widlak na pewno nie był zawodnikiem, mogącym mu sprostać. Pytanie jednak, ile wytrzyma, musiało na razie pozostać bez odpowiedzi.

Zamówiony przez Marka gabinet dorastał do nazwy restauracji — był rzeczywiście przytulny. Ustronnej biesiadzie służyły: stół na sześć osób, fotele do pogawędki, kanapa, gustowne oświetlenie. Kelner, jak na polskie zwyczaje, zjawił się szybko. Dłużej przyszło czekać na potrawy, ale też w granicach przyzwoitości. Tamborowi zaświtał domysł, że pewnie Marek zaanonsował zachęcająco osobę i hojność fundatora kolacji.

Tambor zaczął od toastu za pomyślność współpracy kraju i emigracji. Drugą kolejkę wypili za zdrowie dam. Po trzeciej Tambor rozpoznał swym doświadczonym okiem, że pani Ewa będzie się oszczędzać w piciu, jej mąż zaś nic za kołnierz nie wyleje. I bardzo dobrze — skonstatował z zadowoleniem — o to chodzi. Przy czwartej kolejce Jola zaproponowała ogólny bruderszaft, co zakłopotało trochę Widlakową, lecz zostało zaaprobowane i opite.

Rozmowa wytraciła skrępowanie i przemieniła się w swobodną, jak po długiej znajomości. Jednakże za wcześnie było jeszcze na dobieranie się do Widlaka w sprawie PM. Dopiero po dwóch dalszych kolejkach Tambor ocenił, że już można. Dla pewności napełnił kieliszki jeszcze raz i gdy je obaj wychylili (Jola i Ewa markowały już tylko picie, trzymając się damskiej miary), przystąpił do dzieła.

— Jak będzie, Romciu, z tym perpetuum mobile? Bardzo mi na nim zależy.

Widlak rozłożył ręce tak, jakby otwierał duszę. Bełkotliwym już trochę głosem odpowiedział:

— Stachu, dla ciebie wszystko. Ale perpetuum mobile to naprawdę niemożliwość. Nikt nie wynajdzie.

Twardy nad podziw, *sukinsyn* — stwierdził w duchu Tambor. Ale pomocujemy się jeszcze. Napełnił kieliszki po raz kolejny. Jola, która piła dotąd więcej od Ewy, spasowała teraz otwarcie i przeniosła się na fotel pod ścianą. Widlakowa trwała przy stole, lecz kieliszka nawet nie tknęła. Widlak wypił, ale już wyraźnie bez ochoty; miał dość.

— Tego nikt nie wynajdzie — oznajmił mamrotliwie po raz drugi.

Do następnych dwóch kieliszków przyszło Tamborowi go przymusić. Przy trzecim Widlak zbuntował się ostatecznie. Wstał niezdarnie od stołu i uciekł chwiejnym krokiem na kanapę. Tambor przeniósł się tam za nim.

— Romciu, bądź człowiekiem, sprzedaj mi to perpetuum mobile. Zapłacę, ile zechcesz.

Widlak nic nie odpowiedział. Woli milczeć, żeby, będąc w takim stanie, nie sypnąć tajemnicy mimo woli — pomyślał Tambor. Został widać mocno nastraszony przez wojsko. Trudno, nic z niego nie wyduszę. Trzeba szukać innego sposobu.

Przy stole siedziała już tylko Widlakowa, która wypiła najmniej z całego towarzystwa. Tambor wrócił na swoje miejsce obok niej.

— Śliczna jesteś, Ewuniu — zagaił.

— Łgarz z ciebie — odrzekła, lecz nietrudno było dostrzec, że komplement sprawił jej przyjemność.

— Czasem kłamię, ale nie teraz. Romek mówił, że jedzie jutro na ryby.

— Tak. W sezonie jeździ każdej niedzieli. Prawdziwy maniak z niego.

— Zostawia cię samą. Potwór.

— Nie nudzę się. Uprawiam ogródek.

— Odpocznij jutro. Mam w hotelu piękny zbiór znaczków pocztowych. Przyjedź, obejrzysz. Naprawdę warto.

Widlakowa nie była aż tak podchmielona, żeby nie rozumieć, o co chodzi. Z drugiej strony Tamborowi nie zdarzyło się jeszcze, by kobieta odmówiła mu nawet przy propozycji całkiem otwartej. Nie zawiódł się i tym razem. Ewa wahała się chwilę, lecz jej niezdecydowanie miało inną przyczynę.

C.D.N.